



BOB SHAW

Ucieczka Światów

III TOM TRYLOGII OVERLAND

Spis treści

Strona tytułowa

Część I POWRÓT NA LAND

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Część II STRATEGIE ROZPACZY

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Część I

POWRÓT NA LAND

Rozdział 1

Podczas lotu, który trwał dłużej niż cały dzień, samotny astronauta opadał od krawędzi kosmosu poprzez tysiące mil stopniowo gęstniejącej atmosfery. W końcowym stadium opadania jego ciałem zawładnęła siła wiatru i poniosła go daleko na zachód od stołecznego miasta. Powodowany brakiem doświadczenia, a może chęcią uwolnienia się od krępującego go worka lotniczego, astronauta zbyt wcześnie otworzył spadochron. Zrobił to dobre piętnaście kilometrów nad powierzchnią planety i w rezultacie znosiło go coraz dalej, ku słabo zaludnionym terenom za Białą Rzeką.

Toller Maraquine Drugi, przez ostatnie osiem dni patrolujący okolicę, przez silnie powiększającą lornetkę przyglądał się badawczo kremowej plamce spadochronu. Wyglądała jak tajemniczy obiekt, o blasku słabszym niż dzienne gwiazdy, pozornie umocowany pod ogromnym, łukowatym obrzeżem bliźniaczej planety, która wypełniała centrum nieba. Ruch statku powietrznego utrudniał obserwację, lecz Toller wypatrzył uczipioną lin malutką postać i poczuł, jak wzbiera w nim ciekawość. Jakie wieści przynosi astronauta?

Sam fakt, że ekspedycja trwała dłużej, niż zakładano, wydawał się Tollerowi dobrym znakiem. W każdym razie z ulgą zabierze w końcu astronautę na pokład i odstawi do Prądu. Patrowanie terenu niemal pozbawionego cech charakterystycznych, kiedy nie ma się nic do roboty prócz odwiedzania spragnionych towarzystwa robotników rolnych, nie należy do zadań godnych śmiałka. Toller pałał żądzą powrotu do miasta, gdzie mógł przynajmniej znaleźć kompanów i szklaneczkę przyzwoitego wina. Czekala na niego także Hariarma, złotowłosa piękność z Cechu Tkaczy. Przez wiele dni nie odstępował jej na krok i coś mu mówiło, że rozkaz nadszedł właśnie wtedy, kiedy była już skłonna mu ulec.

Statek sunął lekko ze wschodnią bryzą i sporadyczna tylko pomoc silników odrzutowych wystarczyła, by dotrzymać tempa spadającemu po ukośnej linii astronautcie. Pomimo cienia, który rzucała z góry eliptyczna powłoka, upał na górnym pokładzie wzmagał się i Toller zaczynał zdawać sobie sprawę, że dwunastoosobowa załoga podobnie jak on marzy głównie o tym, żeby misja dobiegła końca. Szafranowe bluzy lotnicze upstrzyły się ciemnymi plamami potu. Toller westchnął i zapatrzył się na sielski krajobraz widoczny w dole.

Sześćdziesiąt metrów poniżej gondoli przemykały prążkowane pola uprawne, tworząc skomplikowane układy pasm biegnących aż po linię horyzontu. Od czasu migracji na Overland minęło już ponad pięćdziesiąt lat i kolcorroniańscy farmerzy mieli dość czasu, aby narzucić polom swoją wolę i zmienić naturalny koloryt krajobrazu. Na Overlandzie, gdzie nie istniały pory roku, zboża, warzywa i owoce zdumiewały bogactwem i różnorodnością, a każda roślina rozwijała się według własnego cyklu dojrzewania. Rolnicy dołożyli starań, żeby wyodrębnić grupy dające plony równocześnie i w ten sposób ustalić sześć terminów żniw w roku,

tak jak to się tradycyjnie odbywało od zarania dziejów w Starym Świecie. Każde pole mieniło się jak tęcza, od delikatnej zieleni młodych pędów po złoto dojrzewających kłosów i brąz rżysk.

– Statek na południe od nas, panie kapitanie! – krzyknął sternik Niskodar. – Na naszym pułapie, może trochę wyżej. Odległość około trzech mil.

Toller odszukał wzrokiem statek – ciemny odprysk na tle zasnutego purpurą horyzontu – po czym skierował na niego szkła lornetki. Powiększony obraz wykazał, że ma on niebiesko-żółte oznakowanie Służb Podniebnych i fakt ten wywołał u Tollera lekkie zdziwienie. W ciągu ostatnich ośmiu dni kilkakrotnie mignął mu statek, który patrolował sąsiedni, południowy sektor, zawsze jednak działo się to przy granicy strefy patrolowej, szybko znikali sobie nawzajem z oczu i nie wchodzili w drogę. Teraz jednak przybysz znajdował się zdecydowanie wewnątrz przypisanego Tollerowi terytorium i najwyraźniej stawał z nim w szranki, zachowując się tak, jak gdyby również zamierzał przechwycić wracającego astronautę.

– Przygotujcie heliopsis – rozkazał porucznikowi Feerowi, który stał obok niego przy relingu. – Przekażcie moje uszanowanie dowódcy tego statku i poradźcie mu, by zmienił kurs. Wykonuję polecenia Królowej i nie pozwolę, by ktoś się wtrącał albo mi przeszkadzał.

– Rozkaz! – zakrzyknął żwawo Feer wyraźnie zadowolony z incydentu choć trochę urozmaicającego przeddzień. Otworzył schowek i wyjął heliopsis nowej, lekkiej konstrukcji, z posrebrzanymi płytkami luster zastosowanymi w miejsce konwencjonalnego, szklanego układu warstwowego. Feer wymierzył przyrząd i zaczął operować kluczem, który zaklekotał pracowicie. Przez jakąś minutę po tym, jak skończył, nie widać było żadnej odpowiedzi, aż naraz na odległym statku małe słoneczko zaczęło błyskać gwał-

townie.

„Przeddzień dobry, kapitanie Maraquine” – nadeszła migotliwa odpowiedź. – „Księżna Yantara odwzajemnia wasze pozdrowienia. Postanowiła osobiście przejąć dowództwo nad całą operacją. Wasza dalsza obecność nie jest potrzebna. Niniejszym rozkazuję wam niezwłocznie udać się z powrotem do Prądu”.

Toller stłumił wściekle przekleństwa. Nigdy przedtem nie miał okazji spotkać księżnej Yantary, lecz wiedział, że nie tylko posiada stopień kapitana powietrznego, ale jest też wnuczką Królowej i ma zwyczaj posługiwać się rodzinnymi koneksjami w celu forsowania swojej woli. W podobnej sytuacji niejedyn dowódca wycofałby się po czysto symbolicznym proteście, w obawie o swoją karierę, jednak charakter Tollera nie pozwalał mu puścić płazem czegoś, co urągało honorowi. Dłoń znalazła rękojeść szabli, niegdyś należącej do jego dziadka, a oczy posłały gniewne spojrzenie w kierunku intruza, podczas gdy w myślach układał odpowiedź na władczy rozkaz księżnej.

– Kapitanie, czy życzy pan sobie potwierdzić odbiór sygnału?

Zachowanie porucznika Feera pozostawało nienagane, ale ogniki w oczach zdradzały, że napawał się widokiem Tollera męczącego się z trudną decyzją. Choć niższy rangą, był od niego nieco starszy i z całą pewnością przychylił się do powszechnej opinii, że Toller uzyskał stopień kapitana w tak młodym wieku dzięki wpływom rodziny. Perspektywa obejrzenia pojedynku dwojga uprzywilejowanych wyraźnie przypadła porucznikowi do gustu.

– Oczywiście, że tak – sarknął Toller, starając się zatuszować własne poirytowanie. – Jak brzmi nazwisko tej kobiety?

– Dervonai, panie kapitanie.

– Świetnie. Pomiń grzeczności i zwróć się do niej per kapi-

tanie Dervonai. Odpowiedź jest następująca: „Wasza uprzejma propozycja asysty nie przeszła nie zauważona, ale w tym przypadku obecność drugiego statku może stać się bardziej przeszkodą niż pomocą. Powróćcie do swoich zadań i nie utrudniajcie mi wykonywania bezpośrednich rozkazów Królowej”.

Kiedy za pomocą wiązek światła Feer przesyłał słowa Tollera, na jego wąskiej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia. Nie sądził, że do bezpośredniej konfrontacji dojdzie tak szybko. Minęła krótka chwila, zanim odpowiedziano serią błysków.

„Wasza nieuprzejmość, żeby nie rzec bezczelność, również nie przeszła nie zauważona, ale powstrzymani się od zameldowania o tym mojej babce, jeśli wycofacie się bezzwłocznie. Proszę postąpić roztropnie”.

– Arogancka suka! – Toller wyrwał heliopis z rąk Feera, wycelował go i zaczął stukać kluczem: „Postępuję roztropnie. Lepiej jeśli Królowa dowie się o mojej nieuprzejmości, niż o zdradzie, jaką popełniłbym przerywając tę misję. Dlatego leż radzę wam zająć się z powrotem robótkami ręcznymi”.

– Robótkami ręcznymi! – odczytawszy wiadomość z ukosa porucznik Feer zachichotał, odbierając od Tollera heliopis. – Naszej letniczce się to nie spodoba, panie kapitanie. Ciekawe, jaka będzie jej odpowiedź.

– Oto i ona – odparł Toller, podniósłszy do oczu lornetkę w samą porę, by dostrzec pióropusze strzelające z głównych silników statku księżnej. - Albo księżna opuszcza nas fukając ze złości, albo postanowiła dotrzeć do celu przed nami. Jeśli to, co słyszałem o księżnej Yantarze, nie mija się z prawdą, to... tak! Będziemy mieli wyścig.

– Cała naprzód?

– A jakżeby inaczej? – rzucił Toller. – I każ ludziom założyć spadochrony.

Na wzmiankę o spadochronach rozradowanie na twarzy Feera przemieniło się w niepokój.

– Chyba nie myśli pan, że dojdzie do...

– Kiedy dwa statki wydzierają sobie ten sam kawałek nieba, wszystko może się zdarzyć – odrzekł Toller z nutą jowialności, karcąc delikatnie porucznika za niewłaściwą postawę. – Podczas zderzenia nietrudno o śmierć, a ja wolałbym, by spotkała ona naszego przeciwnika.

– Według rozkazu, panie kapitanie.

Feer odwrócił się dając sygnał mechanikowi i w chwilę potem główne silniki odrzutowe zawyły, uzyskując maksymalną moc. Dziób długiej gondoli podniósł się, gdy ciąg silników próbował obrócić całym statkiem dokoła środka ciężkości, ale sternik prędko wyrównał kurs zmieniawszy kąt ustawienia silników. Jedną ręką operował drążkiem i mechanizmami zapadkowymi, gdyż silniki nowego typu miały lekką konstrukcję z nitowanych rur metalowych.

Nie tak dawno temu pojedynczy silnik zużyłby cały zapas kryształów drzewa brakka, niszcząc samo drzewo, a w rezultacie i tak byłby powolny i niewygodny w obsłudze. Źródło energii nadal stanowiła wprawdzie mieszanka kryształów pikonu i halvelli, które od wieków pobierały z gleby korzenie drzew brakka, obecnie jednak kryształy uzyskiwano bezpośrednio z ziemi według metod rafinacji chemicznej wymyślonej przez ojca Tollera, Cassylla Maraquine.

Chemia i metalurgia były kamieniem węgielnym ogromnej fortuny i wpływów rodziny Maraquine, co z kolei stanowiło źródło większości konfliktów między Tollerem a jego rodzicami. Rodzice oczekiwali, że syn zastąpi ojca i przejmie władzę nad rodzinnym imperium przemysłowym, ale w Tollerze ta perspektywa wzbudzała przerażenie. W kontaktach z rodzicami pojawiły się napięcia

od chwili, gdy Toller postanowił wstąpić do Służb Podniebnych w pogoni za przygodami. Ku jego rozczarowaniu jednak służba nie obfitowała w przygody, toteż za nic na świecie Toller nie pozwoliłby zepchnąć się na bok w obecnej sytuacji.

Całą uwagę skupił na astronaucie, wciąż znajdującym się

O milę z okładem od pofalowanej powierzchni pól uprawnych. Nie istniał żaden praktyczny powód, dla którego mieliby ścigać się na miejsce jego przypuszczalnego lądowania, ale gdyby Yantara sobie przypisała pierwszeństwo, mogłoby to jej dodać animuszu. Toller przypuszczał, że całkowicie przypadkowo przechwyliła wiadomość, jaką rano tego dnia przekazał heliopisem do pałacu, i dla kaprysu postanowiła przejąć dowództwo w najciekawszym momencie nudnej jak dotąd misji.

Kiedy zastanawiał się, czyby nie posłać jej ostatniego ostrzeżenia, wzrokiem natknął się na ciemnogrnatową linię, która pojawiła się na horyzoncie. Rzut oka przez lornetkę upewnił go w przekonaniu, że jest to spory zbiornik wodny, a po sprawdzeniu na mapie stwierdził, że widzi Jezioro Amblaraate. Mierzyło prawie cztery mile, zatem astronauta miał niewielkie szansę na to, by wylądować poza jego obrzeżem. Przez środek jeziora biegł jednak sznur małych, nizinnych wysepek, spośród których wprawny spadochroniarz bez trudu powinien wybrać dogodne miejsce do lądowania.

Toller przywołał ręką Feera i pokazał mu mapę.

– Zdaje się, że zażyjemy dzisiaj trochę ruchu – zaczął. -Te wysepki nie wyglądają jak place parad. Jeśli naszemu zwiewnemu nasionku uda się zapuścić korzenie na jednej z nich, zadanie wyrwania go stamtąd będzie wymagało nie lada umiejętności lotniczych. Ciekawe, czy nasza letniczka, jak ją ochrzciliście, nadal będzie pragnęła sobie przypisać ten zaszczyt.

– Najważniejsze, żeby posłaniec z depezbami dotarł cało i

zdrowo do Królowej – zauważył Feer. – Czy to, kto go odbierze, ma jakiegokolwiek znaczenie?

Toller posłał mu szeroki uśmiech.

– O tak, poruczniku. Ma to ogromne znaczenie.

Oparł się o reling gondoli i rozkoszując się chłodnym, wzbierającym strumieniem powietrza patrzył, jak drugi statek zbliża się po zbieżnym kursie. Odległość była jeszcze zbyt duża, by mógł dostrzec członków załogi nawet przez lornetkę, jednak wiedział, że na pokładzie są same kobiety. Królowa Daseene osobiście dopatrzyła, by pozwolono kobietom wstępować do Służb Podniebnych. I choć miało to miejsce podczas stanu zagrożenia dwadzieścia sześć lat wcześniej, kiedy istniała groźba inwazji ze Staro Świata, tradycja przetrwała aż po ten dzień. Z przyczyn praktycznych zaniechano jednak tworzenia załóg mieszanych. Spędziwszy większą część czynnej służby po drugiej stronie Overlandu, Toller nie miał wcześniej okazji zetknąć się z którymś z nielicznych statków z żeńską załogą, i ciekawiło go, czy płeć ma jakiś zauważalny wpływ na technikę sterowania.

Jak się spodziewał, obydwie statki dotarły do Jeziora Amblaraate w chwili, gdy astronauta znajdował się jeszcze wysoko ponad nimi. Toller ocenił, na której z wysepek najprawdopodobniej nastąpi lądowanie, rozkazał zejść na trzydzieści metrów i zataczać koła ponad trójkątnym skrawkiem zieleni. Ku jego irytacji Yantara przyjęła podobną taktykę, zajmując pozycję po przeciwnej stronie okręgu. Oba statki kręciły się jakby przymocowane do niewidzialnej osi, a pulsujący huk silników zakłócał spokój ptaków gnieźdzących się na ziemi.

– Marnotrawstwo kryształów – burknął Toller.

– Karygodne marnotrawstwo – przytaknął Feer i pozwolił sobie na leciutki uśmieszek na wspomnienie, że kwatermistrz Służb już nieraz udzielał jego dowódcy reprimendy za zużywanie

zapasów pikonu i halvelli najszybciej w całej flocie z powodu nierównego stylu latania.

– Powinno się tę kobietę odsunąć od lotów i... – Toller urwał widząc, że odgadnąwszy najwyraźniej ich życzenia astronauta raptownie zwinął część czaszy spadochronu, zwiększając prędkość i zaostrzając kąt opadania.

– Schodzimy w dół z maksymalną prędkością – rozkazał Toller. – Użyć wszystkich czterech armatek kotwicznych, gdy tylko dotkniemy ziemi. Musimy wylądować przy pierwszym podejściu.

Uśmiech powrócił mu na usta, gdy zauważył, że w tym najważniejszym momencie znaleźli się na zachód od wyspy, tak że wystarczył pojedynczy manewr, by ustawić się w pozycji do lądowania pod wiatr. Koło fortuny wyraźnie obróciło się przeciw Vantarze. Kiedy jednak zerknął ponownie na statek księżnej, z przerażeniem stwierdził, że zarzuciła ona dotychczasowy tor lotu i schodzi ostro w kierunku wyspy, niewątpliwie z zamiarem wykonania nieprzepisowego lądowania z wiatrem.

– Suka – zaklął pod nosem. – Głupia suka. Bezradnie przyglądał się, jak statek Yantary z szybkością wspomaganą sprzyjającą bryzą przeciął niższe pokłady powietrza i parł w kierunku środka wysepki. Za szybko, pomyślał. Kotwice nie wytrzymają napięcia! Obłoki dymu zakłębiły się po obu stronach gondoli, kiedy kil dotknął trawy i armatki strzeliły w ziemię grotami kotwic. Balon zakołysał się, gdy statek gwałtownie wytracił prędkość. Przez chwilę wyglądało na to, że nie ziszczą się ponure przewidywania Tollera, a potem pękły obie liny kotwiczne po lewej stronie gondoli. Statek położył się na burtę i obrócił raptownie wyrывая z ziemi tylną kotwicę. Zerwałby się na dobre, gdyby jedna z członkiń załogi nie zaczęła błyskawicznie wydawać liny jedynej pozostałej kotwicy, zmniejszając tym samym jej napięcie. Wbrew oczekiwa-

niom lina nie pękła i utrzymała ciężar statku. W tej chwili stało się jasne, że Tollerowi nie uda się zamierzony manewr lądowania – huśtając i kołysząc się statek Yantary zagradzał mu drogę.

– Przerwać lądowanie! – ryknął Toller. – W górę! Cała w górę!

Główne silniki odezwały się natychmiast i tak, jak podczas ćwiczeń stanów zagrożenia, członkowie załogi, którzy nie byli niczym zajęci, popędzili na rufę, żeby ją obciążyć i pomóc przechylić dziób w górę. Choć operacja zapobiegawcza odbyła się szybko i sprawnie, bezwład ton gazu pod powłoką, która ciążyła u góry, spowolnił reakcję statku. Przez koszmarnie wydłużające się sekundy szedł on starym kursem, zagradzający drogę balon rósł w oczach i dopiero po chwili linia horyzontu zaczęła sunąć w dół w żółwym tempie.

Ze swojego miejsca z boku mostka Toller dostrzegł w przelocie postać długowłosej księżnej Yantary. Obraz ten w mgnieniu oka przesłoniła krzywizna powłoki drugiego statku przemykająca tak blisko, że mógł rozróżnić pojedyncze szwy klinów i linki nośne. Wstrzymując oddech Toller zapragnął nagle wraz ze swoim statkiem unieść się pionowo w górę. Gdy zaczynał już wierzyć, że udało się uniknąć zderzenia, z dołu dobiegł donośny trzask. Ten niski, rozedrgany, oskarżycielski dźwięk nie pozostawiał żadnych złudzeń. Przeorali kilem czubek balonu Yantary.

Skierował wzrok na rufę i ujrzał wynurzający się spod gondoli statek księżnej. W powłoce z impregnowanego płótna puściły co najmniej dwa szwy i gaz nośny buchnął w atmosferę. Choć poważne, rozdarcie nie było na tyle niefortunne, by doprowadzić do katastrofy. Balon zapadł się, zmarszczył, a zawieszona pod spodem gondola opadła lekko na ziemię.

Toller wydał rozkaz podjęcia normalnego lotu i wykonania dodatkowego okrążenia w celu podejścia do lądowania. Podczas

manewru miał wraz z załogą doskonałą widoczność; w milczeniu patrzyli, jak zawieszony na uwięzi statek księżnej opada w dół i haniebnie znika pod zapadającą się powłoką. Kiedy stało się jasne, że nikt nie zginie ani nie ucierpi, odprężenie wywołało uśmiech Tollera. Idąc w jego ślady Feer i reszta załogi dali się ponieść wesołości sięgającej granic hysterii, gdy astronauta, o którego obecności niemal zapomniano, spłynął nagle na scenę wydarzeń i z pełną komizmu niezdarnością zakończył lot siedzeniem w błocie.

– Nic nas teraz nie nagli, więc przeprowadźcie bezbłędne, pokazowe lądowanie – odezwał się Toller do Feera. -Zejdźmy powolutku w dół.

Zgodnie z poleceniem statek majestatycznie ustawił się pod wiatr, po czym spoczął na ziemi z ledwo wyczuwalnym wstrząsem. Jak tylko armatki kotwiczne zabezpieczyły gondolę, Toller przeskoczył przez reling i stanął w trawie. Spod fałd przebitej powłoki usiłowały wydostać się podwładne Yantary. Udając, że ich nie dostrzega, Toller skierował swe kroki prosto do astronauty. Ten, podniósłszy się na nogi, składał leżącą w nieładzie czaszę spadochronu. Widząc nadchodzącego Tollera wyprostował się i zsalutował. Był szczupłym młodzieńcem o jasnej karnacji i wyglądzie pisklęcia, które niedawno wyfrunęło z rodzinnego gniazda. W rzeczywistości, co bardzo Tollerowi imponowało, odbył on podróż w obie strony przez międzyplanetarną pustkę, rozciągającą się między bliźniaczymi planetami.

– Przeddzień dobry, kapitanie – odezwał się młody astronauta. – Melduje się kapral Steenameert. Przywożę pilne depesze dla Jej Wysokości.

– Spodziewam się – odparł Toller z uśmiechem. – Mam rozkaz dostarczyć was bezzwłocznie do Prądu, myślę jednak, że możemy poczekać, aż pozbędziecie się tego kombinezonu. Chodzenie z mokrym tyłkiem nie należy chyba do przyjemności.

Steenameert odwzajemnił uśmiech, doceniając sposób, w jaki Toller sprowadził rozmowę na nieoficjalny tor.

– Nie było to moje najlepsze lądowanie.

– Kiepskie lądowanie zdarzyło się nie tylko wam, kapralu – odrzekł Toller, zerkając ponad ramieniem Steenamerta. Yantara, wysoka, ciemnowłosa kobieta, zbliżała się do nich zamaszystym krokiem, a jej postać o wydatnym biuście wyglądała tym bardziej imponująco, że księżna szła gniewnie wyprostowana. Tuż za nią podążała niższa, pulchniejsza dama w mundurze porucznika, z trudem dotrzymując kroku swojej przełożonej. Toller ponownie skupił uwagę na Steenameercie. Wzbierało w nim uczucie podziwu, gdy pomyślał o doniosłości podróży, jaką odbył ten chłopak. Mimo młodego wieku Steenameert miał możliwość widzieć i doświadczyć rzeczy, o których on mógł zaledwie pomarzyć. Zazdrościł mu, a zarazem był ciekaw, jakich odkryć dokonano w trakcie pierwszej wyprawy na Land, pierwszej od czasu kolonizacji Overlandu pięćdziesiąt lat temu.

– Powiedzcie mi, kapralu – zagadnął – jak wygląda Stary Świat?

Na twarzy Steenameerta odbiło się wahanie.

– Depesze są tajne, kapitanie.

– Mniejsza o depesze. Tak między nami, kapralu, co tam widzieliście? Jak tam jest?

Usiłując wydostać się z jednoczęściowego kombinezonu, Steenameert uśmiechnął się z wdzięcznością. Wyraźnie czuł potrzebę opowiedzenia o swoich przygodach.

– Same ogromne, puste miasta! Miasta, przy nich Prąd to mała wioska! I wszystkie puste.

– Puste?! A co z...

– Panie Maraquine! – Księżna Yantara znajdowała się od nich wciąż o dobre kilkanaście kroków, jednak jej silny głos zmusił

Tollera do urwania w pół słowa. - Do czasu oficjalnego wydalenia ze Służb Podniebnych za umyślne uszkodzenie statku powietrznego Jej Wysokości przejmuję dowództwo na pańskim statku. Niech się pan uważa za aresztowanego.

Arogancja i brak rozsądku w słowach księżnej odebrały Tollerowi mowę, szarpnęła nim taka wściekłość, że od razu zorientował się, iż musi ją okiełznać. Uzbrojony w najłagodniejszy uśmiech obrócił się do księżnej i natychmiast pożałował, że ich spotkanie nie nastąpiło w innych okolicznościach. Jej twarz należała do tych, które napełniają mężczyzn bezbrzeżnym zachwytem, a kobiety bezgraniczną zazdrością. Krągła, ozdobiona szarymi oczami, doskonała w każdym calu odróżniała Yantara od wszystkich kobiet, które Toller miał okazję poznać w swoim dotychczasowym życiu.

– Czego tak szczerzycie zęby? – parsknęła Yantara. -Nie słyszeliście, co powiedziałam?

– Proszę się nie wygłupiać, kapitanie – odparł Toller odsuwając swe żale na bok. – Potrzebujecie pomocy przy naprawie waszego statku?

Yantara posłała wściekle spojrzenie swojej porucznik, która właśnie stanęła u jej boku, po czym powróciła wzrokiem do twarzy Tollera.

– Panie Maraquine, pan chyba nie rozumie powagi sytuacji. Jest pan aresztowany.

– Posłuchajcie, kapitanie – westchnął Toller. – Zachowaliście się głupio, ale na szczęście obeszło się bez poważnych szkód, więc nie ma potrzeby spisywać oficjalnego raportu. Idźmy każde swoją drogą i zapomnijmy o tym niefortunnym incydencie.

– Chciałby pan tego, prawda?

– Lepsze to, niż przedłużanie tej obłądnej farsy. Dłoń Yantary powędrowała do kolby pistoletu u pasa.

– Powtarzam, jest pan aresztowany, panie Maraquine. Nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje, Toller instynktownie chwycił rękojęść szabli.

Na usta Yantary wypełzł lodowaty uśmieszek.

– Cóż takiego może pan zdziałać tym zabawnym zabytkiem?

– Skoro pytacie, to wam powiem – rzucił Toller beztrasko. – Nim zdążycie unieść pistolet, odetnę wam głowę i gdyby wasza porucznik zachowała się na tyle nieroztrop¹⁹

nie, by mi grozić, spotkają podobny los. Ponadto, gdybyście nawet mieli ze sobą jeszcze kilkoro ludzi... i gdyby udało im się wystrzelić i przeszyć mnie kulami, to i tak dopadłbym ich i położył trupem. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno, kapitanie Dervonai. Wykonuję bezpośrednie rozkazy Jej Wysokości i jeśli ktokolwiek stanie mi na drodze, cała sprawa zakończy się rozlewem krwi. Tak to się właśnie przedstawia. – Przemawiając dobrotliwym tonem Toller obserwował uważnie, jakie wrażenie jego słowa wywrą na Yantarze. Jego odziedziczona po dziadku postura żywo przypominała czasy, kiedy kasta wojskowych dominowała w kolcorroniańskim społeczeństwie. Ale choć górował nad księżną wzrostem i ważył dwa razy więcej, wcale nie miał pewności, że wszystko pójdzie po jego myśli. Yantara sprawiała wrażenie osoby nieprzywykłej do ulegania cudzej woli niezależnie od okoliczności.

Na chwilę zapadło napięte milczenie, a Tollera przeniknęła dogłębna świadomość, że cała jego przyszłość zawisała na włosku. Naraz Yantara wybuchnęła radosnym śmiechem.

– Tylko się mu przyjrzyj! – zawołała szturchając swoją towarzyszkę. — Zaczynam wierzyć, że on wszystko traktuje jak najbardziej poważnie. – Porucznik zrobiła zaskoczoną minę, ale po chwili udało jej się przywołać na usta słaby uśmieszek.

– Bo to jest wielce poważna...

– Gdzie się podziało wasze poczucie humoru, Tollerze Ma-

raquine? – ucięła Yantara. – No tak, teraz sobie przypominam, że zawsze braliście siebie zbyt poważnie.

Toller poczuł się zbity z tropu.

– Sugerujecie, że spotkaliśmy się już kiedyś? Yantara znów wybuchnęła śmiechem.

– Czy nie pamiętacie, kapitanie, jak wasz ojciec zabierał was do pałacu na obchody Dnia Migracji, gdy byliście mali? Już wtedy paradowaliście z szablą, chcąc upodobnić się do swojego sławnego dziadka.

Toller zdawał sobie sprawę, że księżna kpi z niego, lecz jeśli chciała w ten sposób ustąpić zachowując twarz, potrafił to ścierpieć. Wszystko było lepsze niż kontynuowanie tej niepotrzebnej dyskusji.

– Muszę przyznać, że was nie pamiętam – odrzekł. – Podejrzewam, że przyczyny trzeba by się doszukiwać w tym, że wasz wygląd uległ większej zmianie niż mój.

Yantara potrząsnęła głową, ignorując ukryty komplement.

– Nie. Po prostu macie słabą pamięć. No dobrze, a co tam z naszym astronautą? Dla przejścia go jeszcze kilka minut temu gotowi byliście narazić bezpieczeństwo dwóch statków.

Toller odwrócił się do Steenameerta, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się wymianie zdań.

– Wejdźcie na pokład mojego statku i każcie kucharzowi przygotować jakiś posiłek.

Steennameert zaszalutował, pochwycił spadochron i poszedł ciągnąc go za sobą.

– Jak się spodziewam, spytaliście go, dlaczego wyprawa trwała dłużej, niż zakładano? – rzuciła Yantara mimochodem, jak gdyby wcale nie doszło między nimi do starcia.

– Nie mylicie się. – Toller nie za dobrze wiedział, jak postępować z księżną, postanowił jednak przybrać możliwie najbar-

dziej nieoficjalny i przyjazny ton. – Według niego Land świeci pustkami. Opowiadał o opustoszałych miastach.

– Opustoszałych! A co się stało z tymi tak zwanymi Nowymi Ludźmi?

– Wyjaśnienie, jeśli w ogóle istnieje, zawarte jest w depeszach.

– W takim razie powinnam się zobaczyć jak najszybciej z Jej Wysokością, moją babką. – Aluzja do królewskiego pochodzenia była zupełnie zbędna. Toller zrozumiał, że jest to ostrzeżenie przed zbytym spoufalaniem się z księżną.

– I ja muszę jak najszybciej wracać do Prądu – odparł starając się, by zabrzmiało to energicznie. – Naprawdę nie potrzebujecie pomocy przy naprawie statku?

– Pewnie że nie. Z szyciem uporamy się przed małonocą, a potem w drogę.

– Jest jeszcze coś – rzekł Toller, gdy Yantara odwracała się, by odejść. – Ściśle rzecz biorąc nasze statki zderzyły się, więc powinniśmy sporządzić raport. Co o tym myślicie?

Księżna spojrzała mu prosto w oczy.

– Ta papierkowa robota jest raczej nużąca, czyż nie tak?

– Strasznie nużąca. – Toller uśmiechnął się i zaskłutował. – Do widzenia, kapitanie.

Przyglądał się, jak księżna i jej młodszy oficer odchodzą w stronę swojego statku, po czym zawrócił i ruszył z powrotem do własnego pojazdu. Ogromna tarcza bliźniaczej planety wypełniała niebo w górze, a kurczący się świetlny sierp na obrębie jej taflి zapowiadał, że do codziennego zaćmienia zwanego małonocą została niecała godzina. Kiedy się rozstali, Toller zdał sobie sprawę, jak bardzo pozwolił Yantarze sobą manipulować. Gdyby to mężczyzna zachował się tak nierozsądnie w powietrzu, a arogancko na ziemi, Toller zbeształby go siarczyście i cała sprawa z powodze-

niem mogłaby się skończyć pojedynkiem. Bez wątpienia oskarżyłby go również w oficjalnym raporcie. A tak, uroda księżnej odebrała mu odwagę i oszołomiła. Zachował się jak nieopierzony młokos. Choć w głównej kwestii zatriumfował nad Yantarą, spoglądając wstecz nabierał coraz bardziej przeświadczenia, że równie mocno pragnął wyrzucić na niej dobre wrażenie jak spełnić swój obowiązek.

Kiedy dochodził do statku, przy każdej z czterech kotwic stali już członkowie załogi przygotowując się do odlotu. Wspiąwszy się po szczeblach na boku gondoli przeskoczył przez reling, potem przystanął i spojrział w stronę spoczywającego na ziemi statku księżnej. Załoga krzątała się na lego pokładzie, odczepiała powłokę i pod czujnym okiem księżnej Yantary rozkładała ją na trawie. Porucznik Feer przystanął obok Tollera.

– Stały ciąg aż do Prądu, kapitanie?

Jeśli się kiedyś ożenię, pomyślał Toller, to na pewno z tą kobietą.

– Panie kapitanie, pytałem...

– Jasne, że stały ciąg aż do Prądu – rzucił Toller. -I sprowadźcie kaprala Steenameerta do mojej kajuty. Chcę porozmawiać z nim w cztery oczy.

Znalazłszy się w swojej kajucie z tyłu pokładu głównego Toller czekał, aż wprowadzą astronautę. Statek ożył ponownie, osprzęt i wręgi kadłuba odzywały się niekiedy skrzypiącym głosem, gdy cała konstrukcja dostosowywała się do nacisków powstających podczas lotu pod wiatr. Toller usiadł przy biurku i zaczął bawić się w roztargnieniu przyrządami nawigacyjnymi. Nie potrafił opędzić się od myśli o księżnej Yantarze. Jak mógł zapomnieć o spotkaniu w dzieciństwie? Pamiętał tylko, że w wieku, kiedy gardził towarzystwem dziewcząt, rzeczywiście ciągnano go wbrew jego woli na obchody Dnia Migracji. Jednak nawet wtedy

bez wątpienia zauważyłby Yantarę pośród chichoczących, drobnych istot, które hasały po pałacowych ogrodach.

Rozmyślania przerwał mu Steenameert, gdy zapukał i wszedł do ciasnego pomieszczenia, ocierając z brody resztki jedzenia.

– Pan mnie wzywał, kapitanie.

– Tak. Przerwano nam rozmowę w bardzo ciekawym punkcie. Opowiedzcie mi więcej o tych pustych miastach. Nie natknęliście się tam na żadnych ludzi?

Steennameert potrząsnął głową.

– Nie widzieliśmy żywej duszy, panie kapitanie. Nic, tylko tysiące szkieletów. Nowi Ludzie wyginęli. Wygląda na to, że zaraz obróciła się przeciwko nim i zmiotła ich z powierzchni planety.

– Wędrowaliście daleko poza granice Kolcorronu?

– Nie, nie zapuszczaliśmy się daleko, najwyżej do dwustu mil. Jak pan wie, kapitanie, dysponowaliśmy jedynie trzema statkami podniebnymi, nie mieliśmy żadnego statku z pędnikiem poprzecznym, w naszych podróżach musieliśmy więc polegać na wiatrach. Ale to, co zobaczyłem, zupełnie mi wystarczyło. Po jakimś czasie wezbrało we mnie dziwne uczucie: miałem pewność, że tam nikogo nie ma. Najpierw rzuciliśmy kotwicę kilka kilometrów od starej stolicy, Ro-Atabri. Znajdowaliśmy się w samym sercu samego pradawnego Kolcorronu. Gdyby na Landzie żyli ludzie, właśnie tam powinniśmy ich znaleźć. To się rozumie samo przez się. – Steenameert mówił z zapałem, jak gdyby miał w tym swój interes, by przekonać Tollera o prawdziwości własnych obserwacji.

– Pewnie macie rację, kapralu – przytaknął Toller. -Chyba, że ma to coś wspólnego z ptertami. Uczono mnie, że najdotkliwiej nawiedziły Kolcorron, a antypody nie miały z nimi większego

kłopotu.

Steennameert zaczął mówić z jeszcze silniejszym zacięciem.

– Drugim najistotniejszym z odkryć, jakich dokonaliśmy na Landzie, jest bezbarwność ptert, podobnie jak na Overlandzie. Chyba powróciły do swego neutralnego stanu, panie kapitanie. Przypuszczam, że stało się tak, gdyż trucizna, jaką zaatakowały ludzi, spełniła już swoje zadanie. Obecnie pterty żyją w stanie gotowości do walki z każdymi istotami, które zagrożą drzewom brakka, ale bez powodu nie atakują.

– Naprawdę zajmujące – stwierdził Toller, lecz jego uwagę rozproszyła tańcząca w wyobraźni twarz księżnej Yantary. „W jaki sposób zaaranżować następne spotkanie?” zastanawiał się. „Ile to może potrwać?”

– Moim zdaniem – ciągnął Steennameert – w obecnej sytuacji następnym logicznym posunięciem byłoby przygotowanie odpowiedniej ekspedycji, wiele dobrze wyposażonych statków z osadnikami na pokładzie i wysłanie ich, abyśmy na nowo zapanowali nad Starym Światem, tak jak to przepowiedział król Prąd.

Toller już wcześniej podświadomie zauważył, że jak na wojskowego Steennameert wyraża się niezwykle wytwornie, a także ma lepsze wykształcenie, niż można by oczekiwać. Przyjrzał mu się z nowym zainteresowaniem.

– Dużo o tym rozmyślaliście, prawda? – spytał. – Chcielibyście wrócić na Land?

– Tak jest, panie kapitanie! – Gładka skóra na twarzy Steennameerta zaróżowiła się lekko. – Jeśli Królowa Dasecne postanowi wysłać flotę na Land, pierwszy zgłoszę się na ochotnika. A jeśli pan, panie kapitanie, byłby też skłonny polecieć, czułbym się zaszczycony służąc pod pana rozkazami.

Toller zadumał się nad tym, a wyobraźnia podsunęła mu ponury obraz garstki statków kręcących się bez celu pośród toną-

cych w trawie ruin, w których spoczywają miliony ludzkich szkieletów. Wizja ta straciła do reszty swój urok, gdy pomyślał, że nie ma w niej miejsca dla Yantary. Gdyby poleciał na Land, żyłoby dosłownie w różnych światach. Nie mógł wyjść ze zdziwienia, kiedy uświadomił sobie, że przyznaje księżnej tak doniosłe miejsce w swoich planach, zwłaszcza iż nie ma po temu żadnych podstaw. Stanowiło to miarę wyłomu, jaki powstał w murach jego emocjonalnej niezależności.

– Niestety, nie pomogę dostać się wam z powrotem na Stary Świat – odrzekł. – Zdaje się, że będę dość zajęty tu, na Overlandzie.

Rozdział 2

Wszedłszy na frontowe schody swojego domu położonego w północnej części Prądu lord Cassyll Maraquine odetchnął głęboko, z przyjemnością. W powietrzu unosił się słodkawy, orzeźwiający

zapach deszczu, który spadł nad ranem, co sprawiło, że lord pożałował, iż musi spędzić pierwsze godziny dnia w dusznych komnatach królewskiej rezydencji. Pałac był oddalony niewiele ponad milę – marmury w kolorze róży lśniły spoza zwartej linii drzew. Z chęcią udałby się tam piechotą, lecz obecnie miewał coraz mniej czasu, by rozkoszować się prostymi przyjemnościami. Królowa Daseene w podeszłym wieku stała się niezwykle drażliwa i Cassyll nie śmiał irytować jej spóźnianiem się na audiencję.

Zbliżył się do czekającego powozu i skinąwszy głową woźnicy wdrapał się do środka. Pojazd ruszył natychmiast. Zaprzężony był w cztery niebieskorożce, symbolizujące uprzywilejowaną pozycję Cassylla w społeczeństwie kolcorroniańskim. Jeszcze pięć lat temu prawo zabraniało posiadania powozu ciągniętego przez więcej niż jednego niebieskorożca, gdyż zwierzęta te odgrywały nieprzeciętną rolę w rozwoju gospodarczym planety. Nawet teraz cztery niebieskorożce w zaprzęgu stanowiły rzadkość.

Ekwipaż podarowała mu królowa, toteż Cassyll politycznie używał go wtedy, gdy jechał do niej z wizytą, mimo to, żona i syn zarzucali mu niekiedy, że staje się zbyt wygodny. Wysłuchiwał ich krytyki w dobrej wierze, choć nam zaczynał podejrzewać, że istotnie rodzi się w nim upodobanie do luksusu i wygodnego trybu życia. Zamiłowanie i pociąg do przygód, cechujące jego ojca, najwyraźniej ominęły jedno pokolenie Maraquine'ów i ujawniły się w młodym Tollerze. Niejeden raz Cassyll o mało nie wdał się w sprzeczkę z synem z powodu jego nierozwagi i staroświeckiego zwyczaju noszenia szabli, lecz nigdy nie pozwolił za bardzo ponieść się emocjom. Gdzieś w podświadomości żywił bowiem przekonanie, że powoduje nim zazdrość o cześć, jaką syn obdarza postać swojego dawno nieżyjącego, bohaterskiego dziadka.

Rozmyślając tak Cassyll przypomniał sobie, że chłopak dowodził statkiem, który powrócił wczorajszego zadnia z depe-

szami o wynikach wyprawy na Land. Teoretycznie były one tajne, jednak sekretarz Cassylla zdążył już przekazać mu wiadomość, iż na Starym Świecie nie ma żywej duszy i jest on wolny od śmiercionośnej odmiany ptert, która zmusiła ludzkość do ucieczki przez międzyplanetarną pustkę. Królowa Daseene natychmiast zwołała naradę wezwanych doradców, a fakt, że Cassyll miał także w niej uczestniczyć, pomagał zgadnąć, w którą stronę biegną jej myśli. Cassyll był ekspertem od produkcji, a w tej sytuacji pojęcie produkowania jednoznacznie odnosiło się do sterowców, co zarazem oznaczało, że Daseene pragnie zasiedlić Stary Świat i stać się w ten sposób pierwszą władczynią w historii panującą na dwóch planetach równocześnie.

Cassyll czuł instynktowną odrazę do podbojów, umocnioną przez fakt, iż jego ojciec zginął w nieudanej próbie zawojowania trzeciej planety lokalnego układu. Jednakże w tym przypadku przeciwności natury filozoficznej lub humanitarnej nie wchodziły w grę. Bliźniaczy świat Overlandu należał do jego narodu legalnie, tytułem dziedziczenia i skoro nie był zamieszkały przez jakiś lud, który trzeba by sobie podporządkować lub wymordować, nie widział żadnych moralnych przeciwwskazań wobec kolejnej międzyplanetarnej migracji. Jeśli o niego chodzi, jedynym pytaniem wymagającym odpowiedzi była sprawa skali takiego przedsięwzięcia. Musiał wiedzieć, ile statków podniebnych pragnie wysłać królowa Daseene i jak szybko to nastąpi.

„Toller z pewnością będzie chciał wziąć udział w ekspedycji” pomyślał Cassyll. „Nie uniknie ona niebezpieczeństw, ale świadomość tego tylko utwierdzi go w postanowieniu”.

Powóz dotarł wkrótce do rzeki i skręcił na zachód w kierunku Mostu Lorda Glo, głównego traktu, wiodącego do pałacu. W ciągu kilku minut, kiedy znajdowali się na krętym bulwarze, Cassyll ujrzał dwa napędzane parą powozy, z których żaden nie został

wyprodukowany w jego fabrykach. Po raz wtóry złapał się na tym, że żałuje, iż nie ma więcej czasu, by przeprowadzić odpowiednie eksperymenty z tym rodzajem napędu. Trzeba by jeszcze było wprowadzić wiele usprawnień, zwłaszcza jeśli chodzi

O przenoszenie mocy, a czas mu upływał na zarządzaniu przemysłowym imperium rodziny Maraquine'ów.

Kiedy powóz przejeżdżał przez bogato zdobiony most, pałac wyłonił się dokładnie na wprost niego. Był to prostokątny budynek, którego symetrię naruszało lewe skrzydło i wieża zbudowane przez Daseene jako pomnik ku czci jej męża. Gwardziści przy bramie głównej zasalutowali na widok powozu Cassylla. O tak wczesnej porze zaledwie cztery pojazdy parkowały na głównym dziedzińcu i Cassyll od razu zauważył karetkę Służb Podniebnych, którą jeździł Hartan Drumme, starszy doradca techniczny Szefa Obrony Powietrznej. Zaskoczony dostrzegł samego Bartana wałęsającego się wokół niej. Mając pięćdziesiąt lat Drumme wciąż trzymał się prosto i jedynie nieznaczne zeszywnienie lewego i n mienia – pozostałość po starej ranie odniesionej w bitwie – nie pozwalało mu poruszać się z młodzieńczą sprężystością. Intuicja podszeptała Cassyllowi, że fiartan czeka, by się z nim spotkać, zanim rozpocznie się oficjalne zebranie. – Przeddzień dobry! – zawołał Cassyll gramoląc się z powozu. – Szkoda, że ja nie mam chwili czasu, by pospacerować i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Cassyll! – Bartan uśmiechnął się podchodząc, by uścisnąć mu dłoń.

Wiek niewiele zmienił jego okrągłą, chłopięcą twarz. Gościł na niej nieustannie niefrasobliwy uśmiezek, który u ludzi spotykających go po raz pierwszy wywoływał mylne wrażenie, iż mają do czynienia z ignorantem. Jednak przez te wszystkie lata Cassyll nauczył się cenić Bartana za giętki, tęgi umysł.

Czekasz na mnie? – spytał.

Bardzo dobrze! – odparł Bartan unosząc brwi. – Skąd wiesz? Czaiłeś się jak mały łobuziak kręcący się koło piekarni. Co się stało, Bartanie?

Przespacerujmy się trochę, zostało jeszcze kilka minut do rozpoczęcia zebrania. – Bartan poprowadził go w ustronną część dziedzińca, gdzie zasłonił ich klomb kwitnących włóczników.

Czy będziemy spiskować przeciw Królowej? – zachichotał Cassyll.

W pewnym sensie sprawa jest równie poważna – odparł Bartan zatrzymując się. – Cassyllu, jak wiesz, moje stanowisko to naukowy doradca dyrektora Służb Podniebnych. Ale wiesz także, że tylko dlatego, iż przeżyłem wyprawę na Farland, oczekuje się po mnie jakiejś magicznej wiedzy o wszystkim, co dzieje się na niebie, i będę służył radą Jej Wysokości w sprawach specjalnej wagi, a zwłaszcza w tych, które mogą stanowić zagrożenie dla królestwa.

– Niepokoisz mnie, Bartanie – powiedział Cassyll. – Czy to ma jakiś związek z Landem?

– Nie, z inną planetą.

– Z Farlandem! Mów szybko, człowieku! – Cassylla zmroził nagły dreszcz niepokoju, kiedy w głowie zakiełkowała mu ta straszliwa myśl. Farland był trzecią planetą lokalnego układu, poruszającą się wokół słońca po orbicie dwa razy większej niż orbita pary Land-Overland i przez większą część kolcorroniańskiej historii nie był niczym więcej niż nieszkodliwą, zieloną plamką zdobiącą nocne niebo. Aż nagle, dwadzieścia sześć lat temu, szereg dziwacznych wydarzeń zaowocował wysłaniem tam jednego statku. Po wystartowaniu z Overlandu „Kolcorron” przebył miliony mil niebezpiecznej próżni, by dotrzeć do ostatniej planety układu. Wyprawa zakończyła się fiaskiem, ojciec Cassylla nie był jedynym, który zginął na tej wilgotnej, deszczowej planecie, i tylko troje uczestników powróciło niosąc ze sobą niepokojące wieści.

Na Farlandzie mieszkała rasa o tak wysokim stopniu rozwoju, że za jednym zamachem byliby w stanie unicestwić całą cywilizację overlandzką. Szczęśliwie dla Kolcorronian Farlandczycy byli zajęci swoimi sprawami, a rządząca planetą grupa symbionitów, istot hiperinteligentnych ukrytych w mózgach niczego nie podejrzewających Farlandczyków, nie interesowała się Overlandem. Taka mentalność stanowiła nierozwiązywalną zagadkę dla zaborczych z natury Kolcorronian i choć lata zlewały się w dekady upływające bez żadnych oznak agresji ze strony tajemniczej trzeciej planety, to strach przed nagłym, miażdżącym atakiem wciąż kołatał się w sercu niejednego Overlandczyka. Strach ten, jak Cassyll Maraquine miał okazję się przekonać, nigdy nie przestawał drażnić ich umysłów.

– Z Farlandem? – Bartan posłał mu dziwny uśmiech. – Nie, ja mówię o jeszcze innej planecie, o czwartej planecie.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Cassyll badawczo przyglądał się twarzy przyjaciela, tak jakby stanowiła ona zagadkę, którą trzeba było rozwiązać.

– To chyba żart? Twierdzisz, że odkryłeś następną planetę?

– To nie ja dokonałem tego odkrycia. – Bartan pokręcił smutno głową. – A nawet żaden z moich techników. Zrobiła to kobieta, kopistka z archiwum w Grain Quay. Ona mi ją pokazała.

– A co to ma za znaczenie, kto ją pierwszy zobaczył? – odparł Cassyll. – Rzecz w tym, że masz niezwykle ciekawe, naukowe odkrycie do... – urwał uprzytomniwszy sobie, że przecież nie wysłuchał jeszcze do końca tej historii. – Dlaczego chmurzysz czoło, stary przyjacielu?

– Kiedy Divare opowiadała mi o tej planecie, nadmieniła, że jest ona koloru niebieskiego. Z początku pomyślałem, że musiała się pomylić. Sam wiesz, jak dużo niebieskich gwiazd mieni się na niebie. Setki. Spytałem więc, jakiego teleskopu potrzeba, by ją

dostrzec wyraźnie, a ona mi na to, że może być bardzo słaby. W rzeczywistości, powiedziała, można ją nawet oglądać gołym okiem. I miała rację, Cassyllu. Pokazała mi ją ostatniej nocy, niebieską planetę, wyraźnie widoczną bez pomocy przyrządów optycznych, nisko nad zachodnim horyzontem tuż po zachodzie słońca.

Cassyll zmarszczył brwi. – Sprawdziłeś ją przez teleskop?

– Tak. Nawet przy użyciu zwyczajnych wojskowych przyrządów można dostrzec jej okazałą tarczę. To jest j planeta, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Lecz... – Cassyll nawet nie krył zakłopotania malującego się mu na twarzy. – Dlaczego nie zauważono jej wcześniej?

Na ustach Bartana pojawił się znów ten sam dziwny uśmiech.

– Jedyna odpowiedź, jakiej ci mogę udzielić, to ta, że wcześniej nie można jej było zaobserwować, gdyż jej tam nie było.

– Przecież to przeczy całej naszej wiedzy na temat astronomii. Słyszałem, że niekiedy nowe gwiazdy pojawiają się tu i tam, nawet jeśli ich żywot nie jest długi, ale w jaki sposób nowy świat mógł tak po prostu zmaterializować się na naszym niebie?

– Królowa Daseene nie omieszka zadać mi identycznego pytania – odparł Bartan. – Będzie też chciała wiedzieć, od jak dawna jest on na niebie, i odpowiem jej, że nie wiem. A potem spyta, co trzeba w związku z tym zrobić, i znów nie będę wiedział, i wtedy zaczniesz się zastanawiać, jaki też to pożytek z doradcy, który nic nie wie...

– Sądzę, że niepotrzebnie się zamartwiasz – pocieszył go Cassyll. – Królowa najprawdopodobniej potraktuje to wydarzenie jako dość ciekawe zjawisko astronomiczne. Co każe ci myśleć, że ta niebieska planeta stanowi jakiegokolwiek zagrożenie?

Bartan zamrugał oczami.

– Moje przeczucie. Instykt. Nie powiesz chyba, że ona cię nie niepokoi.

– Jestem nią żywo zainteresowany. Chciałbym, żebyś mi ją pokazał dziś wieczorem, lecz dlaczego miałbym się niepokoić?

– Bo... – Bartan zerknął w niebo, jakby tam szukał natchnienia. – Cassyllu, to nie jest normalne! To jest nienaturalne, jakiś omen, zapowiedź czegoś, co ma się wydarzyć.

Cassyll wybuchnął śmiechem.

– Bartanie, przecież jesteś najmniej przesadnym człowiekiem, jakiego znam! A mówisz tak, jakby ten wędrowny świat ukazał się na firmamencie tylko po to, by prześladować właśnie ciebie.

– Cóż... – Bartan uśmiechnął się z przymusem przybierając ponownie wygląd młodzieńca. – Pewnie masz rację.. Powiniennem był od razu przyjść z tym do ciebie. Dopiero kiedy Berise umarła, zrozumiałem, że w dużej mierze dzięki niej udawało mi się unikać huśtawki nastrojów.

Cassyll przytaknął współczująco, jak zwykle z trudem uświadamiając sobie, że Berise Drumme nie żyje już od czterech lat. Ciemnowłosa, tryskająca energią, nieugięta Berise sprawiała wrażenie, jakby miała żyć wiecznie, ale w ciągu kilku godzin zabrała ją jedna z tych tajemniczych chorób bez przyczyny, które wciąż na nowo uświadamiają medykom, jak znikoma jest ich wiedza.

– Jej śmierć była dla nas wszystkich ciężkim ciosem -powiedział Cassyll. – Wciąż pijesz.

– Tak. – Bartan dostrzegł zmartwienie w oczach Cassy. I-la i położył mu rękę na ramieniu. – Lecz już nie tak, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy spotkałem twego ojca. Nie mógłbym tego zrobić Berise. Teraz wystarczy mi szklaneczka, może dwie, cierpnika przed snem.

– Przyjdź do mnie dziś wieczorem i przynieś dobry teleskop. Wychylimy puchar czegoś rozgrzewającego i popatrzymy na tę planetę. I czeka cię jeszcze jedno zadanie: musimy jakoś ją nazwać.

– Cassyll poklepał przyjaciela po plecach i skinieniem głowy wskazał na łukowate wejście do pałacu dając mu do zrozumienia, że czas już, by udali się na spotkanie z Królową.

Znalazłszy się wewnątrz mrocznego budynku skierowali się prosto do komnaty przyjęć, przemierzając niemal puste korytarze. Za czasów króla Chakkella pałac był siedzibą rządu i zazwyczaj roiło się tu od urzędników. Lecz Daseene osadziła administrację państwową w oddzielnych budynkach i traktowała pałac jak swoją prywatną rezydencję. Jedyne wybrane zagadnienia, na przykład obrona powietrzna, którą Królowa interesowała się specjalnie, dostępowały zaszczytu jej osobistej uwagi.

Przy drzwiach komnaty dwaj ostiariusze spływający potem pod ciężarem tradycyjnej zbroi z drzewa brakka rozpoznali nadchodzących mężczyzn i natychmiast ich przepuścili. Upał w komnacie był nieznośny, Cassyll z trudem łapał powietrze. W podszłym wieku Królowa Daseene nieustannie narzekała, że jest jej zimno, zatem w używanych przez nią pomieszczeniach utrzymywano wysoką temperaturę, dla większości ludzi absolutnie nie do wytrzymania.

Jedyną osobą w komnacie był lord Sectar, skarbnik królewski zajmujący się kontrolą budżetu państwa. Jego obecność stanowiła jeszcze jeden dowód na to, że Królowa planuje przejąć Stary Świat. Lord był postawnym mężczyzną około sześćdziesiątki, o szerokich barach, obwisłych policzkach i rumianej twarzy, która w panującej duchocie zmieniała kolor na karmazynowy. Przywitał ich skinieniem głowy i wskazując bez słowa na podłogę, gdzie zainstalowano rury ciepłownicze, przewrócił oczami, po czym otarł kropelki potu z czoła i podszedł do lekko uchylonego

okna.

Cassyll zareagował na tę krótką pantomimę przesadnym wzruszeniem ramion, mającym wyrażać bezradność i usiadł na jednej z amfiteatralnie ustawionych ław zwróconych w stronę królewskiego tronu. Od razu powrócił myślą do tajemnicy niebieskiej planety. Pomyślał, że chyba zbyt łatwo oswoił się ze zjawiskiem, o którym opowiedział mu Bartan. Jak to możliwe, by jakaś planeta tak po prostu zmaterializowała się w pobliskich rejonach kosmosu? Skoro na niebie pojawiają się nowe gwiazdy, można przypuszczać, że niekiedy gwiazdy również znikają, rozpadając się w wyniku eksplozji i zostawiają po sobie ślady w postaci planet. Cassyll był sobie w stanie wyobrazić takie światy tułające się w ciemnościach międzygwiazdnej pustki, lecz prawdopodobieństwo, by jeden z nich przyłączył się do lokalnego systemu, wydawało mu się niemal równe zeru. Możliwe, że powodem braku należytego zdziwienia był fakt, iż tak naprawdę, w głębi serca nie wierzył w istnienie niebieskiej planety. Przecież chmura gazu może w pewnych warunkach przybrać wygląd ciała stałego.

Cassyll powstał, gdy herold otworzył drzwi i uderzył w podłogę okutą metalem laską, oznajmiając przybycie Królowej. Daseene weszła do komnaty, odprawiła dwie damy dworu, towarzyszące jej aż do samych drzwi, i zbliżyła się do tronu. Pomimo iż była szczupła i drobnej postury, pozornie przygnieciona ciężarem zielonych jedwabnych szat, sposób, w jaki dała zebrany znak, by usiedli, oznajmiał niepodważalną władzę.

– Dziękuję wam za przybycie – odezwała się piskliwym, lecz pewnym głosem. – Jestem świadoma, że mają panowie rozliczne zajęcia nie cierpiące zwłoki, toteż od razu przejdziemy do meritum sprawy. Jak z pewnością już was poinformowano, otrzymałam depesze z wyprawy na Land. Ich treść jest w skrócie następująca:

Daseene jęła szczegółowo opisywać wyniki ekspedycji -

płynnie, nie korzystając z notatek. Skończywszy przebiegła wzrokiem twarze zebranych, wpatrując się w nie uważnie spod ozdobionego perłami kornetu, bez którego nigdy nie pokazywała się publicznie. Tak, jak już nieraz w przeszłości, Cassyllowi przyszło na myśl, że jeśli zaistniałaby potrzeba, Daseene była w stanie jeszcze za życia męża przejąć sprawowanie władzy nad Overlandem w dowolnym momencie i poradziłaby sobie z tym zadaniem przykładowo.

Dziwne więc, że przeważnie usuwała się w cień, nie licząc tych kilku wypadków, kiedy chodziło o prawa kobiet.

– Domyślcie się już najpewniej, co powodowało mną, by zwołać niniejsze zebranie – ciągnęła przemawiając w oficjalnym języku, kolcorroniańskim. – Zważywszy, że pełny raport od dowódców ekspedycji otrzymam dopiero za trzy dni, możecie uważać moje posunięcia za zbyt pochopne, lecz osiągnęłam wiek, w którym wstrętna jest mi myśl, że mogłabym stracić choćby godzinę. Zamierzam bezzwłocznie wysłać flotę na Land. Pragnę, by przed moją śmiercią Ro-Atabri znów stało się tętniącą życiem stolicą. Przeto spodziewam się, że podejmiecie, panowie, niezbędne decyzje jeszcze za przeddnia oraz, że proces wprowadzenia tych decyzji w życie rozpocznie się nie później niż z końcem nadchodzącej małonocy. Zatem, panowie, nie traćmy już więcej czasu! Moje pierwsze pytanie brzmi: jak liczna powinna być taka flota? Lordzie Cassyllu, jakie są pana zapatrywania na tę sprawę?

Cassyll zamrugał oczami i podniósł się z miejsca. Królowa Daseene reprezentowała styl rządów przyjęty przez nieżyjącego już króla Chakkella, odpowiadający potrzebom pionierów w nowym świecie, i Cassyll wcale nie był pewien, czy sprawdza się on w obecnej sytuacji.

– Wasza Wysokość, jako twoi wierni poddani podzielamy twoje poglądy w sprawie odzyskania Starego Świata, lecz z całym

szacunkiem pragnąłbym zauważyć, że w danym momencie nie zagraża nam śmiertelne niebezpieczeństwo, jak to miało miejsce podczas migracji. Jak dotąd nie mamy żadnej pewności, iż dostępna jest nam cała powierzchnia Landu. Zatem roztropność dyktowałaby, aby śladem pierwszej ekspedycji wysłać drugą, złożoną wyłącznie z żołnierzy i wyposażoną w sterowce, które można by złożyć z przywiezionych części już na Landzie i wykorzystać w celu okrążenia i dokładnego zbadania planety.

Daseene potrząsnęła głową.

– Ten plan jest zbyt roztropny i czasochłonny. Twój ojciec, lordzie Cassyllu, nigdy nie służyłby mi podobną radą.

– Czasy mojego ojca minęły, Wasza Wysokość – odpowiedział Cassyll.

– Może tak, a może nie. Lecz wracając do tego, co mówił pan o sterowcach, proponuję wysłać... cztery. Czy ta liczba panu odpowiada?

Cassyll skłonił się z ironią.

– Odpowiada w zupełności, Wasza Wysokość.

Daseene skwitowała jego odpowiedź krzywym uśmiechem dając mu do zrozumienia, że zgryźliwy ton nie uszedł jej uwagi i zwróciła się do Bartana Drumme'a.

– Czy przewiduje pan jakieś trudności w przewiezieniu sterowców na pokładzie statków podniebnych?

– Nie, Wasza Wysokość – odparł Bartan wstając. -Można przebudować gondole małych sterowców tak, by posłużyły za gondole dla potrzeb tej jednej przeprawy. Po wylądowaniu na Landzie wystarczy tylko zastąpić balony podniebne balonami sterowców.

– Doskonale! Właśnie takie pozytywne nastawienie lubię u swoich doradców. – Daseene posłała Cassyllowi znaczące spojrzenie. – Zatem, lordzie Cassyllu, jaką liczbę statków podniebnych

można przygotować do przeprawy w ciągu, powiedzmy, pięćdziesięciu dni?

Zanim jednak Cassyll zdążył otworzyć usta, Bartan odkaszlnął i wtrącił:

– Za pozwoleniem, Wasza Wysokość, mam coś ważnego do zakomunikowania. Pewne zjawisko, mam wrażenie, w tym momencie powinno zostać przedstawione Waszej Wysokości.

– Czy ma to jakiś związek z obecną dyskusją? Bartan rzucił Cassyllowi strapione spojrzenie.

– Prawdopodobnie tak, Wasza Wysokość.

– W takim razie – rzuciła niecierpliwie Daseene – lepiej niech pan mówi, tylko zwięźle.

– Wasza Wysokość, ja... odkryto nowy świat w naszym systemie planetarnym.

– Nowy świat? – Daseene zmarszczyła brwi. – Panie Drumme, o czym pan plecie? Przecież to niemożliwe.

– Widziałem go na własne oczy, Wasza Wysokość. Niebieska planeta, czwarta w systemie... – zazwyczaj płynnie wyrażający się Bartan jąkał się i potykał o własne słowa, wprawiając tym Cassylla w zdumienie.

– Jak duża jest ta planeta?

– Nie jesteśmy w stanie tego określić, dopóki nie dowiemy się, w jakiej jest od nas odległości.

– No dobrze – westchnęła Daseene. – Jak daleko znajduje się ten pański nowo narodzony świat?

Bartan sprawiał wrażenie człowieka głęboko nieszczęśliwego.

– Nie możemy obliczyć, dopóki nie...

– ...poznamy jego rozmiarów – przerwała mu Królowa. – Panie Drumme! Jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni za krótką wycieczkę we wspianiały, precyzyjny świat astronomii, lecz moim

gorącym życzeniem jest, by ograniczył pan swoje uwagi jedynie do tych, które mają związek z tematem zebrania. Czy wyraziłam się jasno?

– Tak, Wasza Wysokość – wymamrotał Bartan opadając ciężko na ławę.

– Zatem – Daseene zadrżała nagle, podciągnęła kołnierz swej szaty bliżej szyi i przebiegła pomieszczenie podejrzliwym spojrzeniem. – Nic dziwnego, że tutaj marzniemy! Kto otworzył to okno? Proszę je natychmiast zamknąć, mm umrzemy z zimna.

Poruszając bezdźwięcznie ustami lord Sectar wstał i zamknął okno. Jego haftowany żupan pociemniał od licznych plam potu, a sam lord ostentacyjnie ocierał pot z czoła powracając na miejsce.

– Nie wygląda pan najlepiej – zauważyła zdawkowo Daseene. – Powinien pan pójść do medyka. – Po czym ponownie zwróciła się do Cassylla i ponownie spytała, ile statków podniebnych można przygotować do drogi w ciągu pięćdziesięciu dni.

– Dwadzieścia – odparł bez wahania Cassyll zdecydowany, że wymienienie tak optymistycznej liczby jest właściwym posunięciem z uwagi na nastrój Królowej. Jako że zarządzał Komisją do Spraw Zaopatrzenia Służb Podniebnych, był kompetentny w określaniu liczby statków i potrzebnego sprzętu, niezbędnych do międzyplanetarnej przepywy. Łączyło się to z wycofaniem ich z rutynowych działań. Od kiedy odkryto, że Farland jest planetą zamieszkaną, w strefie nieważkości pomiędzy dwoma bliźniaczymi planetami znajdowało się kilka stacji obronnych. Przez parę lat wielkie drewniane fortece obsadzano załogą, lecz kiedy społeczeństwo kolcorroniańskie ochłonęło już ze strachu przed możliwością ataku z Farlandu, zaprzestano tej procedury. Stacje wraz z silnikami do działań wojennych utrzymywano obecnie w stanie gotowości dokonując niezbędnych remontów podczas regularnych

lotów balonowych do strefy nieważkości. Rozkład lotów nie był napięty i Cassyll oszacował, że około połowa statków floty Służb Podniebnych mogła wziąć udział w zadaniach ponadplanowych.

– Dwadzieścia statków – powiedziała Daseene trochę zadowolona. – Cóż, wydaje mi się, że jest to wystarczająca liczba, by zorganizować tę wyprawę.

– Oczywiście, Wasza Wysokość, zwłaszcza że nie jesteśmy zmuszeni myśleć kategoriami inwazji. Można przewidzieć, że Land i Overland zostaną połączone regularnym szlakiem komunikacyjnym, o z początku niewielkiej przepustowości, lecz z czasem...

– To nie ma sensu, lordzie Cassyllu – ucięła Królowa. - Po raz wtóry proponujesz zbyt umiarkowane rozwiązanie i po raz wtóry odpowiadam ci, że nie mam na nie czasu. Powrót na Land musi być zdecydowany, zmasowany, zwycięski. Musi być niezapomnianym wydarzeniem, które przejdzie do historii. Być może lepiej zrozumie pan, co czuję, jeśli powiem, że zezwoliłam jednej z moich wnuczek, księżnie Yantarze, by wzięła udział w tej wyprawie. Jest doświadczonym kapitanem i z pewnością odegra pożyteczną rolę we wstępnych badaniach planety.

Cassyll pochylił głowę na znak milczącej zgody, po czym energicznie zabrano się do ustalania szczegółów planu. Nakreślony w przeciągu godziny – miał zadecydować o przyszłości dwóch światów.

Opuściwszy duszne komnaty pałacu Cassyll postanowił udać się prosto do domu. Rzut oka na niebo przekonał go, że słońce schowa się za wschodnią krawędź Landu dopiero za jakieś trzydzieści minut, miał więc dosyć czasu, by przespacerować się biegnącymi w cieniu drzew alejami ogrodów miejskich. Haust świeżego powietrza na pewno dobrze mu zrobi, nim będzie musiał powrócić do pochłaniających mu większość czasu spraw zawo-

dowych.

Odprawił woźnicę i ruszył do Mostu Lorda Glo, gdzie skręcił na wschód w biegnącą wzdłuż brzegu rzeki ścieżkę, prowadzącą wzdłuż kilku budynków rządowych. Na ulicach panował gorączkowy ruch zazwyczaj poprzedzający małonocny posiłek i codzienną zmianę rytmu życia Kolcorronian. Dopiero teraz, kiedy miasto liczyło sobie pół wieku, nabierało w oczach Cassylla dojrzałości i trwałości, która stanowiła nieodzowną część jego życia. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wybierze się na Land, by obejrzeć wytwory tysięcy lat cywilizacji. Królowa Daseene nie wyjawiała im tego, lecz Cassyll podejrzewał, że w głębi serca pragnęła powrócić do miejsca swoich narodzin i, świadoma uciekających lat, zamierza być może dokonać tam swoich dni. Cassyll dobrze ją rozumiał w tym względzie, lecz Overland był jego jedynym domem i nie miał wcale chęci go opuszczać, zwłaszcza że w najróżniejszych dziedzinach pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Może też brakowało mu równocześnie ducha i odwagi, by wziąć udział w tej obfitującej w niebezpieczeństwa wyprawie.

Zbliżał się właśnie do Neldeever Plaża, gdzie mieściły się budynki kwater głównych czterech rodzajów sił zbrojnych, kiedy spostrzegł znajomą sylwetkę jasnowłosego młodzieńca górującą ponad tłumem pieszych. Cassyll nie widział się z synem chyba ze sto lat i kiedy oczami przypadkowego przechodnia dostrzegł jego jasne spojrzenie, gibkie ruchy i wdzięk, z jakim młody człowiek nosił granatowy mundur kapitana Służb Podniebnych, poczuł, jak wzruszenie i duma rozpierają mu pierś.

– Toller! – zawołał, kiedy o mało nie zderzyli się w ulicznym ścisku.

– Ojcze! – Ściągnięta twarz Tollera zdradzała roztargnienie, jakby ciążyło mu coś na sercu, lecz oczy rozbłyły radośnie. Wyciągnął ramiona i dwaj mężczyźni padli sobie w objęcia, rozdzie-

lając sunący strumień przechodniów.

– A to dopiero szczęśliwy zbieg okoliczności – odezwał się Cassyll, wypuszczając syna z uścisku. – Idziesz do domu?

Toller przytaknął skinieniem głowy.

– Wybacz, że nie pojawiłem się wczoraj, ale gdy wreszcie udało się nam zacumować bezpiecznie, zrobiło się już bardzo późno. Poza tym wynikły pewne problemy...

– Jakie problemy?

– Nic aż tak ważnego, by zaprzętać sobie głowę w ten słoneczny dzień – odparł Toller z uśmiechem. – Spieszmy do domu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo po pokładowej kuchni stęskniłem się za małocnymi marmoladami matki.

– Chyba ci jednak służy żołnierski wikt.

– Ale nie tak jak tobie porządne jedzenie – odpowiedział Toller, próbując uszczypnąć fałdy tłuszczu na brzuchu Cassylla. Ruszyli w stronę rodzinnego domu, prowadząc ten rodzaj konwencjonalnej pogawędki, która lepiej niż głębokie dyskusje odnawia po długiej rozłące więzy między ludźmi. Kiedy zbliżali się do Square House, który swą nazwę odziedziczył po dawnej rezydencji Maraquine'ów w Ro-Atabri, rozmowa zeszła na poważniejsze tory.

– Wracam właśnie z pałacu – zaczął Cassyll – z wiadomościami, które powinny cię zainteresować. Wysyłamy na Land flotę składającą się z dwudziestu statków.

– Tak, wkraczamy we wspaniały etap naszej historii. Dwie planety zamieszkane przez jeden naród.

Cassyll zerknął na patkę na ramieniu syna, szafranowo-granatową odznakę, informującą, że Toller jest doświadczonym pilotem zarówno sterowców, jak i statków podniebnych.

– Będzie tam dla ciebie dużo pracy.

– Dla mnie?! – Toller mlasnął językiem w rozbawieniu. – O

nie, dziękuję, ojcze. Przyznaję, że któregoś dnia z chęcią zobaczyłbym Stary Świat, lecz obecnie to przecież jedna wielka kostnica, a perspektywa uprzątnięcia milionów ludzkich szkieletów jakoś mnie nie pociąga.

– Ale pomyśl tylko o przeprawie, przygodach! Byłem pewien, że z miejsca złapiesz taką okazję.

– Przez pewien czas będę miał dosyć zajęć tu, na Overlandzie – odparł Toller, a po jego twarzy przebiegł ten sam cień, który Cassyll dostrzegł już wcześniej.

– Coś cię gnębi – powiedział. – Czy masz zamiar zatrzymać to dla siebie?

– A dasz mi taką możliwość?

– Nie.

– Tak myślałem. – Toller pokręcił głową z udawaną rezygnacją. – Jak wiesz, to ja odebrałem posłańca z Landu. W ostatniej chwili jednak nad miejscem lądowania pojawił się drugi statek i chciał sprzątnąć mi zdobycz sprzed nosa. Oczywiście nie pozwoliłem na to...

– Oczywiście.

– ...i nastąpiła niegroźna kolizja. Ponieważ mój statek wyszedł z niej bez uszczerbku, wstrzymałem się od odnotowywania tego wydarzenia w dzienniku pokładowym, pomimo iż całą winę ponosił kapitan tamtego statku. Lecz dziś rano poinformowano mnie, że wpłynął raport, w którym zrzuca się całą winę na mnie. Mam się jutro stawić u pułkownika Tresse.

– Nie masz się czym martwić – powiedział Cassyll, uspokojony. Sprawa nie jest poważna. – Porozmawiam z Tresse'em jeszcze tego zadnia i zaznajomię go z prawdziwymi faktami.

– Dziękuję, ojcze, ale sądzę, że sam powinienem dawać sobie radę w takich sytuacjach. Powinienem był ubezpieczyć się, wprowadzając notatkę w dzienniku, lecz i tak mam wystarczającą

liczbę świadków, potwierdzą moje słowa. Cała ta sprawa jest naprawdę trywialna. Błaha jak ukąszenie pchły.

– Lecz chyba bardzo swędząca.

– Bo pełno w niej przewrotności – odburknął Toller. -Zaufałem tej kobiecie, ojczu, a oto, jak ona mi odpłaca.

– Aha! – Cassyll powstrzymał uśmiech, kiedy nagle zrozumiał prawdziwy powód zmartwienia syna. – Nie mówiłeś, że tym niezdyscyplinowanym kapitanem była kobieta.

– Naprawdę? – odparł Toller, siląc się na obojętność. -To nie ma żadnego znaczenia, lecz tak się złożyło, że była to jedna z czeredy wnuczek Królowej, księżna Yantara.

– Przystojna kobieta, prawda?

– Możliwe, że niektórym mężczyznom... Co chcesz przez to powiedzieć, ojczu?

– Nic, zupełnie nic. Jestem tylko ciekaw tej osoby, gdyż w przeciągu kilku ostatnich godzin to już drugi raz jej nazwisko pada w rozmowie ze mną. – Kątem oka Cassyll dostrzegł, że syn rzuca mu pytające spojrzenie, lecz nie mogąc się powstrzymać, by się z nim trochę podroczyć, nie powiedział nic więcej. Szedł w milczeniu osłaniając dłonią oczy przed słońcem, by lepiej widzieć wielki rój ptert, które poruszały się z biegiem rzeki. Prawie niewidoczne kule opadały i podskakiwały niemal dotykając powierzchni wody, kołysane lekką bryzą.

– A to dopiero zbieg okoliczności – odezwał się w końcu Toller. – Co ci powiedziano?

– O czym?

– O Yantarze. Kto o niej wspominał?

– Ni mniej, ni więcej, tylko sama Królowa – odparł Cassyll, spoglądając uważnie na syna. – Wygląda na to, że Yantara zgłosiła się na ochotnika do służby we flocie, którą wysyłamy na Land, i fakt, że Królowa wyraziła na to zgodę, ma być wyrazem poparcia

udzielanego przez Koronę temu przedsięwzięciu.

Ponownie zapadła chwila ciszy, po czym Toller powiedział:

– Yantara jest pilotem sterowca, jakie więc ma być jej zadanie w Starym Świecie?

– Powiedziałbym, że dość zasadnicze. Wysyłamy cztery sterowce. Mają okrążyć całą planetę i dowieść, że nie istnieją na niej żadni przeciwnicy rządów Królowej Daseene. Wyobrażam sobie, że taka wyprawa musi obfitować w mnóstwo przygód, ale oczywiście pozostaje jeszcze sprawa niewygód pokładowego życia, których masz dość jak na razie...

– Nie dbam o to! – wykrzyknął Toller. – Chcę wziąć udział w tej wyprawie.

– Na Land? Ależ przed chwilą...

Toller zatrzymał Cassylla łapiąc go za ramię i spojrzał mu prosto w oczy.

– Skończmy z tymi gierkami, ojcze! Chce poprowadzić statek na Land. Dopilnujesz, by moje podanie rozpatrzono pomyślnie, dobrze?

– Nie jestem pewien, czy mogę ci to obiecać – odparł z wahaniem Cassyll nagle zaniepokojony perspektywą, że jego jedyny syn, który mimo swych pretensji do dojrzałości wciąż był bardzo młody, narazi życie w przeprawie przez pomost rozrzedzonego powietrza łączący dwie planety.

Toller uśmiechnął się szeroko.

– Nie bądź taki skromny, mój ojcze. Należysz do tyłu komisji, rad, trybunałów, konsyliów i komitetów, że, oczywiście na swój nie rzucający się w oczy sposób, praktycznie rządysz Kolcorronem. A teraz obiecaj mi, że polecę na Land.

– Polecisz na Land – zgodził się Cassyll potulnie.

Tej nocy, czekając aż Bartan Drumme przybędzie z teleskopem, Cassyll pomyślał, że chyba zna prawdziwy powód drą-

zących go obaw związanych z wyprawą Tollera do Starego Świata. Jego stosunki z synem układały się harmonijnie i zadowalająco, aczkolwiek Toller znajdował się pod przemożnym wpływem opowieści i legend otaczających postać jego dziadka. Oprócz uderzającego zewnętrznego podobieństwa odziedziczył po nim wiele cech charakteru, między innymi niecierpliwość, odwagę, idealizm i porywczosć. Cassyll jednak podejrzewał, że nie były one aż tak silne, jakby młody Toller tego sobie życzył. Ojciec Cassylla był człowiekiem o wiele twardszym, zdolnym do całkowitej bezwzględności, kiedy uważał ją za nieodzowną, posiadającym ponadto zawziętość, która kazałaby mu raczej zginąć niż sprzeniewierzyć się zasadom. Cassyll z zadowoleniem przyjmował fakt, że życie społeczeństwa kolcorroniańskiego stało się spokojniejsze i bezpieczniejsze niż kilka dekad temu i że istniało obecnie mniejsze prawdopodobieństwo, iż młody Toller znajdzie się w okolicznościach, w których z prostej chęci dorównania narzuconym sobie ideałom mógłby utracić życie. Jednak teraz, kiedy postanowił on polecieć na Stary Świat, to prawdopodobieństwo wzrosło i Cassyllowi wydawało się, że duch dawno zmarłego Tollera ożywa, przeczuwając nadchodzące niebezpieczne przygody i przygotowuje się, by omotać młodego, wrażliwego mężczyznę. I choć Cassyll ciepło myślał o rodzonym ojcu, szczerze zapragnął, by jego niespokojna dusza należała już tylko do grobu i przeszłości. Odgłosy powitania dochodzące od frontowego wejścia, gdzie służący wpuszczał Bartana Drumme'a, wyrwały Cassylla z rozmyślań. Zszedł po szerokich schodach do holu i przywitał się z przyjacielem, taszczącym ze sobą oprawny w drewno teleskop i trójnóg. Służący zaofiarował się ponieść przyrządy, lecz Cassyll odprawił go i wraz z Bartanem zadźwigali ciężki instrument na balkon na piętrze, z którego roztaczał się widok na zachodnią część nieba. Odbite od powierzchni Landu światło było na tyle silne, by można

przy nim czytać, niemniej jednak firmament połyskiwał niezliczoną liczbą gwiazd i setkami spiral najróżniejszej wielkości i kształtów, od okrągłych wirów, do najbardziej spłaszczonych elips. Co najmniej sześć dużych komet rozłożyło lśniące ogony na granacie nieba, a meteory rozbłyskiwały nieustannie, łącząc liniami płynnego światła błyszczące zjawiska na firmamencie.

– Zdumiałeś mnie dziś, Bartanie – odezwał się Cassyll. -Nie znam nikogo, kto by miał tak obrotny język jak ty i umiał równie dobrze przemawiać przed każdą publicznością i w każdych okolicznościach. A jednak wygląda, że z jakiejś przyczyny straciłeś rezon. Co się z tobą stało?

– Miałem poczucie winy – odparł krótko Bartan, unosząc głowę i przerywając na chwilę rozstawianie trójnogu.

– Winy?

– Tak. Za sprawą tej diabelskiej czwartej planety, Cassyllu. Przeczucie mi mówi, że nie wróży nam ona nic dobrego. Nie powinno jej tam być. Jej obecność ubliża naszej wiedzy o zjawiskach naturalnych, jest znakiem, że dzieje się coś strasznie niedobrego, a ja nie jestem w stanie przekonać nikogo, nawet ciebie, że mamy powód do niepokoju. Czuję się, jakbym niedoskonałością w słowie zdradził Królową i ojczyznę, a teraz sam już nie wiem, co robić.

Cassyll uśmiechnął się pocieszająco.

– Pozwól, że przyjrzę się temu zwiastunowi, który zaprzęta twój umysł. Wszystko, co poraża martwością język Drumme'a, godne jest najwyższej uwagi.

Czuł się wciąż pewnie i lekko, kiedy Bartan przygotowawszy teleskop odstał na bok i ruchem ręki zaprosił go do spojrzenia w okular. Z początku wzrok Cassylla napotkał rozmazany, roztańczający niebieskawą poświatę dysk, przypominający wypełnioną kolorowym gazem bańkę mydlaną, lecz jedno dotknięcie drążka ostrości wystarczyło, by Cassyllowi zaparło dech w piersi.

Dokładnie przed jego oczyma, falując w oceanie wszechświata o barwie indygo, unosiła się planeta – świat w pełnym tego słowa znaczeniu, z ośnieżonymi biegunami, oceanami, zarysami lądów i białą otoczką atmosfery.

Nie miał prawa istnieć, a jednak istniał, i w momencie konfrontacji z tym faktem pierwszym odczuciem Cassylla był nieuzasadniony strach o bezpieczeństwo syna.

Rozdział 3

Wysokościomierz składał się z pionowej skali i niedużego ciężarka zawieszonego na delikatnej sprężynie. Gdy statek nabierał wysokości i siła ciężkości malała, ciężarek wędrował w górę. Zasada działania była tak prosta i efektywna, że w przeciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wprowadzono zaledwie jedną modyfikację: sprężynka, niegdyś wyrabiana z cienkich jak włos wiórów drzewa brakka, obecnie wykonana była z najprzedniejszej stali. W ubiegłych dziesięcioleciach kolcorroniański przemysł metalurgiczny poczynił wielkie postępy, zatem gwarantowana przez producenta trwałość stalowych sprężynek uczyniła wykalibrowanie wysokościomierza czynnością dziecinnie łatwą. Toller uważnie przyjrzał się przyrządowi. Upewniwszy się, iż wskazuje on ciężkość zerową, wy dostał się z kajuty i starając się zachować pionową pozycję ru-

szył w stronę relingu. Flota dotarła do strefy nieważkości w środku dnia, tak więc opływające sylwetkę Tollera promienie słoneczne kładły się równoległe do pokładu. Po jednej stronie rozciągał się usiany miriadami gwiazd i srebrnych spiral ciemnograny kosmos, po drugiej zaś nadmiar słonecznego światła utrudniał obserwację. W dole jawił się ogromny dysk Overlandu, jego jedna połowa kryła się w ciemnościach nocy, druga zaś dokładała swój blask do ogólnej gry światła. W górze, częściowo skryty za powłoką balonu, połyskiwał Stary Świat, również wykonując swoją partię w symfonii pałających promieni.

Na jednym poziomie z Tollerem, skąpane w słonecznym świetle, unosiły się trzy pozostałe balony i podczipione do nich gondole sterowców, które w tej wyprawie zastępowały zwykle używane w statkach podniebnych lekkie skrzynkowe konstrukcje. Smukłą sylwetkę każdej gondoli szpecił pionowo zamontowany silnik, którego dysza wylotowa znajdowała się pod kilem. Poniżej, odcinając się na tle jaśniejącej kuli Overlandu, żeglowało szesnaście statków pogrupowanych w czwórki. Stanowiły one główny trzon floty. Gdy patrzyło się z góry, balony miały kształt idealnie sferyczny i wyglądały jak prawdziwe planety, a linki nośne i szwy na powłoce zdawały się naniesionymi na globus południkami. Powietrze wypełniał ryk silników, niekiedy przechodzący w nieznośne wycie, gdy wtórujące głosy kilku statków łączyły się unisono.

Toller obserwował niebo przez lornetkę, poszukując pogrupowanych w okręgi fortec i żalując, że nie wynaleziono jeszcze błyskawicznej metody odnajdywania ich niezależnie od układu słońca i planet. Toller nie miał nawet pojęcia, z której strony się ich spodziewać. Wysokościomierz mógł mylić się o dziesięć mil, a prądy konwekcyjne, sprawiające, że w pomoście powietrznym panował ziąb, przyczyniały się do podobnych odchyłań w pozio-

mie. Ogromne na ludzką miarę stacje obronne były zapewne drobnymi punkcikami zatopionymi w mroźnym, bezbrzeżnym błękicie.

– Szukasz czegoś, młodzieńcze? – Głos należał do oficjalnego dowódcy ekspedycji, komisarza Trye Kettorana, który postanowił polecieć na jednym ze zmodyfikowanych statków. Cierpiał na chorobę niskograwitacyjną i miał nadzieję, że gwałtowne ataki zelżeją w zaciszu oddzielnej kajuty. Oczekiwania te okazały się płonne, ale mimo podeszłego wieku Kettoran mężnie znosił męczące dolegliwości. Miał siedemdziesiąt jeden lat i był bez wątplenia najstarszym uczestnikiem wyprawy. Królowa Daseene mianowała go, ponieważ dobrze pamiętał dawną stolicę, Ro-Atabri, mógł więc trafnie ocenić zaszłe tam zmiany.

– Mam rozkaz przeprowadzić inspekcję Stacji Obrony Wewnętrznej – odparł Toller. – Służby znalazły się pod silną presją, by wystawić dwadzieścia statków dla celów tej ekspedycji, w wyniku czego jesteśmy zmuszeni zrezygnować z pięćdziesięciodniowej inspekcji, ale jeśli zauważę, że coś jest nie w porządku, mam prawo odesłać jeden ze statków na czas potrzebny do przeprowadzenia niezbędnych napraw.

– Całkiem spora odpowiedzialność jak na młodego kapitana – odparł Kettoran, a na jego bladej twarzy pojawiły się słabe oznaki ożywienia. – Lecz nawet za pomocą tak doskonałej lornetki, jaką to inspekcję jesteś w stanie przeprowadzić z odległości kilkunastu mil?

– Pobieżną – przyznał Toller. -Ale tak naprawdę w tym momencie ważne jest ogólne rozmieszczenie stacji. Jeśliby okazało się, iż jedna z nich odłączyła od reszty i dryfuje ku Overlandowi lub Landowi, to cała sprawa polegałaby na wprowadzeniu jej z powrotem na poziom podstawowy.

– Czy jeśli jedna zaczęłaby żeglować swobodnie, to reszta

nie poszłaby w jej ślady?

Toller potrząsnął głową.

– Nie mamy tu do czynienia z bezwładnymi bryłami skał. We wnętrzu stacji zmagazynowane są różnego rodzaju substancje chemiczne, takie jak pikon, halvell czy sól strzelnicza. Nieznaczna zmiana warunków może doprowadzić do wytwarzania się gazów, które mogłyby wydostawać się na zewnątrz, gdyby szczelność komór została naruszona. Powstały w ten sposób ciąg nie byłby w stanie zdziałać większych szkód niż oddech śpiącego dziecka, lecz dajmy mu trochę czasu i pomnożmy przez rosnące przyciąganie pola grawitacyjnego, a zupełnie niespodziewanie możemy stanąć oko w oko z niesfornym lewiatanem, śpieszącym, by rzucić się na jedną z planet. W Służbach Podniebnych uważa się za rzecz roztropną, by podjąć niezbędne kroki na długo przed zaistnieniem takiej sytuacji.

– Posiadasz duży dar słowa, młodzieńcze – rzekł Kettoran, wypuszczając kłęby pary przez owiniętą wokół twarzy chustkę, chroniącą go przed zimnym powietrzem strefy nieważkości. – Czy brałeś kiedyś pod uwagę karierę dyplomaty?

– Nie, ale może będę musiał, jeśli nie uda mi się zlokalizować tych przeklętych pudeł.

– Pomogę ci. Zrobię wszystko, żeby choć na chwilę zapomnieć, że żołądek podchodzi mi do gardła. – Kettoran osłonił dłonią w rękawicy swe wodniste oczy i jął obserwować niebo. Po chwili, ku zdumieniu Tollera, wydał triumfalny okrzyk.

– Czy tego szukamy?-spytał wskazując na wschód ponad trzema pozostałymi statkami. – T a linia purpurowych świateł.

– Purpurowych świateł?! Gdzie je pan widzi? – Toller bez skutku wpatrywał się we wskazanym kierunku.

– Tam! Tam! Nie... – Kettoran westchnął zawiedziony. – Za późno. Już ich nie widać.

Toller parsknął urwanym śmiechem wyrażającym rozbawienie, ale i ukrytą zaczepkę.

– Komisarzu, na stacjach nie ma żadnych świateł, purpurowych ani żadnych innych. Zamontowane reflektory rozciągają białawą poświatę, ale tylko wtedy, gdy patrzy się pod odpowiednim kątem. Może widział pan meteor.

– Dobrze wiem, jak wygląda meteor, więc nie próbuj mi... – Kettoran urwał i wskazał na inną część nieba. – Tam masz swoje drogie stacje obronne. Nie próbuj mi wmawiać, że to nie one, bo wyraźnie widzę linię białych plam. Mam rację?

– Ma pan rację, komisarzu – zgodził się Toller, nakierowując lornetkę na odległe stacje i nie mogąc się nadziwić szczęściu, które skierowało wzrok starego Kettorana we właściwą stronę. – Brawo!

– Zwiesz się pilotem, ha! Gdyby nie ten mój niesforny żołądek, to ja... – Kettoran kichnął głośno i wycofał się do kajuty zamykając za sobą drzwi.

Toller uśmiechnął się, słysząc następne kichnięcia i towarzyszące im zduszone przekleństwa. W ciągu tych pięciu dni wznoszenia się ku strefie nieważkości polubił komisarza za jego pełną humoru opryskliwość i nauczył się szanować za stoicyzm, z jakim staruszek znosił dotkliwe niewygody podróży. Większość ludzi w jego wieku z pewnością znalazłaby sposób, by uniknąć odpowiedzialności, jaką obarczyła go Królowa Daseene, lecz Kettoran przyjął ten ciężar bez wahania i wydawało się, że traktuje go jak kolejne rutynowe zadanie podjęte na zlecenie monarchini.

Toller ponownie skierował uwagę na stacje obronne i z ulgą stwierdził, że tworzą idealnie prostą linię. Na początku swojej kariery pilota Służb Podniebnych bardzo lubił wizytować je podczas lotów kontrolnych. Błądzenie po ciemnych klaustrofobicznych kadłubach nosiło posmak niemal mistycznego przeżycia. Wtedy też zdawał się ożywać duch jego dziadka i dawnych bohaterskich

czasów. Jednak wkrótce myśli Tollera zdominowało poczucie jałowości utrzymywania Stacji Obrony Wewnętrznej. Skoro nie istniało zagrożenie ze strony Farlandu, fortece były bezużyteczne, a jeśli tajemniczy Farlandczycy mieliby kiedykolwiek przeprowadzić inwazję, to w obliczu wyższości ich technologii stacje nie miały żadnego znaczenia. Te drewniane skorupy stanowiły jedynie symboliczne fortyfikacje, które zapewniały zmarłemu królowi Chakkellowi spokojny sen, dla Tollera zaś ich wartość mierzyła się głównie użytecznością w podtrzymywaniu zdolności Kolcorronian do odbywania podróży międzyplanetarnych.

Upewniwszy się, że nie ma potrzeby zbaczać z pionowego kursu, skierował szkła lornetki na najbardziej oddalony statek eszelonu. Dowodziła nim księżna Yantara. Od przeddnia, kiedy to dowiedział się, że księżna bierze udział w ekspedycji, nie potrafił się zdecydować, jaką taktykę przyjąć w przyszłych z nią kontaktach. Czy zachowując się z rezerwą i pełną godności naganą poruszy jej sumienie i sprawi, że zechce się do niego zbliżyć? A może lepiej udawać pogodę ducha i brak urazy, traktując sprawę raportu jako rodzaj czupurnej utarczki nie do uniknięcia, gdy dwie tak niezależne dusze wejdą sobie w drogę?

Prawdę mówiąc fakt, że to właśnie on, strona pokrzywdzona, planuje pojednanie, od czasu do czasu napełniał go niepokojem, jednak jego misterne podchody spełzły na niczym. Przez cały czas przygotowań do wyprawy Yantara trzymała się od niego z daleka, czyniąc to z gracją i bez wysiłku, co odbierało mu nawet złudzenie, że jest dla niej kimś dość ważnym, by go unikać.

Godzinę po tym, jak flota przekroczyła poziom podstawowy, grupa stacji obronnych skurczyła się do prawie niewidocznej plamki, a przyciąganie pola grawitacyjnego Landu niepostrzeżenie zwiększało prędkość statków. Heliopisem ze statku flagowego nadszedł rozkaz od komandora floty, generała Ode'a, by wszyscy

piloci wykonali inwersję.

Zadowolony z przerwy w pokładowej rutynie Toller ruszył wzdłuż liny bezpieczeństwa do części środkowej, gdzie porucznik Correvalte czuwał nad przyrządami sterowniczymi. Będąc świeżo po egzaminie kwalifikacyjnym Correvalte odetchnął z ulgą do-wiedziawszy się, że to nie on j będzie przeprowadzał inwersję. Przekazał stery Tollerowi' i stanąwszy opodal przyglądał się, jak ten przygotowuje się do przeprowadzenia trudnego manewru. Gondola statku łączyła się z biegnącą po obwodzie balonu liną nośną za pomocą czterech wąskich rozpór, które nadawały całej konstrukcji stateczność wymaganą przy lotach z napędem odrzu-towym. Choć sama powłoka balonu była stosunkowo lekka, zgromadzony pod nią gaz miał masę rzędu kilku ton i odpowiednio dużą bezwładność, tak więc każda, nawet najmniejsza zmiana kierunku lotu wymagała od pilota daleko posuniętej ostrożności. Pilot zbyt entuzjastycznie posługujący się bocznymi silnikami, wkrótce przekonałby się, że powłoka została przedarta rozporami. Tego rodzaju uszkodzenie w warunkach słabego przyciągania ra-czej nie groziło bezpieczeństwu statku, lecz naprawa była zazwy-czaj trudna i czasochłonna, a sprawcy awarii dostarczano powo-dów, by mógł pożałować swego błędu.

Przez pozornie długi czas wydawało się, że po tym, jak Toller odpalił jeden z małych, ukośnie zamontowanych silników, nic się nie dzieje. Dopiero po chwili ogromny dysk Overlandu powędrował wolno w górę nieba. Kiedy ukazał się tuż nad relin-giem statku, jawiąc się przed oczami załogi w całym swoim ma-lowniczym ogromie, zza balonu wyłoniła się potężna kula Starego Świata i zaczęła opadać w dół. Przez chwilę, po prostu obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę, Toller mógł widzieć obydwa światy jak na dłoni – bliźniacze areny, na których jego przodkowie brali udział w potyczkach ewolucji i historii.

Na tle każdej z planet jarzyły się w słońcu pozostałe statki floty. Znajdowały się w różnych pozycjach, gdyż każdy pilot wykonywał inwersję w swoim własnym tempie, a pióropusze białej pary dobywające się z bocznych silników nakładały się na kłęby chmur żeglujące tysiące mil poniżej. Nad nimi otwierał się lodowaty, pałający wszechświat – okręgi i spirale, rzeki srebrzystego blasku, miriady żarzących się gwiazd, w większości niebieskich i białych, cicho sunące komety i przelatujące z impetem meteory.

Widok ten przejął Tollera dreszczem podniecenia i grozy, napełniając go zarazem dumą, że jego naród miał dość odwagi, by przeprowić się przez międzyplanetarną pustkę w kruchych pojazdach z płótna i drewna, jak i uprzytamniając, iż mimo wielkich ambicji i marzeń ludzie są niemal jak mikroby ślamazarnie gramolące się z jednego ziarenka piasku na drugie.

Nigdy nie przyznałby się do tego przed żadnym z rówieśników, lecz odetchnął z ulgą, gdy manewr inwersji został ukończony, a statek zaczął opadać w stronę naturalnego domostwa ludzkości. Od tego momentu powietrze będzie coraz gęstsze i cieplejsze, mniej nieprzyjazne człowiekowi, a zaprzętające umysł Tollera troski na powrót nabiorą normalnych proporcji.

– Oto jak się to robi – oznajmił, przekazując stery statku Correvalte'owi. – Każcie mechanikowi przestawić silnik z powrotem na tryb palnikowy i powiedzcie mu, żeby sprawdził, czy grzejniki działają bez zakłóceń.

Toller położył nacisk na ostatnie słowa wiedząc, że choć warunki lotu będą coraz lepsze wraz z wytracaniem przez statek wysokości, to kierunek prądu powietrza ulegnie odwróceniu. Znaczna ilość ciepła z zewnętrznej strony powłoki balonu uleci w niebo w strumieniu powietrza zamiast okrywać gondolę niewidzialną otoczką, która dotąd chroniła załogę od śmiertelnego chłodu w czasie przeprawy.

Podczas przestawiania silnika z trybu wytwarzania ciągu na produkcję gorącego gazu używanego przy konwencjonalnym locie aerostatycznym, musiał on być wyłączony. Korzystając z tej chwili wytchnienia Toller udał się do przedniej kajuty w poszukiwaniu jakiejś przekąski. Nikomu nie udało się jeszcze wytłumaczyć ogłupiającego uczucia opadania, którego doświadczali ludzie w pobliżu i w samej strefie nieważkości, jednakże Tollerowi psuło już ono apetyt dłużej niż cały dzień, a w rezultacie znajdował się w głupiej sytuacji potrzebując jedzenia, ale wcale go nie łaknąc. Wybór przysmaków, na jakie natrafił w siatkach z prowiantem – paski suszonego mięsa i ryb, płatki zbożowe oraz pomarszczone owoce i jagody – nie był kuszący. Poszperawszy w zapasach zdecydował się ostatecznie na kawałek ciastka zbożowego. Bez entuzjazmu zaczął je żuć.

– Nie martw się, młodzieńcze! – Komisarz Kettor, który opadł na jedno z krzeseł u kapitańskiego stołu, starał się przybrać wesoły ton. – Wkrótce będziemy w Ro-Atabri, a kiedy już się tam znajdziemy, wezmę cię do najlepszych restauracji na świecie. Zważ, że pozostały po nich ruiny, ale i tak cię tam zabiorę.

Kettor mrugnął do swego sekretarza, Parło Wotoorba, siedzącego przy stole naprzeciw niego. Obaj starszycy podkurczyli ramiona z rozbawieniem i w tej chwili byli do siebie dziwnie podobni.

Toller, cały czas żując, smętnie pokiwał głową z uznaniem dla dowcipu. Kettor i Wotoorb byli rówieśnikami jego dziadka. Znali go nawet, czego im szczerze zazdrościł, i obaj dożyli późszego wieku bez osłabienia zdolności umysłu. Toller wątpił, czy jemu uda się dojść do siedemdziesiątki, zachowując taki hart i prężność ducha. Zawsze miał wrażenie, że mężczyźni i kobiety, którzy przeżyli wielkie wydarzenia historii – zarazę ptert, Migrację, zasiedlenie Overlandu, wojnę pomiędzy bliźniaczymi światami

-mają w sobie coś wyjątkowego. Tak jakby ich charaktery i duch zahartowały się w tyglu tamtych czasów, podczas gdy on skazany był na życie w okresie jałowym, w ciągłej niepewności, czy gdy nadejdzie wezwanie, będzie w stanie stawić mu czoło i okryć się chwałą. Nawet nie potrafił wyobrazić sobie, by w tej statecznej i spokojnej epoce mogły go spotkać przygody dorównujące tym nierozzerwalnie związanym z legendarną postacią Tollera Zabójcy Króla. Nawet podróż pomiędzy dwoma światami, niegdyś należąca do najniebezpieczniejszych doświadczeń człowieka, stała się nudną rutyną.

Przez luki po lewej stronie wdarła się do kajuty nagła jasność, na moment zderzając się z padającymi z przeciwnej strony migotliwymi promieniami słońca, które rozlewały się po stole. Na pokładzie rozległ się wrzask przerażenia.

– A to co znowu?

Toller ruszył pędem w stronę drzwi powstrzymywany brakiem siły ciężenia, kiedy niespodziewanie powietrze rozerwał przeraźliwy huk. Kajuta zakołysała się, a przedmioty zabrzęczały głośno w szafkach.

Kiedy Tollerowi udało się w końcu otworzyć drzwi i wystać na pokład, odgłosy grzmotu wciąż jeszcze odbijały się echem. Statek obracał się gwałtownie miotany podmuchami powietrza, a olinowanie jęczało i skrzypiało. Correvalte i mechanik kurczowo trzymali się lin, zwracając pobladłe twarze na północny wschód. Toller podążył wzrokiem w tym samym kierunku i ujrzał mknące, iskrzące się jądro ognistego blasku, które szybko rozpląnęło się w nicość. W oka mgnieniu niebo znów się wypogodziło i zapadła kompletna cisza przerywana jedynie słabymi okrzykami załóg pozostałych statków.

– Czy to był meteor? – zapytał Toller, natychmiast uświadamiając sobie niedorzeczność tego pytania.

– Tak, panie kapitanie, ogromny – potwierdził Correvalte. – Przeleciał o jakąś milę, może więcej od nas, ale przez moment myślałem, że wybiła nasza ostatnia godzina. Nie chciałbym znowu widzieć czegoś podobnego.

– I pewnie nie zobaczycie – odparł Toller uspokajająco. – Każ takielarzowi sprawdzić, czy powłoka nie jest uszkodzona, szczególnie wokół zamocowań rozpór. Jak się ten facet nazywa?

– Getchert, panie kapitanie.

– Powiedzcie zatem Getchertowi, niech się ruszy. Najwyższy czas, żeby wreszcie dowiedział, że po coś go tu trzymamy.

Podczas gdy Correvalte zmierzał do pomieszczeń rufowych, gdzie znajdowały się kajuty szeregowców, Toller przytrzymał się liny biegnącej w poprzek pokładu i zbliżył do relingu. Teraz, po wykonaniu inwersji, mógł dostrzec jedynie statki swojego eszelonu, a poniżej balony czterech prowadzących okrętów. Wydawało się, że pozostała część floty nie ucierpiała. W przeszłości wiele razy odbywał loty do strefy nieważkości i w rezultacie przywykł już do myśli, że meteor może uderzyć w statek. Jeden z nielicznych przypadków, kiedy świadomość znikomości człowieka w porównaniu do skali wydarzeń w kosmosie mogła być źródłem ukojenia: statek był tak mały, a wszechświat tak ogromny, że przeczyłoby zdrowemu rozsądkowi, gdyby jeden z tych mknących kosmicznych pocisków trafił w drobną ludzką istotę.

Jak na ironię zaledwie kilka minut temu zżywał się w duchu na monotonię lotów międzyplanetarnych. Jednak marząc o niebezpieczeństwach miał na myśli jedynie takie, którym można stawić czoło i zwyciężyć. Znikomą chwałę przynosiła przypadkowa śmierć od zderzenia ze ślepym instrumentem natury, zwykłym kawałkiem skały pędzącym w kosmicznej pustce.

Toller podniósł głowę, skierował wzrok na południowy wschód, skąd najprawdopodobniej nadleciał meteor, i zaciekawiał

się widząc coś, co wyglądało jak zwiewna chmura złocistych świetlików. Miała ona kształt niemalże koła i rozprzestrzeniała się gwałtownie, a pojedyncze punkciki z każdą sekundą nabierały blasku. Oszołomiony Toller wpatrywał się w nie. Nigdy wcześniej nie obserwował czegoś podobnego pośród migotliwych skarbów nieba. Nagle – jak nagle jest wyostrzenie obrazu w teleskopie -jego zmysł percepcji ocknął się i Toller zrozumiał.

Miał przed sobą rój meteorów, które, o ile się nie mylił, zmierzały prosto w kierunku floty.

Odkrycie prawdziwej natury widowiska zmieniło je raptownie, pozornie przyspieszając tempo wydarzeń. Deszcz meteorów rozprysł się promieniście jak mięsożerny kwiat, bezszelestnie zamykając niebo w swych objęciach, i Toller zdawał już sobie sprawę, że dzieje się to chyba setki mil od niego. Nie mogąc poruszyć się ani dobyć głosu, zacisnął dłonie na relingu i patrzył, jak chmura iskrzących się punktów pędzi, docierając do krańców jego pola widzenia bezgłośnie pomimo ogromu wyzwalanej energii.

„Nic mi nie grozi” powtarzał w duchu Toller. „Nic mi nie grozi z tej prostej przyczyny, że jestem zbyt małym kąskiem dla tych ognistych olbrzymów. Nawet statki są za małe...”

Nagle zaczęło się dziać coś nieoczekiwanego. W zachowaniu meteorów zaszła radykalna zmiana. Obsydianowi jeźdźcy z odległego zakątka wszechświata, którzy miliony lat galopowali swoim torem przez całkowitą próżnię, w końcu natrafili na bardziej gęste środowisko i rozbijali się o masy powietrza – lotne fortyfikacje chroniące bliźniacze planety przed intruzami z kosmosu.

Choć spotkanie z nimi nie mogło wyrządzić większej krzywdy żadnej istocie na Landzie czy Overlandzie, to nie wróżyło ono nic dobrego podróżnikom zaskoczonym w najważniejszym punkcie pomostu powietrznego pomiędzy dwiema planetami. Rozsadzane potężnym ciśnieniem meteory zaczęły eksplodować i gdy tak

rozpadały się na tysiące wirujących odłamków, mogły się stać mniej wybredne, jeśli chodzi o wybór celu.

Toller drgnął, kiedy w powodzi światła i nakładających się na siebie grzmotów rozpadające się meteory wypełniły całe niebo. I naraz znalazły się za nim. Odwrócił się i ujrzał całe zjawisko jakby na cofającym się filmie. Ogromny, świetlany dysk kurczył się, pędząc w bezkres przestrzeni kosmicznej. Główną różnicą w wyglądzie był brak odrębnych cząsteczek – niemal cała powierzchnia okręgu płonęła jednolitym, jasnym ogniem. Opuszczając ostatnie rozrzedzone obrzeża atmosfery bliźniaczych światów, gorejące pociski, pozbawione paliwa, szybko zniknęły z widoku. Nad flotą zapadła głęboka cisza.

„Jak to się stało, że przeżyliśmy?” pomyślał Toller. „Jak na...”

Uświadomił sobie, że niedaleko ponad nim ktoś krzyczy. Nastąpiła eksplozja typowa dla reakcji pikonu z halvellem i Toller odgadł, że co najmniej jeden ze statków miał mniej szczęścia niż jego własny.

– Przechyl gondolę! – krzyknął do porucznika Correvalte'a, który tkwił oniemiały za pulpitem sterowniczym.

Toller uczeplił się relingu niecierpliwie usiłując dojrzeć coś za wybrzuszoną powłoką balonu, Correvalte zaś rozpoczął przerwane odpalanie jednego z bocznych silników.

Kilka sekund później oczom Tollera ukazał się niecodzienny widok niebieskorożca dryfującego w dół w przesyconym słońcem powietrzu, na tle dziennych gwiazd. Wybuch musiał go zmieść z pokładu gondoli, w której go transportowano. Zwierzę warczało z przerażenia i wierzgało kopytami, niedostrzegalnie opadając w kierunku Landu.

Toller skierował uwagę na uszkodzony statek, który właśnie pojawił się w polu widzenia. Balon przeobraził się w bezkształtny

baldachim ze strzępów płótna, wszystkie zaś cztery burty gondoli oderwały się od dna i wirowały niespiesznie po nieregularnym okręgu utworzonym z ludzi, kufrów, zwojów lin i innych szczątków statku. Tu i ówdzie w żeglującym rumowisku rozlegał się trzask i syczenie, po czym dobywały się kłęby białej substancji. Zdarzało się to, gdy natrafiały na siebie nieduże ilości pikonu i halvellu, i paliły się nieszkodliwie na pastelowym tle Overlandu.

Załogi trzech pozostałych statków eszelonu spuszczały się już ze swoich gondoli, by przystąpić do akcji ratunkowej. Toller przebiegł wzrokiem miotające się sylwetki ludzi i poczuł nagłą ulgę, stwierdzając, że nikt nie zginął. Przypuszczalnie nieduży meteor jedynie otarł się o gondolę, przewracając ją na bok i w ten sposób umożliwiając zmieszanie się i zapalenie niewielkich ilości zielonych i purpurowych kryształów energetycznych, najprawdopodobniej w zbiorniku silnika.

– Jesteśmy atakowani? Zabiją nas? – Drżący głos należał do komisarza Kettorana; pociągła, blada twarz ukazała się w drzwiach do kajuty.

Toller miał mu właśnie wyjaśnić, co się wydarzyło, kiedy kątem oka dostrzegł ruch przy relingu na statku Yantary. Księżna zbliżyła się do burty razem z niższą i mniej imponującą porucznik, która towarzyszyła jej podczas ich niepomyślnego spotkania. Nawet z tak dużej odległości sam jej widok wystarczył, by wywołać w Tollerze wicherę uczuć. Wkrótce zorientował się, że uwaga Yantary i jej oficera zdaje się skupiać na miotającym się niebieskorożcu. Zwierzę straciło cały impet nadany mu przez wybuch i najwidoczniej kołysało się w martwym punkcie, mniej więcej w połowie drogi między statkiem Yantary i Tollera.

On dobrze jednak wiedział, że ta stałość zależności jest iluzją. Tak niebieskorożec, jak i statki znajdowały się w zasięgu pola grawitacji Landu i wszyscy opadali w stronę powierzchni leżącej

tysiące mil w dole. Zasadnicza różnica polegała na tym, że ruch statków do pewnego stopnia hamowały wypełnione gorącym gazem balony, niebiesko61

rożec zaś spadał swobodnie. Tak blisko strefy nieważkości rozbieżność prędkości była trudno wyczuwalna, lecz z pewnością istniała, i zgodnie z prawami fizyki stale wzrastała. Zatem jeśli nie podejmie się pośpiesznie odpowiednich działań, to niebieskorożec, skądinąd cenne zwierzę, zostanie skazany na trwający dłużej niż dobę śmiertelny skok, jakiego każdy lotnik doświadczył w sennych koszmarach.

Yantara i porucznik, której imię wyleciało Tollerowi z głowy, miały zajęte czymś ręce i w przeciągu kilku sekund zrozumiał czym. Kobiety śmignęły ponad relingiem z łatwością, na jaką pozwalał stan nieważkości i Toller spostrzegł, że obie miały silniki odrzutowe umocowane na plecach. Urządzenia te, napędzane gazem miglignowym, były o niebo lepsze niż stare systemy pneumatyczne pospiesznie wynalezione w czasach wojny międzyplanetarnej, lecz pomimo nowoczesnej konstrukcji mogły płać figle niedoświadczonym użytkownikom.

Obawy te potwierdziły się po chwili, kiedy Yantara nie utrzymała siły ciągu w jednej linii ze środkiem ciężkości ciała i zaczęła powoli wirować. Na szczęście towarzyszka przytrzymała ją i pomogła wrócić do odpowiedniej pozycji. Natychmiast zdał sobie sprawę, że te dwie kobiety, najwyraźniej zamierzając uratować niebieskorożca, mogły się wpędzić w prawdziwe opał. Przerażone stworzenie cały czas wierzgało wielkimi jak talerze kopytami, a jedno uderzenie wystarczyło, by zmiażdżyć ludzką czaszkę.

– Cudem uniknęliśmy śmierci! – rzucił Kettoranowi przez ramię, łapiąc plecak z silniczkami z najbliższego wieszaka. – Spytajcie Correalte'a.

Przeszedł przez reling i dał susa w rozświetlone powietrze,

wciąż jeszcze dzierżąc plecak w ręce. Bliźniacze światy o zawiłych wzorach wypełniały prawie całe niebo po obu stronach, a pomiędzy nimi kosmos kipiał rzędami bulwiastych statków spowitych zasłoną dymu i pary, spoza której i widać było miniaturowe humanoidalne figurki krzątające się w sobie tylko wiadomych celach. Dienne gwiazdy oraz najjaśniejsze z mgławic i komet z wdziękiem dopełniały pełnej gamy wizualnych zjawisk.

Toller, który w swoim czasie zawziął się, by mistrzowsko opanować obsługę standardowego silniczka, spożytkował czas dryfowania na staranne przymocowanie urządzenia do ciała. Przyjąwszy odpowiednią pozycję zapuścił silnik i ruszył prosto w stronę niebieskorożca. Przejmujący chłód panujący pomiędzy bliźniaczymi światami, wzmożony owiewającym go powietrzem, szczypał w oczy i usta.

Yantara i porucznik znajdowały się teraz blisko niebieskorożca, wciąż warczącego i chrapiącego z przerażenia. Kiedy przysunęły się bliżej i zaczęły rozwijać zabraną ze sobą linę, Toller użył silnika hamującego, by zatrzymać się tuż obok. Wiele czasu upłynęło od momentu, gdy ostatni raz znajdował się blisko Yantary i, pomimo niecodziennych okoliczności, świadomość jej fizycznej obecności przejęła go mrowieniem. Każdą cząsteczką ciała zdawał się odpowiadać na otaczającą ją niewidoczną aurę. Jej owalna twarz, częściowo przysłonięta kapturem kombinezonu, była piękna dokładnie tak, jak pamiętał – tajemnicza, niesłychanie kobieca, onieśmielająca w swojej doskonałości.

– Dlaczego nie spotykamy się normalnych miejscach, tak jak inni ludzie? – odezwał się Toller.

Księżna obrzuciła go krótkim spojrzeniem, odwróciła się nie zmieniając wyrazu twarzy i przemówiła do porucznik:

– Zwiążemy najpierw tylne nogi. Tak będzie prościej.

– Radziłabym najpierw trochę uspokoić zwierzę – odparła

porucznik. – Podchodzenie od tyłu może być zbyt ryzykowne, kiedy jest tak rozdrażnione.

– Bzdura! – Yantara mówiła z buńczucznością osoby od dzieciństwa mającej do dyspozycji najlepsze stajnie. Utworzywszy na końcu liny szeroką pętlę pomknęła w stronę niebieskorożca, zostawiając za sobą pióropusze miglignowej pary. Toller miał ją właśnie ostrzec, gdy zwierzę, które bezustannie rzucało łbem na wszystkie strony i dobrze widziało, co się wokół dzieje, wierzgnęło obydwoma tylnymi nogami. Jedno z potężnych kopyt musnęło biodro Yantary, zdzierając materiał kombinezonu, ale nie dosięgając ciała. Siła uderzenia obróciła ją gwałtownie, lecz księżna momentalnie złapała równowagę, podpierając się stwardniałą od mroźnego powietrza liną, utrzymaną przytomnie cały czas w garści. Gdyby kopyto niebieskorożca zetknęło się z miednicą, Yantara byłaby poważnie ranna. Najwyraźniej rozumiała to jasno, gdyż kiedy się odwróciła, jej twarz była przeraźliwie blada.

– Czemu ciągnęliście za linę?! – ryknęła gniewnie na swoją porucznik. – Poleciałam prosto na jego kopyta! O mało mnie nie zabił!

Porucznik ze zdumienia otworzyła usta i posłała Tollerowi pełne zgorszenia spojrzenie.

– Pani, ależ ja nie...

– Nie sprzecząjcie się, poruczniku.

– Mówiłam, że powinniśmy uspokoić zwierzę, nim...

– Nie będziemy się tu bawić w sąd śledczy – ucięła Yantara, a para dobywająca się z jej ust przesłaniała kłębami twarz. – Jeśli odkryliście w sobie nagle smykałkę do hodowli zwierząt, to może sami uratujecie ten nieznośny wór mięsa. I tak zresztą jest podłego gatunku. – Wykonała w powietrzu zwrot i ruszyła do statku.

Porucznik odprowadziła ją wzrokiem, po czym spojrziała na Tollera, a nieoczekiwany uśmiech zaokrąglił jej i tak już pulchne

policzki.

– Problem w tym, że gdyby ten biedny, głupi stwór odebrał lepsze wychowanie, wiedziałby, że nie należy kopać członka rodziny królewskiej.

Toller czuł, że brak powagi nie licuje z sytuacją.

– Księżna ledwo uszła z życiem.

– Księżna sama jest sobie winna – odparła porucznik. – Powodem, dla którego podjęła się ratowania niebieskorożca, zamiast zostawić to swoim podwładnym, była chęć zademonstrowania, że doskonale daje sobie radę z niebieskorożcami pełnej krwi. Niewzruszenie wierzy w te wszystkie mity hołubione przez arystokrację, że ich mężczyźni to urodzeni generałowie, a kobiety są utalentowane w każdej dziedzinie sztuki i...

– Poruczniku! – Rozdrażnienie Toller a wzrastało z każdym słowem i w pewnej chwili nie mógł już go stłumić. – Jak śmiecie mówić w ten sposób o swoim zwierzchniku?! Czy nie przyszło wam do głowy, że mogę dopilnować, by was dotkliwie ukarano za takie gadanie?

Oczy porucznik rozszerzyły się w zdumieniu, a jej twarz wyrażała teraz rozczarowanie i rezygnację.

– O nie! Więc ty też! Jeszcze jeden.

– O czym wy mówicie?

– Każdy mężczyzna, który na nią spojrzy... – Porucznik urwała i potrząsnęła głową. – Myślałam, że po tamtej historii z raportem o kolizji... Czy wiesz, że piękna księżna Yantara robiła co w jej mocy, by pozbawić cię dowództwa?

– A czy wy wiecie, że powinniście odpowiednio zwracać się do oficera starszego stopniem? – Toller niejasno zdawał sobie sprawę, że zachowuje się śmiesznie, zwłaszcza że wisieli w błękitnej pustce pomiędzy dwoma wirującymi dyskami planet, lecz nie mógł beczynnie przysłuchiwać się, gdy Yantarę poddawano

zjadliwej krytyce.

– Przepraszam, panie kapitanie. – Twarz porucznik straciła wyraz, a głos zabrzmiał pojednawczo. – Czy chce pan, żebym spróbowała obłaskawić niebieskorożca?

– A przy okazji, jak się nazywacie?

– Jerene Partree, panie kapitanie.

Toller czuł, że wpada w ton pompatyczny, ale nie wiedział, jak wyplątać się z sieci, którymi sam się otoczył.

– W tej ekspedycji nie brakuje ludzi doświadczonych w obchodzeniu się z niebieskorożcami. Jesteście pewni, że sobie poradzicie?

– Wychowałam się na farmie, panie kapitanie. Jerene otworzyła na chwilę zawór napędu i poszybowała do łba niebieskorożca. Jego wyłupiaste oczy poruszały się niespokojnie, a wokół pyska pojawiły się lśniące strumyczki śliny. Toller poczuł ukłucie niepewności – masywne szczęki niebieskorożca z łatwością mogły rozedrzeć ludzkie ciało nawet pod najgrubszą tkaniną – lecz Jerene wydawała łagodne, nieartykułowane dźwięki, które natychmiast uśmierzyły strach zwierzęcia. Jedną ręką objęła je za kark, a drugą zaczęła głaskać po łbie. Niebieskorożec poddał się jej dotykowi, wyraźnie się uspokajając, a w chwilę później Jerene nasunęła mu powieki na jego olbrzymie bursztynowe oczy. Skinęła na Tollera dając znak, żeby zbliżył się z liną.

Toller ruszył do przodu, związał tylne nogi niebieskorożca i wypuściwszy trochę liny powtórzył to samo z przednimi. Nie był przyzwyczajony do tego rodzaju zadań i przez cały czas na pół świadomie oczekiwał gwałtownej reakcji ze strony wziętego do niewoli zwierzęcia, ale wszystko odbyło się bez nieszczęśliwych wypadków.

W tym czasie sytuację w górze już prawie opanowano. Opuszczony statek zostawiono na pastwę losu, a powierzchnię

Overlandu niemal całkowicie zasnuły kłęby pary, gdy załogi z innych statków ruszyły w pogoń za unoszącymi się swobodnie zapasami. Rozlegały się wesołe pohukiwania w miarę, jak odkrywano, jak niewielkie straty poniosła flota w porównaniu z ogromem niebezpieczeństwa. Tollerowi przyszło na myśl, że cała ekspedycja miała szczęście jeszcze z jednego powodu, mianowicie gdyby natknęli się na deszcz meteorów dalej od strefy nieważkości, naprawienie szkód przysporzyłoby o wiele więcej problemów, o ile w ogóle byłoby możliwe. Tymczasem choć wszystkie widoczne przedmioty leciały w stronę Landu, tempo spadania było leniwe i właściwie nie odgrywało większej roli.

Z czterech statków pierwszego eszelonu sunęła w górę grupa ludzi, pośród których znajdował się komandor Służb Podniebnych Sholdde, główny oficer wykonawczy ekspedycji. Sholdde był mrukliwym pięćdziesięcioletkiem o surowym wyglądzie, cieszącym się łaskami Królowej za upodobanie do trudnych zadań. Utrata statku, choć nie ponosił żadnej winy, z pewnością sprawi, że będzie cierpki i ostry w obejściu przez resztę lotu.

– Maraquine! – zawołał do Tollera. – Co wy tam wyprawiacie? Natychmiast wracajcie na statek i sprawdźcie, ile dodatkowego ładunku możecie wziąć na pokład. Nie powinniście zawracać sobie głowy tą zapchlą kobylą.

– Jak śmiesz nazywać mnie zapchlą kobylą – odburknęła Jerene w stronę Sholdde'a udając oburzenie. – Sam jesteś zapchlony.

– Poruczniku, ostrzegałem was, byście... – Toller miał zamiar zbesztać ją znowu za brak szacunku dla starszych oficerów, lecz kiedy napotkał iskierki humoru tańczące w brązowych oczach, gniew gdzieś się ulotnił. Lubił ludzi, którzy umieli żartować w momentach napięcia, a poza tym musiał przyznać, że z trudem zebrałby się na odwagę, by zbliżyć się do łba spłoszonego niebie-

skorożca na odległość tak małą, jak zrobiła to Jerene.

– Możecie teraz powrócić na swój statek – powiedział sztywno. – Farmerzy zabiorą niebieskorożca, gdy będą gotowi.

– Tak jest, panie kapitanie. – Jerene odstąpiła od potulnego teraz zwierzęcia i sięgnęła ręką do urządzeń sterowniczych silnika.

Toller poczuł, że zachował się wobec niej nie w porządku.

– Aha, poruczniku...

– Tak, panie kapitanie.

– Dobrze się sprawiliście z tym niebieskorożcem.

– Och, dziękuję, panie kapitanie – odparła Jerene, uśmiechając się z przesadną skromnością, tak iż Toller był prawie pewien, że stroi sobie z niego żarty.

Patrzył, jak odlatuje pozostawiając za sobą pióropusze białej pary, a jego myśli natychmiast popłynęły ku Vantarze. O mały włos nie dosięgły jej kopyta niebieskorożca, więc postąpiła rozważnie natychmiast wracając na statek. Na nieszczęście jednak czyniąc tak pozbawiła go możliwości polepszenia stosunków między nimi.

„Zresztą mogę poczekać” pomyślał filozoficznie. „Kiedy dotrzemy do Landu, będziemy mieć dla siebie tyle czasu, ile dusza zapragnie”.

Rozdział 4

Z drzemki środkowego poziomu mózgu wyrwał Divivvidiego telepatyczny szept Xa.

– Rozejrzyj się wokół, Ukochany Stwórco – rzekł Xa jednocześnie dając znać zieloną telebarwą, że chodzi tu

O sprawę nie cierpiącą zwłoki.

– Co się dzieje? – odpowiedział Divivvidiv jeszcze nie w pełni powróciwszy ze świata marzeń sennych do wszystkich poziomów świadomości. Śniły mu się szczęśliwsze i łatwiejsze czasy wczesnego dzieciństwa, które spędził na planecie Dussarra i wyższym poziomem mózgu zaczął już obmyślać scenariusz następnego twórczego dnia, by przekazać go później do pogrążonego w drzemce środkowego poziomu, gdzie wyśniłby szczegółowo wydarzenia przeżywając je jak na jawie. Mógłby oczywiście wszystko odtworzyć podczas następnego okresu inercji, lecz pociągałoby to za sobą nieuniknione drobne zmiany

I Divivvidiv nie mógłby nic poradzić na ogarniające go poczucie straty. Ulotny dzień ze snu zapowiadał się tak wyśmienicie, a pozostała po nim tylko dojmująca nostalgia.

– Pierwotni, którzy wznoszą się z powierzchni swojej planety, wiośnie minęli poziom podstawowy – ciągnął Xa. -Dokonali inwersji swoich pojazdów i...

– Co oznacza, że udają się na bliźniaczą planetę – przerwał

Diviwidiv. – Dlaczego więc mnie niepokoisz?

– Miałem sposobność przyrzeć im się bardzo dokładnie, Ukochany Stwórco, i muszę cię poinformować, że ich organy wzroku są o wiele precyzyjniejsze od twoich. Ponadto udało im się skonstruować przyrządy, znacznie powiększające optycznie obrazy.

– Teleskopy! – Myśl, że jakiś prymitywny gatunek potrafił wynaleźć sposoby manipulowania tak niesforną materią jak światło, podziałała na Diviwidiviego jak kubek zimnej wody. Usiadł na gładkim, gąbczastym sześcianie, który służył mu za łóżko i wyłączył sztuczne pole grawitacji, bez którego nie byłby w stanie zapnąć w głębszy sen. - Powiedz mi – zwrócił się do Xa. – Czy istnieje możliwość, że Pienvotni nas dostrzegą? – W tej chwili musiał polegać na zmysłach Xa, ponieważ jego własny promień bezpośredniego postrzegania drastycznie ograniczały metalowe ściany siedziby.

– Tak, Ukochany Stwórco. Dwóch z nich bada właśnie ogólną powierzchnię sfery, w której się znajdujemy. Posiadają podwójny teleskop. Istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że zostaniemy wyśledzeni. Najłatwiej ich uwagę mogą przyciągnąć grzejniki stacji syntezy protein, gdyż emitują promieniowanie wchodzące w zakres postrzegania oka Pierwotnych. Określają je oni słowem „purpurowy”.

– Natychmiast wyłączę grzejniki. – Diviwidiv wysunął się z pokojów mieszkalnych siedziby i skierował do głównej sali operacyjnej. Droga, jaką przebył w powietrzu, zawiodła go do matrycy kontrolnej, kierującej produkcją spożywczą. Swoim cienkim jak ołówek szarym palcem odciął dopływ mocy od rzędu zewnętrznych grzejników.

– Już po wszystkim – powiedział do Xa. – Czy Pierwotni coś spostrzegli?

Zapadła krótka cisza, po czym Xa odparł:

– Tak. Jeden z nich twierdził, że widzi „linię purpurowych świateł”, lecz nie wywołało to żadnej reakcji emocjonalnej. Całe wydarzenie zlekceważono i jest ono właśnie zapominane.

– Miło mi to słyszeć – odetchnął Divivvidiv, używając odpowiedniej telebarwy dla zaznaczenia, iż odczuwa ulgę.

– Dlaczego czujesz ulgę, Ukochany Stwórco? Przecież gatunek na tak wczesnym etapie rozwoju nie może stanowić dla ciebie żadnego zagrożenia.

– Nie chodzi mi o własne bezpieczeństwo – odparł Divivvidiv. – Gdyby Pierwotni zainteresowali się nami i zdecydowali na bliższe dociekania, byłbym zmuszony ich zniszczyć.

Ponownie zapadła cisza, po czym Xa zauważył:

– Niechętnie myślisz o zabiciu choćby jednego Pierwotnego.

– Naturalnie.

– Ponieważ odebranie życia jakiegokolwiek istocie jest niemoralne.

– Zgadza się.

– W takim razie, Ukochany Stwórco – dokończył Xa –dlaczego zdecydowałeś, że zabijesz mnie?

– Mówiłem ci już wiele razy: nikt nie chce cię zabić... to po prostu sprawa...

Rozmowa o zabijaniu przypomniała Divivvidiviemu, co tutaj robi i skierowała jego myśli ku przerażającej zbrodni przeciw naturze popełnianej przez jego współbraci. Nagły skurcz udręki i poczucia winy zmroził mu umysł.

Rozdział 5

Starożytne miasto Ro-Atabri zajmowało ogromny obszar.

Toller od ponad godziny stał przy relingu gondoli i patrzył na rozległy wzór zagmatwanych linii i kolorów, odróżniających miasto od otaczającego je terenu. Przyzwyczał się uważać Prąd, stolicę Overlandu, za imponującą metropolię i zawsze wyobrażał sobie, że Ro-Atabri jest o wiele większe, lecz w zasadzie podobne. Jednak rzeczywisty wygląd siedziby władzy kolcorroniańskiej przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

Przeczuwał, że ogromna różnica rozmiarów wiąże się w jakiś sposób z różnicą jakościową, ale chodziło tu jeszcze o coś więcej. Wszystkie miasta, miasteczka i wsie na Overlandzie zostały zaprojektowane, dlatego też ich cechy charakterystyczne miały swoje źródło w zamysłach architektów i budowniczych. Patrząc zaś z góry na Ro-Atabri miało się wrażenie, że to żywy organizm.

Rozciągało się tam w dole, zupełnie jak na szkicach, które jego babka, matka ojca Gesalla Maraquine, kreśliła dla niego, gdy był jeszcze dzieckiem. Rzeka Borann wiała się aż do Arie Bay, dalej rozszerzającą się w Zatokę Tronom, a na wschodzie wznosiła się przykrytą śnieżną czapą Mount Opelmer. Współgrające i zlewające się z tym krajobrazem miasto i przedmieścia wypuszczały kłaczka, tworząc rozległą narośl z kamieni, betonu, drewna brakka i gliny, uosabiając całe wieki zmagania rzesz ludzkich istot. Wielkie pożary szalejące w dniu, gdy rozpoczęła się migracja, w niektórych miej-

scach pozostawiły wciąż widoczne przebarwienia, lecz budowle z kamienia przetrwały nienaruszone, gotowe służyć ludzkości w nadchodzących epokach. Pomarańczowoczerwone i pomarańczowobrazowe cętki znaczyły miejsca, w których nieszczęśliwi Nowi Ludzie zaczęli pokrywać skorupy domów świeżymi dachówkami.

– Co o tym sądzisz, młodzieńcze? – spytał komisarz Kettoran, pojawiając się u boku Tollera. Teraz, kiedy siła ciężkości powróciła do normy, czuł się o wiele lepiej i wykazywał żywe zainteresowanie wszystkimi aspektami życia na statku.

– Ogrom – skwitował Toller zwięźle. – Trudno w to uwierzyć. Sprawia, że historia... ożywa.

Kettoran roześmiał się. – A sądziłeś, że wszystko zmyśliśmy.

– Mogliście to zrobić, przynajmniej wielu młodych tak sądzi, ale to... Uderza mi do głowy, jeśli wie pan, co mam Ha myśli.

– Wiem dokładnie, o czym mówisz. Pomyśl tylko, co ja czuję. – Kettoran przechylił się przez reling i nagle jego twarz pojaśniała. – Czy widzisz tę kwadratową plamę zieleni w zachodniej części miasta? To była Baza, dokładnie z tego miejsca wyruszyliśmy pięćdziesiąt lat temu! Czy będziemy w stanie tam wylądować?

– Wygląda na to, że miejsce to jest takie dobre jak każde inne – odparł Toller. – Rozproszenie floty podczas lotu było zadziwiająco małe i już je wyrównaliśmy. Ostateczna decyzja leży oczywiście w gestii komandora, ale według mnie wylądujemy właśnie tam.

– Pięknie! Zatoczylibyśmy zatem doskonałe, pełne koło.

– W istocie – zgodził się Toller, w rzeczywistości prawie nie słuchając, gdyż uwagę mąciła mu świadomość, iż dziesięciodniowy lot pomiędzy planetami dobiegł końca, i że wkrótce będzie

miał nieograniczone możliwości zabiegania o względy Yantary. Od czasu incydentu z niebieskorożcem nawet przelotnie nie widział księżnej i ten brak kontaktu spotęgował jego obsesję do tego stopnia, że perspektywa zobaczenia innego świata po raz pierwszy w życiu nie wydawała się większą przygodą, niż szansa porozmawiania z nią w cztery oczy, a może nawet skruszenia jej oporu.

– Zazdroścę ci, młodzieńcze – powiedział Kettorán, spoglądając tęsknym wzrokiem w dół na miejsce, gdzie rozegrały się na wpół zapomniane sceny z jego młodości. – Wszystko przed tobą.

– Może – uśmiechnął się Toller, delektując się własną interpretacją słów komisarza. – Może macie rację.

Wioska Styvee składała się z niewiele ponad setki budynków i nawet w czasach rozkwitu mogła dać schronienie jedynie kilkuset ludziom. Tollera kusilo, by skreślić ją z listy i podążyć dalej bez lądowania, lecz w takim przypadku musiałby sfałszować raport o inspekcji, a nie mógł pozwalać sobie na zniżanie się do drobnych nieuczciwości. Przez chwilę obserwował rozkład wioski i zauważył, że położony w centrum plac jest bardzo mały, nawet jak na taką położoną na uboczu miejscowość.

– Jak myślicie, kapralu? – spytał, chcąc sprawdzić osąd młodszego towarzysza. – Warto zarzucać kotwicę na tych kilku jardach darni?

Steennameert przechylił się przez reling, by ocenić sytuację.

– Nie ryzykowałbym, panie kapitanie. Nie ma tu wiele miejsca, a nie wiadomo, jakich zawirowań można się spodziewać wokół tamtego bloku wysokich magazynów.

– Tak właśnie myślałem. Jeszcze zrobimy z ciebie pilota – powiedział Toller jowialnie. – Skierujcie się na wschód, w stronę pastwisk nad rzeką i tam wylądujcie.

Steennameert kiwnął głową, a jego z natury zaróżowiona

twarz pokraśniała z zadowolenia. Toller polubił go od momentu pierwszego spotkania, kiedy młodzieniec spadł na spadochronie z międzyplanetarnej pustki, i dlatego poczynił starania, by mieć go na swoim statku podczas wyprawy na Land. Obecnie osobiście zabiegał o awans dla mego, ku rozdrażnieniu porucznika Correvalte'a, który spędził przepisowy rok w eskadrze szkoleniowej.

Toller obrócił się do Correvalte'a, gdyż to jemu według stopnia należało się kierowanie manewrem lądowania, i teraz okazywał niezadowolenie, rozkładając się na siedzeniu w pozie wyrażającej przesadne znudzenie.

– Poruczniku, wyznaczcie człowieka do pilnowania statku, a resztę załogi wyślijcie na inspekcję wioski. Spacerek dobrze im zrobi.

Correvalte nader poprawnie zasalutował i opuścił mostek. Gdy schodził po niewielkich schodkach na główny pokład, Toller odprowadził go wzrokiem uważając, by zachować kamienny wyraz twarzy. Zdecydował już, że zadośćuczyni porucznikowi, rekomendując go do nominacji na pełnego kapitana wcześniej, niż jest to zazwyczaj praktykowane, ale postanowił, że nie wspomni mu o tym aż do zakończenia obecnej misji.

Nadszedł już środek przeddnia i w równikowej strefie Landu słońce paliło ziemię bez miłosierdzia. Większa część gondoli tonęła w cieniu balonu, co przez kontrast wywoływało złudzenie, iż okolica jaśnieje i mieni się nadprzyrodzonym światłem. Kiedy wytracając wysokość statek zatoczył półkole, by obrócić się dziobem do lekkiej bryzy, Toller zauważył, że rozciągające się wokół wioski pola j uprawne na powrót przywdziały naturalną szatę wielu odcieni zieleni.

Ponieważ nie było pór roku, które dyrygowałyby cyklem dojrzewania, krzewiące się dziko rośliny rozwijały się we własnym rytmie, zatem część z nich kielkowała dopiero, część rozkwitała, a

reszta obumierała użyźniając glebę. Od niepamiętnych czasów kolcorroniańscy farmerzy segregowali ziarna roślin użytkowych, ustanawiając sześć zniw w roku i w rezultacie pola uprawne prezentowały się jako wzór różnobarwnych pasm.

Jednak zaniedbania ostatnich dziesięcioleci zniweczyły tę symetrię, a jadalne trawy i warzywa znów zaczęły rosnać w botanicznym nieładzie. Zaawansowane stadium powrotu do naturalnego rytmu przekonało Tollera, że wioski Styvee nie zasiedlili Nowi Ludzie po tym, jak plaga ptert zmiotła pierwotną ludność Landu. Jeśli miał rację, to inspekcja wioski zapowiadała się jako kolejne nieprzyjemne i ogromnie przygnębiające doświadczenie.

Końcowe sceny tragedii, jaka rozegrała się pół wieku temu, rozegrały się tak szybko, że nie było komu pogrzebać zmarłych.

Myśl ta zasnuła chmurą nastrój Tollera przypominając mu, jak mylnie było jego przekonanie, że lądowanie floty na Landzie da początek nieskończonym okazjom dotrzymywania towarzystwa Yantarze. U źródeł pomyłki tkwił jeden historyczny fakt.

Migracja z Landu na Overland była przedsięwzięciem starannie zaplanowanym, miało zostać ono zrealizowane w uporządkowanych etapach, jednak w rzeczywistości odbyło się pośród paniki i chaosu. W niesamowitym rozgardiaszu, gdy w płonącym Ro-Atabri szalały rozhisteryzowane tłumy, a dyscyplina w armii ulotniła się, ewakuację przeprowadzono, uprzedzając o niej uciekinierów ledwie na kilka minut przed odlotem. W tych skrajnych okolicznościach w międzyplanetarną przeprawę nie zabrano nawet jednej książki. Przewieziono całe stopy biżuterii i bezużytecznych banknotów, ale żadnego obrazu, wiersza czy nut.

Gdy ludzie kultury narzekali, że naród zostawił na Landzie swoją duszę, Król i jego następcy trapił się o wiele dotkliwszym niedopatrzeniem. W tej wrzawie i zamieszaniu nikt nie pomyślał, by zabrać mapy Kolcorronu czy całego Landu. Od czasu Migracji

aż po dzień dzisiejszy kolcorroniańska rodzina królewska wciąż miała pretensje do panowania nad Starym Światem i ten brak map okazał się drażniący ponad wszelką miarę. Lecz sytuacja uległa diametralnej zmianie.

Książę Oldo, jedyny żyjący potomek Daseene, dobiegał już sześćdziesiątki, a szyki krzyżował mu fakt, że Królowa wzbraniała się ustąpić z tronu. I właśnie gdy pogarszające się zdrowie matki zdawało się otwierać przed nim wreszcie drogę do panowania, dano mu dodatkowy powód do zmartwienia ofiarowując królestwo, którego aktualna i potencjalna wartość pozostawały głęboką tajemnicą.

Toller nie miał pojęcia, że książę przekonał Daseene, by odłożyć lot dookoła Landu, dopóki nie sporządzi się szczegółowej mapy samego Kolcorronu. Tak więc zamiast pokonując przeciwności podążać za statkiem Yantary w locie dookoła świata, Toller został skazany na wykonywanie niezliczonych serii powietrznych podskoków od jednej opuszczonej miejscowości do drugiej. Przebywał na Landzie już prawie dwadzieścia dni, przez cały ten czas nawet nie widział Yantary, która wypełniała podobne zadanie w innej części kraju.

Ro-Atabri samym swoim rozmiarem zaimponowało mu w takim stopniu, w jakim Kolcorron przygniatał liczbą olbrzymich, średnich i małych miejscowości, które niegdyś były nieodzowne, aby dać schronienie ludności. Jako że całe życie spędził na Overlandzie, gdzie można żeglować w powietrzu godzinami, nie napotykając żadnego ludzkiego siedliska, Toller czuł, że nuży go i dusi ogrom ingerencji człowieka w naturalny krajobraz. Zaczął wyobrażać sobie dawne królestwo jako wielkie kipiące rojowisko, w którym jednostka mało się liczyła. Nawet świadomość, że tutaj urodził się jego dziadek, niewiele mogła zmienić negatywne nastawienie do ujarzmionej i zdeformowanej przyrody Kolcorronu.

Patrzył ponuro na falujące wraz z ruchami statku skupisko domów mieszkalnych i większych budynków gospodarczych składających się na wioskę Sty-vee. Według starych map i atlasów geograficznych, znalezionych w Ro-Atabri, jej znaczenie wiązało się głównie z istnieniem stacji pomp. Odgrywała ona niegdyś kluczową rolę w nawadnianiu rozległych połaci pól uprawnych leżących na północ od pobliskiej rzeki i systemu kanałów. Od Tollera wymagano, by przeprowadził tam inspekcję i zdał raport o jej stanie.

Kątem oka pilnując Steenameerta kierującego statkiem, Toller spojrział na swoją listę i upewnił się, że po wykreśleniu Sty-vee zostaną jeszcze tylko trzy miejscowości do sprawdzenia. Jeśli nie zajdą jakieś komplikacje, będzie mógł zawrócić do bazy w stolicy przed małonocą następnego dnia. Do tego czasu Yantara też pewnie powróci do Ro-Atabri. Myśl ta pomogła częściowo rozwiązać złe przeczucia co do czekającego! go zadania i Toller zaczął pogwizdywać wyjmując szablę żel schowka. Stalowa broń, kiedyś należąca do jego dziadka, j była zbyt nieporęczna, by nosić ją w ciasnych pomieszczeniach statku, lecz Toller nigdy nie opuszczał gondoli nie przypasawszy jej sobie wprzód do boku. Wzmagało to jego więź z pierwszym Tollerem Maraquine'em, którego bohaterских czynów nigdy nie będzie mu dane naśladować.

W chwilę później, przy akompaniamencie urywanych wybuchów z tylnych silników, kil gondoli dotknął twardego gruntu, a armatka na cztery kotwice plunęła hakami w porośniętą trawą ziemię. Załoga natychmiast przeskoczyła przez reling i podwójnymi linami zaczęła zabezpieczać statek przed wirami cieplnymi, często nawiedzającymi tereny okolorównikowe.

– Wyłączani silniki, panie kapitanie! – krzyknął Steenameert, szukając wzrokiem oczu Tollera i jednocześnie spuszczać powietrze z pneumatycznego zbiornika, tłoczącego kryształy do

silników odrzutowych. – Jak pan ocenia lądowanie?

– Może być. – Ton głosu Tollera wskazywał, że w rzeczywistości jest z kaprała bardziej zadowolony, niż sugerowałby dobór słów. – Ale nie stójcie tu cały dzień, gratulując sobie w nieskończoność. Mamy kilka spraw do załatwienia w tej tam metropolii. Skaczcie natychmiast na ziemię.

Tak jak i wcześniej, zbliżając się do granic wioski Toller doświadczył dziwnego uczucia, jak gdyby jacyś ukryci obserwatorzy śledzili każdy jego krok. Zdawał sobie sprawę z absurdalności takiego przypuszczenia, ale nie mógł otrząsnąć się z myśli, że on i jego ludzie stanowiliby łatwy cel, gdyby w ziejących pustką oknach najbliższych domostw pojawili się nagle obrońcy uzbrojeni w muszkiety. Zdecydował wreszcie, że ten niepokój wziął się z przekonania, iż nie ma prawa robić tego, co właśnie robił, gdyż miejsce ostatniego spoczynku tak wielu ludzi powinno zostać uszanowane.

Potok przekleństw z ust jednego z członków załogi kilka kroków na lewo przyciągnął w tamtą stronę wzrok Tollera. Mężczyzna ostrożnie omijał coś, czego Toller nie mógł dostrzec z powodu wysokiej trawy.

– Co się stało, Renko? – spytał, z góry przewidując odpowiedź.

– Para szkieletów, panie kapitanie. – Plamy potu znaczyły szafranowy mundur Renka. Lotnik zaczął kuleć. – Mało brakowało, a bym się o nie potknął. Chyba skręciłem nogę.

– Jeśli się szybko nie odkręci, zamieszczę wzmiankę o tym incydencie w waszych aktach: „W starciu z dwoma szkieletami uplasował się na drugiej pozycji”.

Ten komentarz wywołał wybuch śmiechu u reszty załogi i Renko nagle przestał kuleć.

Dotarłszy do wioski grupa przystąpiła do rutynowych;

działań – żołnierze krążyli po domach, a potem składali raport o ich stanie porucznikowi Correvalte'owi, który skrupulatnie zapisywał wszystko w książce depez. Toller, wykorzystał okazję, by znaleźć odrobinę względnej samotności, wałęsając się w pojedynkę po wąskich uliczkach i szczątkach ogrodów. Oplakany stan budynków przekonał go, że nie zamieszkiwali tu Nowi Ludzie i że pół wieku minęło, od kiedy ludzkie rodziny ożywiały swoją obecnością kruśzące się kamienne budowle.

Na zewnątrz nie widać było żadnych szkieletów, lecz j nuczony doświadczeniem Toller wcale nie czuł się zaskoczony. W ostatniej, najjadowitszej fazie plagi ptert ofiarom pozostawały dwie godziny życia po zarażeniu i instynkt kazał im szukać miejsc odosobnionych, by tam oddać ducha. Niektórzy udawali się do ulubionych malowniczych zakątków lub punktów widokowych, lecz na ogół obywatele dawnego Kolcorronu wybierali śmierć w zaciszu swego domu, bardzo często w łóżku.

Toller już stracił rachubę, ile razy widział żaloszny obraz szkieletów kobiet i mężczyzn splecionych w ostatnim uścisku, pomiędzy którymi czasami leżała mniejsza figurka. Ten często oglądany widok przypominał mu o ostatecznej jałowości ludzkiego życia i sączył w serce jad melancholii, chwilami tłumiącej jego naturalny wigor. Zatem, nie wstydząc się tego wcale, starał się nie wchodzić do ponurych, milczących domostw, o ile sytuacja na to pozwalała.

Błąkając się po wiosce stanął w końcu przed dużym, pozabawionym okien budynkiem wznoszącym się na brzegu rzeki. Jedna ściana ciągnęła się w dół aż do leniwie płynącej wody. Rozpoznając w budowli stację pomp, główną atrakcję okolicy, zaczął obchodzić ją dookoła. Natrafił na ogromne drzwi w północnej ścianie. Drzwi wykonane były z drewna i wzmocnione pasmami bracka i wyglądały solidnie mimo pięćdziesięciu lat za-

niedbania. Były zamknięte na klucz. Tak jak się spodziewał, ledwo drgnęły, gdy naparł na nie całym, niebagatelny ciężarem swego ciała.

Mrucząc gniewnie obrócił się i osłaniając oczy przed słońcem przepatrywał wioskę. Po jakimś czasie dostrzegł pękatą postać Gabbleronna, sierżanta-mechanika odpowiedzialnego za naprawy na statku. Gabbleronn wyłonił się właśnie z byłego składu i upychał do sakiewki jakiś mały przedmiot. Drgnął, kiedy Toller na niego zawołał i odpowiedział na wezwanie z widocznym brakiem entuzjazmu.

– Nic nie szabrowałem, panie kapitanie – zaczął się tłumaczyć podchodząc bliżej. – Po prostu podniosłem z ziemi mały świecznik toczony z ciemnego drewna. Jest zupełnie bezwartościowy, panie kapitanie. Prezent dla żony, jak wrócimy do Prądu. Odłożę go z powrotem, jeśli pan...

– Nieważne – uciął Toller. – Chcę, żebyście otworzyli mi te drzwi. Przynieście ze statku potrzebne narzędzia. Wyrwijcie je z zawiasów, jeśli będzie trzeba.

– Tak jest, panie kapitanie. – Gabbleronn z ulgą przyglądał się drzwiom przez chwilę, po czym zasalutował i pośpiesznie się oddalił.

Czekając na sierżanta Toller przysiadł na kamiennych schodach i ułożył się na tyle wygodnie, na ile pozwalały warunki. Im wyżej wznosiło się słońce, tym bardziej doskwierał upał, a niebo jaśniało tak silnym blaskiem, że widać było tylko niektóre z dziennych gwiazd. Dokładnie nad głową wielki dysk Overlandu zajmował cały środek nieba tak czysty i nieskażony, że Toller nagle zatęsknił za jego otwartą przestrzenią chłodzoną powiewami wiatru. Cały Land był jedną wielką kostnicą, planetą wyczerpaną, upiorną, brudną i ponurą, i nawet obecność Yantary gdzieś daleko poza linią horyzontu nie rozjaśniała przygnębienia, które brało w

posiadanie jego umysł. Inaczej by to wyglądało, gdyby mógł do-
trzymywać jej towarzystwa, lecz ta sytuacja, kiedy będąc blisko
niej, jednocześnie był od niej zupełnie odcięty, była gorsza niż...

„Co się ze mną dzieje?” -przerwał te rozmyślania. „Nad
czym się tu zastanawiam? Czy ten drugi Toller Maraquine snułby
się tak jak ja, trawiony miłością i tęsknotą za domem, jak nieo-
pierzony młokos?”

Te pytania poderwały Tollera na nogi i gdy tak chodził
nerwowo w kółko, zaciskając dłoń na rękojeści szabli, zobaczył
Correvalte'a spieszącego na czele całej załogi. Porucznik przeglą-
dał notatki i sprawiał wrażenie człowieka; rzeczowego, kompet-
entnego, w harmonii z samym sobą i otoczeniem. Toller poczuł
ukłucie zazdrości wzmożone przelotnym podejrzeniem, że Cor-
revalte był potencjalnie lepszym oficerem niż on.

– Raport jest już prawie gotowy, panie kapitanie – zaczął
Correvalte. – Brakuje jedynie sprawozdania ze stacji pomp. Czy
był pan już w środku?

– Jak mogłem wejść do środka, kiedy te przekłete drzwi są
zaryglowane? – wypalił Toller. – Czy wyglądam na ducha, który
potrafi przecisnąć się przez szpary w drewnie?

Oczy porucznika zaokrągliły się, by po chwili nabrać tępego
wyrazu.

– Przepraszam, panie kapitanie. Nie zdawałem sobie sprawy.

– Posłałem Gabbleronna po narzędzia – uciął Toller, żałując
swojej opryskliwości. – Sprawdźcie, czy nie trzeba mu pomóc. Nie
mam zamiaru tkwić na tym cmentarzysku ani chwili dłużej, niż to
konieczne.

Odwrócił się, kiedy Correvalte oddawał jeden ze swoich
hiperpoprawnych salutów i ruszył wzdłuż rzeki, aż dotarł do wą-
skiego, drewnianego mostka. Z daleka wydawał się w dobrym
stanie, lecz przyjrawszy mu się bliżej Toller odkrył, że po-

wierzchnia drewna ma szarobiałą kolor i porowatą strukturę, co dowodziło obecności korników. Wyjął szablę z pochwy i uderzył w jeden ze słupków poręczy. Nie stawiał on większego oporu i poleciał w wodę, pociągając za sobą część barierki. Kilka następnych ciosów wystarczyło, by przeciąć dwie główne belki i cała przegniła konstrukcja runęła z pluskiem do wody w chmurze pyłu i drobnych, brzęczących, skrzydlatych stworzeń, którym przerwano ucztę.

– Zjadłyście syty posiłek – zwrócił się Toller do roju owadów i ich larw, które z pewnością tkwiły w pochłoniętym przez wodę drewnie. – A teraz zapraszamy na napitki.

Wysiłek fizyczny, choć krótkotrwały i czczy, przemógł targające umysłem napięcie i kiedy Toller ponownie skierował kroki ku wiosce, był już w lepszym humorze. Dotarł do stacji pomp w momencie, kiedy Gabbleronnowi i jego dwóm pomocnikom udało się wreszcie wyważyć drzwi za pomocą potężnych łomów.

– Dobra robota – pochwalił Toller. – A teraz sprawdźmy, jakie cuda techniki kryją się w środku.

Z lekcji historii pamiętał, że na Landzie nie znano metali, w związku z czym drewna brakka używano wszędzie tam, gdzie projektant na Overlandzie zastosowałby żelazo, stal lub jakiś inny odpowiedni metal. W każdym razie machina, której koła zębate i inne podlegające dużym naciskom części wyrzeźbiono z czarnego drewna, w jego oczach wyglądała ociężale i dziwacznie, jak relikwium prymitywnej ery.

Krótkim korytarzem przeszedł do przestronnej, sklepionej komnaty. Znajdowała się tu masywna maszyna pompy. Choć okna w dachu zasnuła gęsta, brudna maź, w pomieszczeniu było dość jasno, by mógł stwierdzić, iż pokryte kurzem urządzenie jest nienaruszone i w całkiem dobrym stanie. Części nie wykonane z brakka – wały i rozpory -zrobiono z tego samego drewna, co drzwi

stacji, najwyraźniej odpornego na korniki lub też nie w ich guście. Toller sprawdził paznokciem powierzchnię jednej z rozpór i zaskoczyła go jej twardość, a przecież nie konserwowano jej od pięćdziesięciu lat.

– Zdaje się, że to jest właśnie drzewo krokwiowe, panie kapitanie – odezwał się Steenameert stając obok. – Teraz wiadomo, dlaczego budowniczowie uwielbiali ten materiał.

– Skąd wiecie, jak się nazywa? Steenameert poczerwieniał.

– Czytałem o tym wiele razy w...

– Och, nie! – Głos należał do porucznika Correvalte'a, który chodził po obwodzie komnaty, otwierając drzwi do przyległych pomieszczeń. Cofał się tyłem, potrząsając głową i Toller od razu odgadł, że musiał natrafić na coś przerażającego. „To jest właśnie to” pomyślał „czego obawiałem się od momentu, gdy postawiliśmy stopę w tej wiosce. Wiedziałem, że czai się tu coś okropnego i wcale nie mam chęci na to patrzeć”.

Zdawał sobie jednak sprawę, że nie może uchylić się od przeprowadzenia osobistej inspekcji znaleziska, jeśli nie chce, by załoga zaczęła szeptać, że mięknie w oczach. Jedyne, co mógł zrobić, to odsunąć ten ponury moment. Pochylił się nad dźwignią sterującą zapadką i starł pokrywający je kurz, udając podziw dla precyzji ich rzeźbienia, a jednocześnie kątem oka obserwował swoich ludzi.

Zaintrygowani reakcją Correvalte'a po kolei wchodzili do pokoju. Żaden nie został tam dłużej niż kilka sekund i, choć przywykli do okropności, powracali do głównej komnaty z poszarzałymi twarzami, na których malowała się zaduma.

„Mam w tym pokoju umówione spotkanie” pomyślał Toller. „Nieprzyzwoicie byłoby dłużej je odwlekać”.

Wyprostował się, a ręka bezwiednie opadła na rękojeść szabli, i ruszył w stronę czekających na niego drzwi. Pokój, który

ujrzał po przekroczeniu progu, przypominał celę więzienną. Nie było w nim żadnych sprzętów, a jedyne oświetlenie stanowiło smętne światło padające od strony wysokiego, spadzistego dachu. W rzędach pod ścianami w pozycji siedzącej znajdowało się około dwudziestu szkieletów. Strzępy spódnic i sukienek oraz naszyjniki i ceramiczne bransolety powiedziały Tollerowi, że miał przed sobą szczątki kobiet.

„Nie jest tak źle” pomyślał. „Wiadomo przecież, że zaraza nie wybierała. Uderzała tak w mężczyzn, jak i w kobiety, a od czasu, gdy przybyłem na ten nieszczęsny świat, widziałem wiele, wiele...”

Zesztywniał, oblewając się zimnym potem, gdy dotarł do niego fakt, który z początku umknął jego uwagi. W miednicy każdego szkieletu spoczywał zwinięty w kłębek drugi szkielet – pajęczyna cieniutkich kości, pozostałość dziecka, którego życie skończyło się, nim się naprawdę rozpoczęło.

Tak, zaraza rzeczywiście nie wybierała.

Toller pragnął odwrócić się i umknąć z pokoju, lecz śmiertelny chłód w jego mózgu przesaczył się w dół do ciała, unieruchamiając członki. Czas zboczył ze swych torów, sekundy zmieniły się w wieczność i Toller wiedział, że przeznaczenie każe mu spędzić resztę życia tkwiąc nieruchomo w tym samym miejscu, na krawędzi pesymizmu i czystej rozpacz.

– Mieszkańcy wioski musieli zebrać tutaj wszystkie ciężarne kobiety w nadziei, że ochronią je te mury – odezwał się porucznik Correalte zza pleców Tollera. – Niech pan spojrzy! Jedna z nich spodziewała się bliźniąt.

Toller wołał nie zgłębiać wyrafinowanej natury tej okropności. Przełamawszy osłupienie odwrócił się i wyszedł z pokoju, świadomy przenikliwych spojrzeń posyłanych mu przez członków załogi.

– Zanotujcie – rzucił przez ramię do Correvalte'a. - Zbadaliśmy stację pomp i stwierdziliśmy, że jest w dobrym stanie. Przywrócenie jej do pracy zajmie niewiele czasu.

– To wszystko, panie kapitanie?

– Nie zauważyłem nic innego, czym nasza władczyni mogłaby się zainteresować – odparł Toller obojętnym tonem, zmierzając powoli do wyjścia i starając się ukryć niepokój, palącą potrzebę upewnienia się, że odnajdzie na zewnątrz bezpieczne schronienie w blasku słońca.

Obchody Dnia Migracji całkiem zaskoczyły Tollera.

Zakończył inspekcję i powrócił do bazy w Ro-Atabri na jakąś godzinę przed zapadnięciem zmroku, straciwszy rachubę dni. Czuł się wyczerpany do cna, co było u niego rzadkie. Wiadomość, że jest właśnie Dzień 226, rocznica pierwszego lądowania na Overlandzie, nie była w stanie wykrzesać z niego odrobiny zapału. Zdawszy statek kapitanowi floty Codellowi udał się prosto do łóżka. Nawet fakt, że Yantara przybyła do bazy z początkiem dnia, nie wyrwał go z duszącego letargu, duchowego znużenia, które odbierało wszystkiemu radość.

Leżał teraz w pogrążonym w ciemności pokoju, będącego częścią dawnej kwatery straży Wielkiego Pałacu, i zupełnie nie mógł zasnąć. Z natury nie zwykł oddawać się introspekcji i badaniom stanów swojej duszy, lecz dobrze rozumiał, że jego zmęczenie nie ma źródeł w fizycznym wyczerpaniu. Trawiło go zmęczenie umysłu, psychiczne wycieńczenie na skutek przeciągającego się zmuszania do czegoś, na co nie miał ochoty, co przeciwne było jego naturze.

Zanim opuścił dom, wyobrażał sobie Land jako jedną wielką kostnicę, a rzeczywistość przeszła jego najśmielsze oczekiwania, osiągając kulminację w postaci okropnego znaleziska w stacji pomp w Sty-vee. Może zbyt sobie pobrażał. Może, jako człowiek

należący do uprzywilejowanej warstwy społeczeństwa, po raz pierwszy poznał smak życia ludzi prostych, zmuszonych spędzać wszystkie swoje dni w mozole, wykonując prace, których nienawidzili, a które narzucono im z góry. Toller próbował napominać się, że jego dziadek, ten pierwszy Toller Maraquine, nie pozwoliłby tak łatwo zakłócić sobie wewnętrznego spokoju. Bez względu jak okropne widoki i przeżycia musiał znosić prawdziwy Toller Maraquine, z pewnością odpierał je wszystkimi tarczą swojej nieugiętości i samowystarczalności. Lecz... lecz...

„Jak mam pomieścić w głowie dwadzieścia szkieletów schludnie ułożonych wzdłuż ścian? I następne dwadzieścia w ich łonach? Powinienem powiedzieć dwadzieścia jeden. Nie zauważyłeś, że jedna z kobiet spodziewała się dwojaczków? Co powinienem zrobić w sprawie tych dwóch ludzkich istotek z pobielałymi pręcikami w miejsce kości, nie odstępujących się nawzajem w śmierci zamiast w życiu?”

Grzmiący wybuch śmiechu dobiegający z terenów pałacowych porwał go na równe nogi. Z ust Tollera popłynął potok przekleństw. Gdzieś tam ludzie upijali się, wprowadzając w stan pozwalający wymieniać ze szkieletami uściski dłoni, odwzajemniać ich uśmiechy i głaskać nie narodzone dzieci po wciąż nie zrosniętych czaszkach. Toller zdał sobie sprawę, że tej nocy nie zaśnie, o ile nie wleje w siebie dużej ilości alkoholu.

Podjmując decyzję i czując, jak wewnętrzne znużenie ustępuje nieco, Toller naciągnął ubranie i wyszedł z pokoju. Z pewną trudnością odnajdując drogę pośród nieznanych korytarzy, dotarł w końcu do ogrodu położonego w północnej części terenów pałacowych, gdzie odbywał się festyn. Wybór padł na to miejsce, ponieważ prawie w całości było wybrukowane, toteż oparło się działaniu czasu lepiej niż inne. Nawet plac parad na tyłach pałacu zarósł sięgającymi pasa trawami i chwastami. Rozpalono kilka

niewielkich ognisk, pomarańczowozłoty blask wydobywał z ciemności zdobione fontanny, rzeźby i krzewy, a ogród wydawał się większy, niż był w rzeczywistości.

W rozbłyskującym półmroku przechadzały się pary i małe grupki ludzi, pozostali zaś zgromadzili się wokół długiego stołu zastawionego przekąskami. W wyprawie tej mężczyźni byli liczniejsi niż kobiety, mniej więcej w stosunku trzy do jednego, co powodowało, iż kobiety, będące tej nocy w dobrych nastrojach, cieszyły się obfitością romantycznych westchnień, a mężczyźni pozostający bez pary zajęli się jedzeniem, pićciem, śpiewem i opowiadaniem pieprzonych historyjek.

Toller odnalazł komisarza Kettorana i jego sekretarza Parło Wotoorba za stołem, serwujących jedzenie i napoje. Obaj starszackowie najwyraźniej znajdowali sporą przyjemność w odgrywaniu roli służących udowadniając towarzystwu, że mimo swoich wysokich stanowisk umieją bawić się jak zwyczajni ludzie.

– Witamy, witamy, witamy! – zawołał Kettoran dostrzegając zbliżającego się Tollera. – Chodź, napij się z nami, młodzieńcze.

Tollerowi przyszło na myśl, że komisarz odgrywa swą rolę z niejaką przesadą, może z obawy, że ktoś nie zauważy przedstawienia, lecz była to nieszkodliwa słabostka, która zbytnio nie raziła.

– Dziękuję. Chciałbym bardzo wielki puchar ciemnego Kailiana.

Kettoran potrząsnął głową.

– Nie mamy ani wina, ani piwa. Rozumiesz, to sprawa ekonomicznego obciążenia statku. Będziesz musiał uraczyć się brandy.

– W takim razie brandy.

– Należę ci dobrego gatunku, w najpiękniejszym pucharze, jaki tutaj mam.

Kettoran zanurkował pod stołem, po czym wynurzył się dzierżąc w ręce wypełniony po brzegi kryształ. Kiedy wyciągnął ręce z pucharem, z jego twarzy zniknął nagle jowialny uśmiech, a zastąpił go wyraz niedowierzania i bólu.

Toller szybko pochwycił kielich i z niepokojem patrzył, jak Kettoran przyciska obydwie ręce do dolnej części klatki piersiowej.

– Trye, źle się czujesz? – spytał zatroskany Wotoorb.
-Mówiłem ci, że powinieneś więcej odpoczywać.

Komisarz wskazał głową na sekretarza, po czym porozumiewawczo mrugnął na Tollera.

– Ten stary pryk myśli, że mnie przeżyje. – Uśmiechnął się, najwidoczniej nie czując już bólu i wznosił swój kielich ku Tollerowi. – Za twoje zdrowie, młodzieńcze.

– Za pana zdrowie – odparł Toller niezdolny odwzajemnić się uśmiechem.

Kettoran przyjrzał mu się uważnie.

– Synu, mam nadzieję, że nie poczytasz mi tego za impertynencję, ale nie wyglądasz już jak ten młody, czupurny kapitan, który zawiadywał moim statkiem w drodze na Land. Coś ci leży na wątrobie.

– Mnie?! – zaśmiał się Toller z niedowierzaniem. – Nie niepokój się, panie. Nie rozklejam się tak łatwo. A teraz, panowie wybaczą.

Odwrócił się i odszedł od stołu, w głębi duszy poruszony uwagą komisarza. Jeśli ktoś, kto prawie go nie zna, tak łatwo spostrzegł u niego objawy złego samopoczucia, to H jaką miał szansę, że utrzyma szacunek własnej załogi? Fakt, że jego ludzie zaczną go uważać za roślinkę cieplarnianą, więdnącą przy pierwszym chłodniejszym powiewie przeciwności, mógł źle wpłynąć na i tak chwiejną dyscyplinę. Upił trochę brandy i spacerował wokół ogrodu, trzymając się z dala od głośniejszych biesiadników, aż

znalazł pustą marmurową ławkę. Usiadł, wdzięczny za chwilę samotności.

Ponad nim topniejący sierp Overlandu usadowił się prawie w centrum Wielkiego Koła, olbrzymiego wiru srebrzystej poświaty, który okupował prawie całe nocne niebo pod koniec roku. Kilka komet rozpościerało w przestworzach ogony, a miriady gwiazd – niektóre jak barwne latarnie powozów – potęgowały iluminację płonąć nieprzerwanie, w przeciwieństwie do mrugających meteorów.

Toller skupił uwagę na swym przeogromnym kielichu, zawierającym z pewnością mniej więcej trzecią część butelki brandy, i pociągał rozgrzewający trunek długimi, regularnymi łykami. W taką noc przyjemnie spędza się czas w towarzystwie kobiety, lecz nawet świadomość, że kilkanaście kroków od niego może stać Yantara zatopiona w wonnym zmierzchu, nie wywołała w jego duszy żadnego odzewu. W taką noc patrzy się też prawdzie w oczy i pozbywa złudzeń, a nagie fakty świadczyły, że Toller zraził do siebie księżną już wtedy, gdy po raz pierwszy spotkali się jako dorośli ludzie, i że pogardzała nim teraz i będzie nim gardzić tak długo, dopóki nie wymaże go z pamięci.

„Poza tym” wróciła posępna myśl „jak możesz choćby pomyśleć o staraniu się o względy kobiety, kiedy przygląda ci się dwadzieścia jeden miniaturowych szkieletów...”

Toller nadal popijał z metodyczną starannością, aż opróżnił puchar, po czym ocenił, w jakim znajduje się stanie.

Pomimo zmęczenia nie udało mu się jeszcze zapaść w alkoholowe odurzenie. Czuł nadal przewrotną jasność umysłu, mówiącą mu, że nie obejdzie się bez przynajmniej jeszcze jednego wypełnionego po brzegi kielicha, jeśli ma uwolnić się od pełnych wyrzutu spojrzeń dwudziestu jeden dziecięcych szkieletów i pograć w nieświadomości, nim głęboka noc pochłonie świat.

Wstał, trzymając się pewnie na nogach jak dobrze zakorzenie drzewo, i właśnie ruszał w kierunku stołu, by zdać się na szczodroblliwość Kettorana, kiedy ujrzał zbliżającą się do niego kobietę. Była szczupła i ciemnowłosa i nim mógł lepiej przyjrzeć się jej twarzy, wiedział, że to Yantara. Miała na sobie pełne umundurowanie - bez wątpienia, by utrzymać dystans wobec oficerów, skłonnych zapomnieć o randze w wirze hulanki – i Toller zebrał wszystkie siły w przewidywaniu utarczki słownej. Nie musiał długo czekać.

– Co widzę? – odezwała się lekkim tonem. – Bez szabli? Ach, oczywiście! Jak mogłam zapomnieć, w naszej gromadce nie ma ani jednego króla, którego można by nadzieić na szpikulec.

Toller skinął głową na znak, że jego uwagi nie uszła aluzja do dziadka, przez siebie współczesnych ochrzczonego Zabójcą Króla.

– Bardzo śmieszne, kapitanie. – Chciał ją wyminąć, lecz ona zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Czy to wszystko, co macie mi do powiedzenia?

– Nie. – Toller poczuł, że ten nieoczekiwany kontakt fizyczny zbił go z tropu. – Dodam jeszcze, że idę ponownie nappełnić swój puchar.

Yantara spojrzała mu w twarz lekko marszcząc brwi, gdy odczytała jej wyraz.

– Co się z wami dzieje?

– Chyba nie rozumiem pytania.

– Gdzie się podział wielki wojownik, Toller Maraquine Drugi, którego nie imają się kule? Ma dziś wieczór wychodne?

– Nigdy nie byłem dobry w zagadkach, kapitanie – odparł Toller głucho. – A teraz, jeśli pani pozwoli, chciałbym połknąć następną porcję mikstury nasennej komisarza Kettorana.

Yantara ujęła dłoń, w której trzymał puchar, i pochyliła nad

nim głowę, a ciepło jej dotyku rozprysło się po jego skórze jak bursztynowe iskierki.

– Brandy? Czy możecie przynieść także i mnie? Ale nie w tak gigantycznym kielichu.

– Chcecie, żebym przyniósł wam drinka? – spytał Toller świadom, że sprawia wrażenie niezbyt rozgarniętego.

– Tak, jeśli nie macie nic przeciwko temu. – Yantara usadowiła się wygodnie na marmurowej ławce. – Poczekam tutaj na was.

Lekko skonsternowany Toller podążył do stołu z przekąskami, gdzie otrzymał kolejny ogromny puchar brandy dla siebie, a normalny dla Yantary, przy akompaniamencie całej masy uśmiezków i mrugnięć ze strony Kettorana i Wotoorba. Kiedy powracał do ławki, w ogrodzie pojawiła się pterta. Bąblowaty tułów połyskiwał, lecz był słabo widoczny w przyćmionym świetle. Kiedy unosiła się w słupie ciepłego powietrza nad jednym z ognisk, dostrzegła ją grupa birbantów. Pohukując z uciechy, zaczęli rzucać dużymi gałęziami i kamieniami. Jeden z patyków przeszył ptertę. Nagle przestała istnieć. Widzowie podnieśli wiwat.

– Widzieliście to? – spytała Yantara, gdy Toller zbliżył się do niej. – Posłuchajcie tylko! Rzą z uciechy, bo udało im się coś uśmiercić.

– W swoim czasie pterty uśmierciły wielu z naszych -odparł Toller sucho. Wliczając w to dwadzieścioro... jeden nie narodzonych dzieci.

– A więc pochwalacie zabijanie ich dla sportu?

– Nie, nie – odparł Toller czując, że powraca stary antagonizm Yantary i że nie jest w stanie sobie z nim poradzić. – Nie pochwalam zabijania czegokolwiek dla sportu czy z innych powodów. Ostatnio widziałem tak krwawe żniwo śmierci, że starczy mi na całe życie.

– Czy to wam właśnie dolega?

– Nic mi nie dolega.

– Wiem, a wiec o to chodzi. To, że coś dolega, jest zupełnie normalne u... – Yantara urwała. – Przepraszam. Jestem wścibska i moje uwagi są nie na miejscu.

– Czy prosiliście o drinka tylko po to, by mieć czym zająć ręce? – Toller pociągnął łyk brandy, powstrzymując grymas cisnący mu się na usta, gdy nadmierna ilość trunku zapiekła go w gardle.

– Dlaczego tak zdecydowanie chcecie się upić dziś wieczór?

– Czy to jest wasz zwykły sposób prowadzenia rozmowy? – Toller zachnął się gniewnie. – Jeśli tak, to byłbym wam wdzięczny, gdybyście sobie poszli i przysiedli się gdzieś indziej.

– Jeszcze raz przepraszam. – Yantara uśmiechnęła się pojednawczo i upiła łyk z kielicha. – Dlaczego więc ty nie poprowadzisz rozmowy, Tollerze?

Nieoficjalny, a nawet ciepły ton, kiedy wypowiedziała jego imię, zdziwił Tollera i pogłębił tajemnicę zmiany jej nastawienia w stosunku do niego. Spojrzał w zamyśleniu na Yantarę i odkrył, że w przyćmionym świetle jej twarz była nierealnie piękna, doskonała harmonia jej rysów mogła zaistnieć jedynie w wyobraźni natchnionego artysty. Uświadomił sobie, że jego marzenia nagle i niespodziewanie się urzeczywistniły: ona z całą swoją niewiarygodną kobiecością siedziała tuż obok niego. W dodatku ta noc była stworzona do miłości. I jej miękki głos przejmował go dreszczem. Przecież obowiązkiem każdego człowieka jest cieszyć się chwilami szczęścia, jakie los mu zsyła – bez względu na to, jak wiele małych szkieleatów przysłoby mu oglądać – ponieważ natura stwarzała miliony istot każdego gatunku z tego prostego powodu, że niektóre z nich skazane były na zgubę. Zatem jeśli któryś z członków szczęśliwej większości przegapiał okazję, by w pełni

nacieszyć się życiem, to popełniał zdradę wobec tych nielicznych za niego poświęconych. Wyłącznie od niego zależało teraz, czy zdobędzie obiekt swoich pragnień, ukazując jej swoją siłę, odwagę, uprzejmość, męskość, wiedzę, poczucie humoru i szlachetność. „Może najlepiej zacząć od wyrafinowanego komplementu” pomyślał.

– Yantaro, wyglądasz tak... – Urwał przeszyty spojrzeniami oczu, które zgasty w dwudziestu jeden czaszkach wielkości pięści i usłyszał własne słowa, jak postronny słuchacz. – Co tu się dzieje? Zwykle gdy się spotykamy, zachowujecie się arogancko, a teraz nagle mówimy sobie po imieniu w ciepłej, przyjacielskiej atmosferze. Co wy knujecie?

Yantara zaśmiała się i zachnęła jednocześnie.

– Arogancja! I ty mi mówisz o arogancji! Ty, który zbliżając się do kobiety pobrzękujesz zbroją męskości i wywijasz w powietrzu swoją falliczną szablą?!

– To jest najobrzydliwsze...

Yantara uciszyła go, unosząc dłoń z rozcapierzonymi palcami, jak kratą dzielącą ich oczy i usta.

– Błagam cię, Tollerze, nic już nie mów! Żadne z nas nie ma dziś na sobie zbroi, toteż możemy się łatwo zranić. Zaakceptujmy rzeczy takimi, jakie są przez tę jedną godzinę; wypijmy razem drinka i porozmawiajmy. Przystaniesz na to?

Toller uśmiechnął się.

– Czy jakikolwiek rozsądny mężczyzna mógłby odrzucić taką propozycję?

– Świetnie! Zatem powiedz mi, dlaczego nie jesteś już Tollerem Maraquine'em, jakiego dotąd znałam.

– Powróciliśmy do tego samego tematu. , – Nigdy go nie porzucaliśmy.

– Ale... – Toller przez chwilę spoglądał na nią w zakłopo-

taniu, a potem stało się to, co wydawało się nie do pomyślenia. Zaczął swobodnie mówić o tym, co leżało mu na sercu, wyznając swoją świeżo odkrytą słabość, przyznając się do kielkującego w nim przekonania, że nigdy nie będzie w stanie żyć tak, by dorównać przykładowi, jaki dał mu dziadek. W pewnym momencie, gdy opisywał tragiczne znalezisko na stacji pomp w Sty-vee, głos mu się załamał i zdjął go przeraźliwy strach, że nie będzie w stanie mówić dalej. Skończywszy upił łyk brandy, lecz mu nie smakowała. Odstawił puchar na bok i siedział bez ruchu, wpatrując się w swoje dłonie, zastanawiając się, dlaczego drży, jak człowiek, który właśnie przeszedł najcięższą próbę w swoim życiu.

– Biedny Toller – powiedziała cicho Yantara. – Co takiego zrobiło ci życie, że wstydzisz się subtelniejszych uczuć?

– Masz na myśli słabości?

– Nie jest słabością współczucie, przeżywanie rozterek ani potrzeba ludzkiego kontaktu.

Toller pomyślał, że oto ma okazję załatania niektórych dziur w stworzonym przez siebie wizerunku.

– Przydałoby mi się dużo ludzkiego kontaktu – odparł kwaśno. – Pod warunkiem, że będzie to odpowiedni rodzaj.

– Nie mów tak, Tollerze. Nie ma potrzeby. – Yantara odstawiła kielich i przerzuciła nogę przez ławkę, usadawiając się twarzą do Tollera. – Możesz mnie dotknąć, jeśli tego chcesz.

– Nie w ten sposób... – Toller zamilkł, gdy Yantara ujęła jego dłonie i przyciągnęła je do swoich piersi. Czuł, jakie są ciepłe i twarde nawet przez gęsto haftowany materiał munduru kapitana. Przysunął się bliżej.

– Nie zrozum mnie źle – wyszeptała Yantara. – Nie zamierzam dzielić z tobą łoża. Ta ilość ludzkiego kontaktu w zupełności odpowiada wymogom chwili. – Jej usta rozchyliły się lekko, śląc zaproszenie do pocałunku, a on przyjął je jak we śnie, wciąż nie

mogąc uwierzyć w to, co się dzieje. Nieskończona kobiecość Yantary zawładnęła jego zmysłami, a odgłosy ogrodu zmieniły się w odległe szemranie. Trwali w tej samej pozycji przez długi, nieokreślony czas, może dziesięć minut, może dwadzieścia, powtarzając pocałunek wciąż od nowa, bez wytchnienia, nie czując potrzeby, by zmieniać lub posunąć się dalej w tym akcie cielesnego zjednoczenia. Kiedy się wreszcie rozdzielili, Toller czuł, że wróciły mu siły, że znów jest sobą. Posłał Yantarze uśmiech, który ona odwzajemniła, oboje siedzieli tak przez chwilę, po czym wybuchnęli śmiechem. Toller poddał się uczuciu ulgi i odprężenia, jakie zwykle następuje po cielesnym zjednoczeniu, lecz to było głębsze i zawierało zapowiedź większej trwałości.

– Nie wiem, co ze mną zrobiłaś – oświadczył. – Ale aptekarz mógłby zostać bogaczem, gdyby mógł zamknąć takie lekarstwo w słoju.

– Nic nie zrobiłam.

– Ależ zrobiłaś! Pobyt na tej planecie tak mnie wykończył, że nawet obmierzła mi perspektywa okrążenia jej na statku. A teraz, ni z tego, ni z owego, znów się nie mogę go doczekać. Oczywiście nie będziemy podróżować razem, ale nieustannie będę śledził twój statek, dzień w dzień, a w nocy nie będzie żadnego lądowania w tych miastach-grobowcach. Dopilnuję tego...

– Toller! – Yantara posłała mu dziwnie ostrożne spojrzenie. – Mówiłam ci, żebyś mylnie nie tłumaczył tego, co zaszło między nami.

– Ależ zapewniam cię, że nic sobie z góry nie zakładam. – Toller mówił szybko i bez zajknięcia, dobrze wiedząc, że kłamie, ogarnięty radosną pewnością, że pod tym względem zna Yantarę lepiej niż ona samą siebie. – Mówię tylko, że...

– Przepraszam, że ci przerywam – wpadła mu w słowo księżna. – Ale mimo wszystko zakładasz jedną ważną rzecz.

– Mianowicie?

– Że wezmę udział w tym locie. Toller drgnął.

– A jak mogłabyś nie wziąć udziału? Jesteś tutaj, ponieważ jesteś kapitanem sterowca, a lot dookoła planety stanowi najważniejszą część całej misji. Komandor Sholdde nie zwolni cię z niego.

Yantara uśmiechnęła się niemal wstydliwie.

– Muszę ci się przyznać, że spodziewałam się pewnych problemów z jego strony, lecz wychodzi na to, że moja ukochana babka, Królowa Daseene, przewidziała taki obrót rzeczy i poinstruowała komandora, żeby nie odmawiał moim prośbom. – Uśmiech ponownie zaigrał na jej ustach. – Czuję, że nie będzie ronił łez, kiedy odleczę.

– Odleczysz?! – Toller dokładnie zrozumiał słowa Yantary, lecz mimo to usta same wymówiły pytanie. – Dokąd masz zamiar się udać?

– Do domu oczywiście. Brzydzę się tym wymęczonym i ponurym światem nawet bardziej niż ty, Tollerze, toteż jutro uciekam stąd i lecę z powrotem na Overland. Wątpię, by kiedykolwiek coś potrafiło mnie zmusić, bym tu wróciła. – Yantara wstała, symbolicznie zrywając więzy grawitacji Landu, oddzielając się od Tollera międzyplanetarną przepaścią, a kiedy znów przemówiła, w jej głosie brzmiała nutka nieszczerości, która zaboląła go jak cios w twarz.

– Może zobaczymy się znowu w Prądzie. Kiedyś w przyszłości.

Rozdział 6

Diviwidiv podryfował w kierunku stanowiska widokowego teleskopu elektronicznego, gdzie poczekał, „Xx aż Xa wyreguluje

urządzenie. Kiedy obraz wewnątrz okularu ustabilizował się, jego oczom ukazała się stosunkowo niewielka część planety, reszta zaś rozplynęła się promieniście i zniknęła. Divivdiv zdawał się spoglądać pionowo w dół przez okno, z którego widok przesłaniały kłęby chmur nakładając się na brunatnożółte wzory lądów. W samym środku znajdował się nieduży, srebrzysty półksiężyc przypominający miniaturowy miesiąc; w jakiś tajemniczy sposób zamrożony znieruchomiał w miejscu. Bliższa obserwacja obiektu ujawniła, że była to brązowa kula z jednej strony oświetlona światłem słonecznym. Divivdiv rozpoznał płócienny balon, jeden z tych, których Pierwotni używali, by podróżować pomiędzy swoimi planetami. Kiedy wznosił się w kierunku strefy nieważkości, podczepiona pod nim gondola pozostawała optycznie niedostrzeżalna, jednak Xa widział załogę za pomocą innych sposobów.

– Jest ich pięcioro, Ukochany Stwórco – przemówił. – Wszyscy rodzaju żeńskiego, co jest raczej niezwykle, jeśli polegać na naszych dotychczasowych obserwacjach tej rasy.

– Czy wiedzą o istnieniu stacji? Lub o tobie? Zapadła chwila ciszy.

– Nie, Ukochany Stwórco. Statek, należący do grupy, obserwowanej uprzednio, powraca na ojczystą planetę z powodów, które, choć dla mnie niejasne, mają oczywisty związek ze stanem emocjonalnym dowódcy. Nikt tam nie myśli o tym, by obserwować czy badać nasze poczynania.

Oświadczenia Xa były prawidłowo i wytwornie sformułowane, jednak zawierały niestosowne telebarwy. Divivdiviemu skojarzyły się one ze złością i arogancją. Nie miał też specjalnych problemów z ustaleniem najbardziej prawdopodobnego źródła tych uczuć.

– Czy przewidujesz, że nas dostrzegą?

– To właściwie nieuniknione – odparł Xa. – Prawdę mówiąc,

z pewnością dojdzie do kolizji. Najwidoczniej statek Pierwotnych nie porusza się wcale w poziomie, a moje ciało, jak ci zresztą wiadomo, rozszerza się obecnie w maksymalnym tempie.

Diviwidiv natychmiast wycofał się na wyższy poziom mózgu, gdzie mógł rozważyć problem, nie narażając się na podsłuch ze strony Xa. Zlikwidowanie pięciu prymitywnych dwunogów byłoby zdarzeniem zupełnie błahym, szczególnie jeśli spojrzeć na nie z perspektywy wydarzeń, mających się wkrótce rozegrać w tej części kosmosu. Niemniej jednak w tym wypadku musiałby osobiście podjąć decyzję, a do tego zabójstwo miałoby miejsce tak blisko...

Wszystko to oraz jego bezpośrednio zaangażowanie prowadziłyby do wytworzenia się połączenia umysłowego pomiędzy nim a tą piątką, której życie miało się wkrótce zakończyć. W rezultacie Divivdiv doświadczyłby pięciokrotnego refluksu. Refluks był to nagły, niewiarygodnie gwałtowny i niewytłumaczalny przypływ aktywności psychicznej, następujący zawsze w sekundę lub dwie po uśmierceniu istoty rozumnej. Nawet wtedy, gdy powłoką cielesną została unicestwiona w jednej sekundzie i teoretycznie nie powinna już zachodzić żadna interakcja umysłowa z uśmierconą istotą, zawsze pojawiał się ten przenikliwy ból, dręczący, oczyszczający, niewypowiedziany ból, to chwilowe olśnienie duchowe wywierające głęboki wpływ na tych, którzy je poczuli.

Wielu sądziło, że sam fakt zachodzenia refluksu dowodzi, iż życie jednostki toczy się dalej po śmierci. Według nich jakiś składnik umysłowo-cielesnej całości przeobraża się w nową formę istnienia. Inni, o bardziej materialistycznych poglądach, uważali, że sposób, w jaki siła refluksu maleje wraz z odległością, wskazuje, iż istnieją jeszcze inne dziedziny fizyki, a naukowcy dussarrańscy muszą je dopiero odkryć.

Diviwidiv nie skłaniał się ku żadnej z tych dwóch szkół, jednak zdarzyło mu się być w pobliżu epicentrum refluksu dwa razy w życiu, kiedy umarli jego rodzice i nie miał najmniejszej ochoty doświadczyć tego ponownie. W ten sposób moralność była silnie poparta interesem własnym, co stawiało Divivvidiviego przed dylematem, któremu musiał jak najszybciej stawić czoło, jeśli chciał wypełnić swe zobowiązania wobec ważnego ponad wszystko Xa.

Będąc po części kryształem, komputerem, a zarazem rozumną istotą zdolną do odczuwania, Xa mógł przybrać rozmiary niezbędne do wykonania swojego ostatecznego zadania tylko w obszarze bogatym w tlen i nie podlegającym działaniu sił grawitacji. Dussarrańczycy mieli ogromne szczęście, że udało im się odnaleźć takie właśnie środowisko w bliskości swojego ojczystego układu, lecz fakt, że bliźniacze planety zamieszkiwało młode, rozwijające się społeczeństwo, okazał się niepożądaną komplikacją w ich planach, szczególnie że struktura Xa mimo swego ogromu była stosunkowo krucha. Z rozmysłem czy bez, Pierwotni byli w stanie ją zniszczyć. Dlatego też trzeba było na nich uważać jak na roje robactwa, kiedy się zbliżali do Xa.

Diviwidiv obracał ten problem w myśli przez krótką chwilę, aż doszedł do rozwiązania, zadowalającego zamiłowanie do twórczych kompromisów. Wymagało ono, by wyszedł na zewnątrz utrzymywanych pod stałym ciśnieniem pokojów siedziby, skąd mógłby skutecznie porozumieć się z Dyrektorem Zunnununem przebywającym na jego ojczystej planecie, Dussarze. Na szczęście seria przemieszczeń została pomyślnie zakończona i Dussarra stanowiła obecnie część lokalnego systemu, z wyglądu przypominając jasnoblękitny pyłek na rozgwieżdżonym niebie. Na odległość zaledwie kilku milionów mil z łatwością nawiąże umysłowy kontakt z Zunnununem, nie ryzykując, że ktoś przechwyci treść

rozmowy. Diviwidiv powrócił do średniego poziomu mózgu i z oczami utkwionymi w obrazie statku startującego z powierzchni obcej planety zwrócił się do Xa:

– Twierdziłeś, że Pierwotni nie są świadomi naszej obecności – rzekł. – Czy to oznacza, że są zupełnie pozbawieni środków komunikacji bezpośredniej?

Po raz kolejny nastąpiła krótka pauza; Xa przeprowadzał konieczne badania.

– Tak, Ukochany Stwórco, pod tym względem Pierwotni przejawiają całkowitą bierność.

Divividiv poczuł, jak przenika go dreszcz odrazy pomieszanej z litością. Jak to możliwe, by rozumne stworzenie spędziło całe swe życie w stanie ślepoty umysłowej? Brak wyższych organów zmysłów u Pierwotnych sprawiał, że w tym momencie łatwiej było się z nimi uporać, lecz rozważna i pedantyczna strona natury Diviwidiviego pobudziła go do zadawania kolejnych pytań.

– Czy są oni wojowniczą rasą?

– Tak, Ukochany Stwórco.

– Czy są uzbrojeni?

– Tak, Ukochany Stwórco.

– Przekaż mi krótki opis ich broni. Znow zapadła cisza, nim Xa odparł:

– Ich broń stanowią ołowiane pociski o stałej konsystencji wyrzucane z rur siłą gazów sprężonych w metalowych zbiornikach.

Jednocześnie Xa dostarczył Diviwidiviemu dokładnych informacji o wymiarach i zdolności przenoszenia energii rodzajów broni zarówno osobistej, jak i zainstalowanej na powolnych statkach Pierwotnych. Upewniwszy się, że przeprowadzenie obmyślonego przez niego planu postępowania ze zbliżającym się statkiem i jego załogą nie napotka żadnych przeszkód Diviwidiv poczuł wzrastającą satysfakcję.

– Jesteś niezmiernie zadowolony, Ukochany Stwórcu -zauważył Xa.

– Owszem. Teraz powrócę do mojego snu i będę w spokoju oczekiwał przybycia Pierwotnych.

– Jesteś zadowolony, gdyż nie będziesz zmuszony uciąć życia Pierwotnych.

– Tak.

– W takim razie. Ukochany Stwórcu, dlaczego nie niepokoi cię myśl, że wkrótce zabijesz mnie?

– Nie rozumiesz tych spraw.

Diviwidiv poczuł nagłe zniecierpliwienie w stosunku do Xa i jego obsesji zachowania pseudożycia. Za każdym razem, gdy poruszał ten temat, umysł Diviwidiviego zaciemniały tumany myśli o ludobójstwie i pomimo dyscypliny umysłowej, w której zachowywaniu był mistrzem, echa tych myśli zakłócały jego sen.

Rozdział 7

Toller wiedział, że zawdzięcza to swojej wyobraźni, I ale zdawało mu się, że nad terenem pięciu pałaców w Ro-Atabri zapadła nienaturalna cisza. Nie był to jednak rodzaj ciszy, jaka na-

staje z końcem ludzkiej krzątaniny, lecz jakby wszystko w okolicy otuliła niewidzialna płachta z dźwiękoszczelnego materiału. Kiedy rozglądał się wokół, widział, że stolarze i kamieniarze uwijają się przy pracach restauracyjnych, niebieskorożce i ciągnięte przez nie wagoniki wznieczają tumany kurzu, zasnuwające żółcią błękit przeddziennego nieba, a mechanicy i kapitanowie krzątają się wokół statków, przygotowując je do lotu dookoła świata. Gdziekolwiek spojrzeł, tam panował celowy ruch, ale odgłosy tej bieganiny zdawały się docierać do niego przez filtr odległości, zduszone i bez znaczenia.

Wyprawa miała się rozpocząć za godzinę i Toller dobrze wiedział, że właśnie ten fakt przytępiła jego reakcje, oddzielając od postrzegalnego świata zmysłów. Dziewięć dni minęło, od kiedy Yantara odleciała na Overland, i przez ten czas Toller trwał zatopiony w przygnębieniu i apatii, opierających się wszelkim próbom przewyciężenia.

W czasie gdy powinien przygotowywać statek i ludzi do podróży, snuł się zamyślony, wciąż na nowo przeżywając tamtą przedziwną godzinę spędzoną z Yantarą na festynie z okazji Dnia Migracji. Co kazało jej zachować się tak, jak się zachowała? Wiedząc, że następnego dnia opuści planetę na zawsze, rozpałała w nim ogień – wciąż czuł, jak jej usta przywierają do jego, a piersi falują pod jego dłońmi - tylko po to, by zalać go prysznicem naglej szorstkości i rezerwy. Czy bawiła się z nim w kotka i myszkę, zabijając nudę tą trywialną grą?

Bywały chwile, kiedy Toller wierzył, że tak się rzeczy miały i wtedy zanurzał się w bezbrzeżnym morzu nowych cierpień, miotany nienawiścią do księżnej z taką gwałtownością, że zaciskał pięści do bólu i milkł w pół zdania. Innymi razy zdawało mu się, że Yantara uczyniła pierwszy krok, by przełamać lody między nimi, że uważała go za wartościowego człowieka, i że rzeczywiście bę-

dzie czekała na niego, kiedy on znów postawi stopę na Overlandzie. W tych momentach optymizmu Toller czuł się jeszcze gorzej, gdyż on i jego miłość – najpowabniejsza i najbardziej godna pożądania kobieta, jaka kiedykolwiek istniała – żyli dosłownie w różnych światach i nie mógł sobie wyobrazić, jak znieśie nadchodzące lata, które miał spędzić bez niej.

Wpatrywał się godzinami w ogromny dysk Overlandu, w tę wypukłą powierzchnię wciąż przecinaną kłębami chmur, i marzył o jakimś sposobie natychmiastowej komunikacji pomiędzy bliźniaczymi planetami. Niejednokrotnie słyszał o fantastycznych planach budowy gigantycznych heliopisów z ruchomymi lustrami o rozmiarach dachu, miały one być zdolne do przekazywania informacji między „Landem i Overlandem. Gdyby takie urządzenie istniało, Toller użyłby go nie po to, by porozmawiać z Yantarą -gdyż pokonanie dzielącej ich międzyplanetarnej przepaści w tak niedoskonały sposób uczyniłoby jego tęsknotę jeszcze bardziej rozdzierającą – ale raczej, by skontaktować się z ojcem.

Cassyll Maraquine miał odpowiednią władzę i wpływy, żeby uzyskać dla swojego syna zwolnienie z misji na Landzie. Dawniej, zanim poraziło go szaleństwo miłości, Toller gardził wykorzystywaniem przywilejów w ten sposób, ale w obecnym stanie umysłu chwyciłby się takiej okazji z bezwstydną chciwością. Teraz zaś, i to pogarszało sprawę, miał wyruszyć w podróż do Krainy Długich Dni, tej odległej części planety, gdzie nie będzie mógł czerpać nawet słabej pociechy z wpatrywania się w Overland i śledzenia oczyma duszy poczynąń Yantary w jej jakże niezwykłym życiu.

– W ten sposób nic nie wskórasz, młodzieńcze – odezwał się komisarz Kettor, gdy nie zauważony zbliżył się do Tollera, torując sobie drogę między stertami drewna i innymi materiałami budowlanymi. Ubrany był w szarą togę zwykłą dla dostojników jego rangi, lecz pozbawioną emblematów z drewna brakka i emalii.

Ktoś inny przebywałby w odosobnieniu wygodnej kwatery lub przechadzał w towarzystwie swojej świty, jednak Kettoran lubił waleśać się samotnie po bazie nie zważając nikomu. -Zamiast snuć się z głową w chmurach jak dziewica, co dostała kolki – rzekł – powinieneś nadzorować załadunek swojego statku.

– Zajmuje się tym porucznik Correalte – odparł Toller obojętnie. - I pewnie radzi sobie lepiej niż ja.

Kettoran nasunął głębiej na oczy rondo kapelusza tworząc cienistą zasłonę, zza której posłał Tollerowi uważne spojrzenie.

– Posłuchaj, mój chłopcze. Wiem, że to nie moja sprawa, ale zadurzenie w księżnej Yantarze źle wróży twojej karierze.

– Dziękuję za radę. – Toller poczuł się głęboko dotknięty słowami starego komisarza, lecz zbyt go szanował, by okazać swoją złość inaczej niż przez zaprawioną sarkazmem odpowiedź. – Będę pamiętał o waszej przestrodze.

Kettoran posłał mu słaby, smutny uśmiech.

– Wierz mi, synu. Nim się spostrzeżesz, te dni, które wydają się ciągnąć bez końca napęczniałe bólem, zmieniają się w odległe wspomnienia. Co więcej, wydadzą ci się niemal bez troskie w porównaniu z tym, co cię jeszcze w życiu czeka. Postępujesz głupio nie wykorzystując ich w pełni.

Jakaś nutka w głosie Kettorana poruszyła Tollera, odciągając jego myśli od własnych spraw.

– Niewiarygodne – rzekł wykorzystując szczególną bliskość, jaka zawiązała się między nimi podczas międzyplanetarnej podróży. – Nigdy bym się nie spodziewał, że usłyszę Trye'a Kettorana przemawiającego jak stary człowiek.

– A ja nigdy bym się nie spodziewał, że będę stary. Był to los zarezerwowany wyłącznie dla innych. Zastanów się nad tym, co ci mówię, synu. I nie bądź głupcem.

Komisarz ścisnął ramię Tollera swoją chudą dłonią, po czym

obrócił się i odszedł w kierunku wschodniego skrzydła Wielkiego Pałacu. Jego krok stracił nieco ze zwykłej sprężystości.

Marszcząc brwi Toller patrzył przez chwilę na oddalającą się postać.

– Panie! – zawołał powodowany nagłym niepokojem. -Czy wszystko z wami w porządku?

Kettoran widać nie słyszał, bo szedł dalej i wkrótce zniknął mu z oczu. Zaniepokojony stanem zdrowia komisarza Toller poczuł się w jakiś sposób zobowiązany, by zastosować się do udzielonej mu rady. Dokładał wszelkich starań, by iść za głosem bez wątpienia mądrych, filozoficznych słów – był przecież młody i zdrowy, a życie dopiero się przed nim otwierało – lecz za każdym razem, gdy próbował zmusić się do wesołości, osiągał jedynie to, że na nowo zalewała go fala cierpienia. Jakaś część jego duszy była głucha na słowa rozsądku.

Powrócił do statku i wspiąwszy się na pokład zaczął kierować przygotowaniami do podróży z ponurą niedbałością, która, jak wiedział, z pewnością rzuci się w oczy załodze. W odpowiedzi na to porucznik Correvalte zachowywał się jeszcze sztywniej i poprawniej niż zwykle. Podróż miała trwać około sześćdziesięciu dni przy założeniu, że nie natrafia na żadne przeszkody, a gondola nie była wcale przestronna, biorąc pod uwagę, że osiem osób miało w niej spędzić tak długi czas. Nawet w idealnych warunkach napięcie psychiczne byłoby znaczne, a jeśli dowódca od samego początku dawał jasno do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty brać udziału w tej misji, to można było przewidywać poważne problemy z zachowaniem dyscypliny i morale załogi.

Ostatecznie dopełniono wszystkich formalności i na statku dowódcy floty rozległa się trąbka, dając znak do odlotu. Cztery statki powietrzne wystartowały równocześnie, a basowe dudnienie ich silników przetoczyło się przez parki okalające Pięć Pałaców i

dalej w skąpane w słońcu podmiejskie okolice Ro-Atabri. Toller stał przy relingu z dłonią na rękojeści szabli, zostawiwszy sterowanie statkiem Correvalte'owi, i patrzył na rozrastający się w oczach ogrom starego miasta. Słońce stało wysoko na niebie, w pobliżu srebrnego dysku Overlandu, i pokład gondoli spoczywał w całości w cieniu eliptycznego balonu, co sprawiało, że okolica zdawała się jaśnieć wyjątkowo żywymi, jaskrawymi barwami. W tradycyjnej architekturze kolcorroniańskiej wykorzystywano powszechnie pomarańczowe i żółte cegły rozmieszczając je w skomplikowanych romboidalnych układach, na rogach i brzegach ozdobionych czerwonym piaskowcem, toteż z małej wysokości miasto wyglądało jak błyszcząca mozaika, której migotliwe kontury rozmazywały się w oczach. Kolorytu obrazu dopełniały drzewa w różnych fazach wegetacji, tworząc wyspy mieniące się gamą barw, od jasnej zieleni, przez miedź, do ciemnego brązu.

Statki zatoczyły nad bazą prawie pełne koło i obrały kurs na północny wschód, szukając pasatów, na których można żeglować, oszczędzając zapasy kryształów napędowych. Loty zwiadowcze wykazały, że na trasie nie zabraknie dojrzałych drzew brakka, lecz wydobywanie zielonych i purpurowych kryształów byłoby zbyt czasochłonne, dlatego zamierzano odbyć całą podróż, korzystając jedynie z zapasów pokładowych.

Toller westchnął bezwiednie, kiedy Ro-Atabri zaczęło topnieć w oddali za rufą statku, a wypukłe budowle rozmazywały się w poziome wstęgi. Podróż, wraz z perspektywą nieodłącznej nudy i niedostatków, rozpoczęła się na poważnie i nadszedł czas, by się z tym pogodzić. Uświadomił sobie, że Baten Steenameert, awansowany ostatnio do rangi sierżanta, uważnie mu się przygląda, mijając go w drodze na dolny pokład. Pąsowa twarz Steenameerta nie zdradzała uczuć, ale Toller wiedział, że swoją melancholią zarażał tego młodzieńca, od czasu gdy wyruszyli z ojczywego świata,

wykazującego względem niego wytrwałą lojalność. Toller uniósł dłoń, by go zatrzymać.

– Nie musicie się tak martwić – powiedział. – Nie mam zamiaru rzucić się za burtę.

Steenameert wyglądał na zaskoczonego.

– Panie kapitanie...

– Nie musisz udawać przede mną niewiniątka, młody człowieku. – Toller był starszy od sierżanta tylko o dwa lata, lecz zwracał się do niego tym samym ojcowskim tonem, którego Trye Kettoran używał wobec niego, świadomie starając się naśladować powagę i stoicyzm komisarza. – W bazie krążą dowcipy na mój temat, mam rację? Rozeszła się pogłoska, że tak zgłupiałem na punkcie pewnej damy, że z trudem rozróżniam dzień od nocy.

Rumieniec na gładkich policzkach Steenameerta pogłębił się, kiedy ściszył głos, by nie słyszał go Correvalte, stojący za pulpitem sterowniczym.

– Panie, jeśli ktokolwiek odważyłby się mówić źle o panu w mojej obecności, to ja...

– Nikt nie wymaga, byście w moim imieniu staczali bitwy – przerwał Toller twardo, zwracając się w takim samym stopniu do swojego wewnętrznego ja, jak do kogokolwiek innego i zaraz dostrzegł, że coś odciągnęło uwagę Steenameerta.

Sierżant odezwał się, nim jeszcze Toller zdążył sformułować pytanie.

– Panie kapitanie, chyba otrzymujemy wiadomość. Toller spojrzął za siebie w kierunku Ro-Atabri i ujrzał

mrugający punkt silnego światła pomiędzy nawarstwionymi, sprasowanymi wstęgami miasta. Z miejsca zabrał się do odczytywania kodu heliopisu i poczuł dziwny dreszcz, lodowatą mieszankę podekscytowania i obawy, kiedy odkrył, że świetlna wiadomość dotyczy jego.

Do czasu, gdy Toller dotarł z powrotem do bazy, balon statku podniebnego był dokładnie napełniony i gondola szarpała się na Unie kotwicznej gotowa do lotu na Overland. Statek podrygiwał wewnątrz drewnianego trójkątnego boksu, sprawiając wrażenie ogromnej, rozumnej istoty, zniecierpliwionej przymusowym bezruchem. Dodatkową oznaką pośpiechu był fakt, że komandor Sholdde oczekiwał na Tollera przy ogrodzeniu, a nie w swoim biurze.

Skinął niedbale głową, najwidoczniej będąc w złym humorze, gdy Toller z Correvalte'em i Steenameertem u boku zbliżył się dziarsko i zasalutował. Komandor przecesał palcami swoje krótko przystrzyżone stalowoszare włosy i rzucił Tollerowi gniewne spojrzenie.

– Kapitanie Maraquine – odezwał się. – Chcę, żebyście wiedzieli, że jest to dla mnie przekłeta niedogodność. Niedawno pozbawiono mnie jednego kapitana, a teraz muszę poszukać sobie następnego.

– Porucznik Correvalte jest doskonale przygotowany, by zająć moje miejsce podczas lotu dookoła planety, panie i komandorze – odparł Toller. – Bez wahania rekomenduję i go do natychmiastowej nominacji na pełnego kapitana.

– Naprawdę? – Sholdde zmierzył Correvalte'a twardym, krytycznym spojrzeniem, które sprawiło, że wyraz zadowolenia widoczny na twarzy porucznika szybko wyparował.

– Komandorze – spytał Toller – czy komisarz Kettoran jest bardzo chory?

– Według mnie wygląda, jakby już umarł – odparł Sholdde obojętnie. – Ciekawe, dlaczego chciał, abyście właśnie wy odstawili go do domu.

– Nie mam pojęcia, panie komandorze.

– Ja też tego nie rozumiem. Wygląda mi to na dziwny wybór.

Nie wyróżniliście się niczym specjalnym podczas tej wyprawy, Maraquine. Miałem cały czas nadzieję, że w końcu potkniecie się o ten antyczny kawałek stali, który z takim uporem wieszacie sobie przy boku.

Toller bezwiednie dotknął rękojeści szabli czując, jak płoną mu policzki. Komandor wystawił go na niepotrzebną hańbę, ubliżając mu w obecności osób o niższej randze. Wszystko, co Toller mógł zrobić, to zaznaczyć swój protest, dając do zrozumienia, że uważa takie uwagi za stratę cennego czasu.

– Panie komandorze, jeśli komisarz miewa się tak źle, jak mówicie...

– Dobrze, już dobrze, idźcie do diabła. – Sholdde rzucił okiem na Steenameerta. – Czy ten człowiek został najemnikiem rodziny Maraquine'ów i częścią waszej osobistej świty?

– Panie komandorze, sierżant Steenameert jest doskonałym pilotem i jego pomoc byłaby nieoceniona przy...

– A bierz go sobie! – Sholdde obrócił się i oddalił, nawet nie salutując, co można było potraktować tylko jako następną bezpośrednią zniewagę.

„A więc to tak” pomyślał Toller, zaalarmowany wzmianką komandora o rodzinie Maraquine'ów. „Mój dziadek był najsłynniejszym wojownikiem w historii Kolcorronu, mój ojciec jest jednym z najbłyskotliwszych i najpotężniejszych ludzi wśród żyjących, i nawet tacy jak Sholdde nienawidzą mnie z tego powodu. Czy dlatego, iż podejrzewają, że w tajemnicy wykorzystuję wpływy mojej rodziny? Czy też może dlatego, że otwarcie ich nie wykorzystując wykazuję się specjalnym rodzajem egotyzmu? A może po prostu zawstydzam ich i drażnię, odmawiając łapania się okazji, za które oni oddaliby...”

Przeciągły huk palnika statku odbijający się echem w przestronnej powłoce balonu, wdarł się w rozmyślania Tollera. Pokle-

pał Correvalte'a po ramieniu na pożegnanie, podbiegł wraz z Steenameertem do gondoli i wspiął się do środka. Sierżant obsługi naziemnej, który stał przy pulpicie kontrolnym palnika, utrzymując statek w gotowości, zsalutował i ruchem głowy wskazał na kajutę dla pasażerów.

Toller podszedł do sięgającej pasa, wyplatanej z trzciny ścianki i spojrzął w dół. Komisarz Kettoran spoczywał na sienniku przykryty, mimo panującego upału, grubą derką. Jego pociągła twarz była przeraźliwie blada, ze zmarszczkami wyrytymi przez wiek i zmęczenie, lecz oczy błyszczały żywo. Mrugnął do Tollera i pomachał chudą dłonią w słabym geście pozdrowienia.

– Podróżujecie samotnie, panie? – spytał Toller zaniepokojony. – Bez medyka?

Po twarzy Kettorana przemknął pogardliwy grymas.

– Te konowały nigdy nie dostaną mnie w swoje łapy.

– Ależ skoro jesteście chorzy...

– Doktor potrafiący uleczyć moją dolegliwość jeszcze się nie narodził – odparł Kettoran prawie z satysfakcją. – Nie cierpię na nic innego, jak niedostatek czasu. A mówiąc

O czasie, młodzieńcze, miałem wrażenie, że ty także gorąco pragniesz jak najszybciej powrócić na Overland.

Toller wymamrotał przeprosiny i obrócił się do sierżanta, który natychmiast odsunął się od pulpitu sterowniczego, i przesadził burtę gondoli. Zatrzymawszy się jeszcze na kilka sekund na zewnętrznym stopniu wytłumaczył Steenameertowi, gdzie znajduje się całe niezbędne zaopatrzenie, włącznie z kombinezonami. Gdy tylko zeskoczył

I zniknął z pola widzenia, Toller wpuścił do powłoki dużą ilość gorącego gazu i wybrał liny kotwiczne.

Statek podskoczył z przyspieszeniem spotęgowanym siłą nośną wytworzoną w momencie, gdy górna część balonu wpłynęła

w strumień powietrza nad ogrodzeniem. Zdając sobie sprawę, że ten dodatkowy wypór zniknie, kiedy balon w całości wejdzie w zachodni prąd powietrzny i zacznie się z nim poruszać, Toller nie wyłączał palnika. Pomimo że statek był obciążony znacznie poniżej dopuszczalnego ciężaru, kołysał się w powolnym rytmie, jakby tańczył, przystosowując się do innego środowiska powietrznego. Steenameert złapał się teatralnie za brzuch, a od strony ukrytego za łożynową ścianką komisarza dobiegł cichy jęk skargi.

Po raz drugi w przeciągu ostatniej godziny rozległa panorama Ro-Atabri poczęła oddalać się od Tollera, lecz tym razem uciekała pionowo w dół. „Nie mogę uwierzyć, że to wszystko naprawdę się dzieje” pomyślał rozmarzony, odurzony tym obrotem spraw. Nie dalej, jak kilka minut temu dręczyły go obawy, że już nigdy nie ujrzy Yantary Dervonai, a teraz oto leci do niej, stawiając się na spotkanie zgotowane im przez przeznaczenie.

„Wkrótce już znów zobaczę Yantarę” powiedział do siebie. „Choć raz wszystko dzieje się po mojej myśli”.

Toller nic nie jadł przez cały dzień i wypił jedynie kilka łyków wody, za mało, by uzupełnić odwodnienie powstałe w wyniku pocenia się w suchym powietrzu wyższych partii atmosfery. Urządzenia sanitarne na statkach podniebnych były z konieczności prymitywne i kłopotliwe w użyciu nawet w idealnych warunkach, a w strefie nieważkości ich słabe strony – łącznie z tym, że uwłaczały godności osobistej – stawały się tak dokuczliwe, że znaczna część podróżujących wołała wstrzymywać naturalne potrzeby na tyle, na ile było to możliwe przez jeden dzień po każdej stronie inwersji. Taki system nie sprawiał większych kłopotów zdrowym, dorosłym ludziom, lecz komisarz Kettorán rozpoczął podróż straszliwie osłabiony i teraz, czym wzbudzał niepokój Tollera, zdawał się zużywać resztki sił po prostu na utrzymywanie się przy życiu.

– Zabierz stąd tę wstrętną papkę – mruknął zrzędlawie do

Tollera. – Nie zgadzam się, aby na stare lata karmiono mnie jak niemowlę, a zwłaszcza za pomocą tego odrażającego smoczka.

Zbity z tropu Toller obracał w dłoni stożkowaty pojemnik wypełniony letnią zupą, którą chciał nakarmić komisarza.

– To wam dobrze zrobi, panie.

– Mówisz jak moja matka.

– Czy to powód, żeby odmawiać pożywienia?

– Przestań mędrkować, młodzieńcze. – Przez nieduży otwór w stercie pleców otulających komisarza wydobyła się biała chmura jego oddechu.

– Staralem się tylko...

– Moja matka umiała przyrządzać lepsze jedzenie niż którykolwiek z tych kucharzy – ciągnął w zadumie Kettor, nie zwracając uwagi na Tollera. – Mieliśmy dom w zachodniej części Greenmount, nawiasem mówiąc niedaleko miejsca, gdzie mieszkał twój dziadek, i wciąż pamiętam, jak wjeżdżało się na wzgórze na skraju naszych posiadłości, zgadując od razu, jedynie po zapachach, czy matka przygotowuje kolację. Odwiedziłem to miejsce kilka dni po tym, jak wylądowaliśmy w Ro-Atabri, lecz cała okolica spłonęła podczas zamieszek, zupełnie ogołocona, właściwie bez żadnego całego budynku. Idąc tam zrobiłem błąd. Powinienem był zachować dawne wspomnienia.

Na wzmiankę o swoim imienniku Toller nastawił ucha.

– Czy w tamtych czasach widywaliście mojego dziadka?

– Czasami. Trudno zresztą było go nie zauważyć, był z niego kawał chłopca. Ale częściej widywałem jego brata, Laina, jak chodził tam i z powrotem od swojego domu do oficjalnej rezydencji Lorda Filozofa w Greenmount Peel.

– Jak wyglądał mój... – Toller urwał zaalarmowany nieznaczną, ale raptowną zmianą otoczenia. Podniósł się na nogi i chwyciwszy biegnącą w poprzek pokładu linę, by nie wyfrunąć z

gondoli, rozejrzał się dookoła. Opatulony w kombinezon Steenameert siedział przy pulpicie sterowniczym przypięty pasami do stanowiska. Utrzymywał pracę głównego silnika na stałym poziomie, niezbędnym, by kontynuować lot pionowy, i zupełnie nie wyglądał na zaniepokojonego. W kwadratowym mikrokosmosie gondoli wszystko wydawało się zupełnie normalne, a poza relingiem znajome wzory gwiazd i świetlistych mgławic błyszczały jednostajnie na ciemnogramatowym niebie.

– Panie kapitanie? – Okutana anonimowa figura, jaką był teraz Steenameert, poruszyła się lekko. – Czy coś się stało?

Toller jeszcze raz powiódł dookoła badawczym wzrokiem, nim wreszcie udało mu się zdefiniować źródło swojego niepokoju.

– Światło! Coś się zmieniło w oświetleniu! Nic nie zauważyliście?

– Musiałem akurat mrugnąć. Lecz wciąż nie...

– Jestem zupełnie pewien, że ściemniło się trochę! A przecież od zmierzchu dzieli nas jeszcze godzina.

Skonfundowany i zaniepokojony, żałując, że nie może bezpośrednio przyjrzeć się słońcu, Toller przysunął się bliżej pulpitu i spojrzał w górę przez wlot balonu. Pokryte pokostem płótno powłoki, choć zabarwione na ciemnobrązowe, aby pochłaniać energię słoneczną, do pewnego stopnia przepuszczało światło i widać było geometryczny wzór rozchodzących się promieniście szwów i lin nośnych, podkreślających ogromne rozmiary tej elastycznej kopuły. Toller oglądał to już wiele razy i w tej chwili było dokładnie tak samo jak zawsze. Steenameert także zerknął we wlot balonu, po czym opuścił wzrok w milczeniu.

– Mówię wam, że coś się stało – odezwał się Toller starając się, by zabrzmiało to przekonywająco. – Coś się stało. Coś się zmieniło w oświetleniu... coś jakby... cień.

– Według wysokościomierza znajdujemy się gdzieś w po-

blizu poziomu podstawowego, panie kapitanie – odparł Steenameert, najwyraźniej usiłując okazać się pomocnym. – Może lecimy dokładnie pod stacjami obronnymi i padł na nas ich cień?

– To jest prawie niemożliwe. Zawsze istnieje jakiś dryf. – Toller na chwilę zmarszczył brwi, podejmując decyzję. – Obróćcie statek.

– Panie kapitanie, nie sądzę, abym był przygotowany do wykonania inwersji.

– Nie chcę pełnej inwersji. Zrób tylko obrót o dziewięćdziesiąt stopni, tak żebyśmy mogli zobaczyć, co jest nad nami.

Uświadamiając sobie, że wciąż trzyma pojemnik zjedzeniem, cisnął go w kierunku kajuty dla pasażerów. Opadając rożek zawadził o linę bezpieczeństwa i obracając się leniwie pożeglował za burtę gondoli.

Toller uchwycił się relingu i usiłował dojrzeć coś w górze, niecierpliwie oczekując, aż Steenameert odpali jeden z niedużych bocznych silników odrzutowych podczepionych do przeciwległej strony gondoli. Przez moment wydawało się, że praca silnika nie przynosi żadnych efektów prócz cichych skrzypnięć rozpór wokół Tollera. Jednak w chwilę później, po ciągnącym się w nieskończoność oczekiwaniu, wszechświat zaczął niezgrabnie wędrować w dół. Łaciaty dysk Landu zniknął z pola widzenia pod stopami Tollera, a nad jego głową, wyłaniając się ukradkiem zza powłoki balonu, ukazało się widowisko, jakiego jeszcze w życiu nie oglądał.

Połowę nieba zajmowała ogromna, okrągła tafla białych płomieni.

Słońce chowało się właśnie za jej wschodnie obrzeże i w tym punkcie jasność była nie do zniesienia – był on siedliskiem oślepiającego blasku, który rozpryskiwał się miliardami igiełek rozszczepionego światła po całej powierzchni okręgu.

Istniała swoista gradacja intensywności światła rozlewającego się na powierzchni dysku, ale nawet część znajdująca się najdalej od słońca lśniła dość mocno, by bolały oczy. Tollerowi oglądane zjawisko skojarzyło się z obserwowanym z dna, skąpanym w świetle słonecznym, zamrożonym jeziorem. Spodziewał się, że ujrzy Overland wypełniający dużą połąć nieba, lecz planeta skryła się za tą przepiękną, niewytłumaczalną, nierealną tafią diamentowo-białego światła, po której tańczyły i uganiały się ścierające się ze sobą zygzakowate linie kolorów tęczy.

Stojąc przy relingu w zupełnym osłupieniu, Toller zdał sobie naraz sprawę, że niesamowite zjawisko opada w dół z nie malejącą prędkością. Odwrócił się i ujrzał, że Steenameert stoi z zadartą głową, rozchyłonymi ustami i szeroko otwartymi oczami, które świeciły jak oglądane dyski – miniaturowe wersje hipnotyzującego go widowiska.

– Powiedziałem dziewięćdziesiąt stopni! – huknął Toller. – Zwolnij obrót.

– Przepraszam, panie kapitanie. – Steenameert przebudził się do działania i boczny silnik zamontowany u spodu gondoli po stronie Tollera plunął miglignowym gazem. Kłęby pary odpłynęły w lodowate powietrze. Odgłos pracy silnika był znikomy, gdyż pochłaniała go otaczająca ich pustka, lecz stopniowo uwidaczniał się efekt i statek podniebny spoczął burtą równoległe do morza białych płomieni.

– Co się tam dzieje? – Dochodzący z kajuty zrzędlawy głos Trye'a Kettorana wyrwał Tollera z wewnętrznego paraliżu.

– Sami spójrzcie za burtę – rzucił w stronę komisarza, po czym zwrócił się do Steenameerta. – Jak myślicie, co to jest? Lód? Steenameert wolno skinął głową.

– Lód jest jedynym wyobraźalnym wyjaśnieniem, lecz...

– Lecz skąd się tam wzięła taka ilość wody? W stacjach

obronnych znajduje się zwykły zapas wody pitnej, ale to zaledwie kilka baryłek... – Toller urwał uderzony nową myślą. – A swoją drogą, gdzie są stacje? Musimy spróbować je zlokalizować. Może tkwią one w tym... – Głos mu się załamał, gdy podobne pytania eksplodowały jak gejzer w jego głowie. – Jaką grubość ma ta potężna tafla lodu? W jakiej odległości od statku się znajduje? Jaką ma szerokość?

Jaką szerokość ma ten krąg?

To ostatnie pytanie powróciło echem w jego świadomości, usuwając pozostałe. Do tego momentu jaśniejące zjawisko, które wyrosło im na drodze, budziło zdziwienie, lecz nie przejmowało lękiem. Czuł się oszołomiony, ale nie zagrożony. Jednak teraz pewne proste założenia aeromechaniki zaczęły nabierać znaczenia. Niepokojącego znaczenia. Śmiertelnego znaczenia...

Toller wiedział, że atmosfera otaczająca bliźniacze planety ma kształt klepsydry i że przewężenie pośrodku tworzy pomost powietrzny, prze? który musiały przelatywać statki podniebne. Przeprowadzone w przeszłości eksperymenty wykazały, iż statki powinny trzymać się centralnej części pomostu, w przeciwnym bowiem razie wskutek dużego rozrzedzenia powietrza ich załogi ulegały asfiksji. Głównie z powodu trudności w przeprowadzeniu pomiarów w tym regionie nie znano dokładnej szerokości rdzenia wypełnionego zdatnym do oddychania powietrzem, a według najlepszych szacunków jego średnica nie przekraczała stu mil.

Enigmatyczne morze iskrzącego się lodu zatracalo kształt na skutek emitowanego blasku i, przy kompletnym braku punktów odniesienia w przestrzeni, mogło unosić się tuż nad statkiem, w odległości dziesięciu mil, dwudziestu, może czterdziestu, a może... Toller nie widział żadnego sposobu na oszacowanie tej odległości, jednak z jego obserwacji wynikało, że tafla lodu zajmuje niemal trzecią część widocznej półkuli nieba, a to dawało wystarczająco

dużo informacji, by przeprowadzić podstawowe obliczenia.

Poruszając bezgłośnie ustami wpatrywał się w świetlisty dysk, dokonując w myśli odpowiednich rachunków, i kiedy osiągnął wynik, przejął go nagły chłód, nie mający nic wspólnego z ostrym powietrzem otoczenia. Jeśli tafla lodowa znajdowała się w odległości sześćdziesięciu mil, co było całkiem prawdopodobne, to według niezmiennych praw matematyki była na tyle szeroka, by zablokować pomost powietrzny między Landem a Overlandem.

– Panie kapitanie? – Głos Steenameerta zdawał się dochodzić z innego wszechświata. – Jak daleko według pana jest ten lodowy dysk?

– Doskonałe pytanie – mruknął Toller ponuro, wyjmując lornetkę ze schowka w pulpicie sterowniczym. Wycelował ją w stronę przeszkody, usiłując odszukać wzrokiem jakiś szczegół, lecz widział tylko migocące pole jasności. Słońce skryło się już całkowicie za lodowym kręgiem, na którym światło rozkładało się teraz równo, czyniąc jakiegokolwiek próby oszacowania odległości jeszcze trudniejszymi niż przedtem. Odwrócił się od relingu i przetarłszy powieki wierzchem dłoni, by zlikwidować latające mu przed oczami widmowe zielone plamki, odczytał wskazania wysokościomierza. Wskazówka wisiała tuż pod podziałką oznaczającą grawitację zerową.

– Nie można zbyt po polegać na tych urządzeniach, panie kapitanie – zauważył Steenameert, nie mogąc powstrzymać się od pochwalenia się swoją wiedzą. – Kalibruje się je w warsztatach, nie biorąc pod uwagę wpływu niskiej temperatury na sprężynkę i...

– Oszczędźcie mi tych uwag – przerwał mu Toller. – To poważna sprawa. Musimy znać rozmiary tej... tego obiektu.

– Zbliźmy się do niego i zbadajmy, jak szybko się rozszerza. Toller potrząsnął przecząco głową.

– Mam lepszy pomysł. Nie zamierzam zawracać, chyba że

nie będziemy mieli innego wyjścia. Dlatego skierujemy się w stronę obrzeża. Dokładna średnica tego kręgu liczona w milach nie jest wcale taka istotna. Najważniejsze to upewnić się, czy jesteśmy w stanie ominąć przeszkodę, czy nie. Chcecie zostać przy pulpicie?

– Bardzo cenilibym sobie to doświadczenie, panie kapitanie – odparł Steenameert. – Jaki rytm palnika pan rozkaże?

Toller zawahał się i zmarszczył brwi, żałując, że nigdy wcześniej nie pomyślano o skonstruowaniu wskaźnika szybkości nadającego się do użytku na statkach podniebnych. Doświadczony pilot był w stanie mniej więcej oszacować prędkość, obserwując słabnięcie napięcia linki do otwierania klapy w powłoce, gdy szczyt balonu ugiął się pod oporem powietrza, lecz nadmiar zmiennych uniemożliwiał dokładność. Zbudowanie rzetelnego miernika nie przekraczało możliwości technicznych Kolcorronian, ale nigdy nie było takiej potrzeby. Zadanie statków podniebnych polegało na odbywaniu rutynowych lotów pomiędzy powierzchnią planety a strefą nieważkości – podróży, które trwały z grubsza pięć dni w każdą stronę – i różnica kilku mil na godzinę nie miała tu większego znaczenia.

– Daj dwa na sześć – rzekł Toller. – Przyjmiemy, że poruszamy się z prędkością dwudziestu mil na godzinę i na tym będziemy opierać wszelkie obliczenia.

– Ale jaka jest natura tej przeszkody? – spytał komisarz Kettoran tuż zza pleców Tollera. Stał wyprostowany, jedną ręką przytrzymując się brzegu wyplatanej z trzciny ścianki, a drugą otulając się derką.

W pierwszym odruchu Toller chciał prosić go, by się położył i zażywał bezwzględnie wypoczynku, jak zalecił mu medyk z bazy w Ro-Atabri, zaraz jednak zreflektował się, że przy braku siły ciężenia pozycja, jaką sobie wybierze chora na serce osoba, nie ma żadnego znaczenia. Pozwalając myślom błądzić po sprawach nie

mających żadnego związku z obecną sytuacją, odkrył nowe przeznaczenie dla bezużytecznych fortec w strefie nieważkości. Odpowiednio ogrzane i zaopatrzone w bogate w tlen powietrze, mogły najlepiej posłużyć jako ośrodki wypoczynkowe dla ludzi z najróżniejszymi przypadłościami. Nawet kaleka...

– Mówię do ciebie, młodzieńcze – powtórzył Kettoran opryskliwie. – Jaka jest twoja opinia na temat tego przedziwnego obiektu?

– Sądzę, że może to być lód.

– Lecz skąd się tam wzięła tak ogromna ilość wody? Toller wzruszył ramionami.

– Z gwiazd sypały się na nas bryły skał, a nawet kawałki metalu, może więc w kosmosie wędruje także woda.

– Może – burknął Kettoran. Wzruszył teatralnie ramionami i jego pociągła, poważna twarz, teraz posiniała od zimna, powoli zniknęła zawinięta z powrotem w kokon z derek. – To jest omen – dodał zduszonym, niewyraźnym głosem zza ścianki. – Zawsze kiedy już zobaczę omen, to go rozpoznam.

Toller skinął głową i uśmiechnął się sceptycznie, ponownie zajmując pozycję przy relingu. Wykrzykując tempa różnych bocznych silników pomógł Steenameertowi wejść na kurs podprowadzający statek pod nieokreślonym kątem do płomiennej tafli, kierując się w stronę najbardziej wysuniętego na zachód obrzeża. Główny silnik wył w stałym tempie dwa na sześć i choć Toller był pewny, że prędkość statku bliska jest domniemanym dwudziestu milom na godzinę, w wyglądzie dysku nie zachodziły zauważalne zmiany.

– Nasz przyjaciel omen wygląda na słusznego olbrzyma – zagadnął Steenameerta. – Możemy mieć trochę problemów z wyminięciem go.

Żałując, że nie ma do dyspozycji najprostszyc przyrządów

nawigacyjnych, w jakie wyposażony jest nawet najgorszy sterowiec, Toller nie spuszczał oka ze wschodniego krańca lodowego kręgu, modląc się, by opadł on nieco i dowiódł tym samym, że statek się do niego zbliża. Zaczynał właśnie przekonywać sam siebie, że rzeczywiście nastąpiła niewielka zmiana w jakże teraz ważnym kącie nachylenia dysku, kiedy cała tafla utonęła w falach tęczy kolorów. Poruszały się z zapierającą dech orbitalną prędkością, przebiegając cały dysk zaledwie w kilka sekund, zmrażając Tollera przypomnieniem, jak znikome wydają się sprawy ludzkości w porównaniu z ogromem wszechświata. Zasłonięte przez lodowy ekran słońce zachodziło właśnie za Overlandem. Gdy tylko wstęgi kolorów zrodzone z rozszczepionych w atmosferze Overlandu promieni słonecznych rozmyły się w nicości, ogólna jasność dysku poczęła niknąć. W strefie nieważkości zapadła noc.

Tutaj, w pobliżu poziomu podstawowego, słowa „noc” i „małonoc” traciły swe znaczenie. Każda doba miała dwa okresy ciemności w przybliżeniu równej długości i Toller wiedział, że miną jakieś cztery godziny, nim słońce ukaże się ponownie. Ten hiatus nie mógł zajść w bardziej niedogodnym momencie.

– Panie kapitanie? – Steenameert, rozumna, spowita w kombinezon piramida, nie musiał kończyć pytania.

– Trzymajcie kurs, ale zmniejszcie ciąg do jeden na sześć – rozkazał Toller. – Możemy zupełnie zgasić silnik, jeśli nie będziemy widzieć kursu. Pamiętajcie, by balon był dobrze wypełniony.

Z zadowoleniem stwierdzając, że Steenameert wykazuje się niewątpliwą znajomością rzeczy, Toller stanął przy relingu i obserwował tarczę. Światło słoneczne odbijało się jeszcze od powierzchni Landu, który miał teraz dokładnie za plecami, i padało na lodowy mur. Wraz ze zmianą oświetlenia zaczął dostrzegać ślady

jego wewnętrznej struktury. Była to siatka jasnofioletowych linii połączonych ze sobą jak rzeki, z których biorą początek nowe i wciąż nowe odnogi ginące w odległym, migotliwym blasku.

„Są jak żyły” pomyślał Toller. „Żyły w olbrzymim oku”. Gdy Land stopniowo zatapiał się w cieniu Overlandu, dysk szarzał coraz bardziej, aż stał się prawie zupełnie czarny, lecz jego obrzeża nadal odcinały się wyraźnie od reszty kosmosu. Pozostała część nieba błyszczała w swojej zwykłej kolinii galaktyk: jaśniejących spiral w kształcie kół cienkich elips oraz bezkształtnych wstęg światła, w miliardach gwiazd, komet i przelatujących meteorów. Na de tego bogactwa dysk wyglądał bardziej tajemniczo niż kiedykolwiek przedtem, niczym bezdenna studnia ciemności, która nie miała prawa istnieć w racjonalnym wszechświecie.

Od czasu do czasu, gdy zarządzał wahadłowe przechylenie statku, Toller miał możliwość spojrzeć w przód i upewnić się, że zmiernają ku zachodniemu krańcowi dysku. Podczas gdy nocne godziny wlokły się niemiłosiernie, powietrze stawało się coraz bardziej rozrzedzone i mniej odpowiednie dla płuc, co wskazywało na oddalanie się statku już znacznie od centrum niewidocznego pomostu, który łączył obydwie światy. Choć komisarz Kettoran nie skarżył się głośno, jego oddech stał się świszczący. W welinowym woreczku zmieszał trochę wody i soli strzelniczej i często wachał roztwór. Kiedy w końcu zaczęło się rozjaśniać, czego zapowiedzią był nieznaczny połysk na zachodnim krańcu dysku, Toller odkrył, że jest w stanie dostrzec to miejsce nie obracając statkiem. Powróciła perspektywa, a geometria znów stała się przydatnym narzędziem.

– Jesteśmy jakąś milę od krawędzi dysku – zakomunikował Steenameertowi i Kettoranowi. – Za kilka minut powinniśmy wyminąć ją i z powrotem podążyć do przyzwoitego powietrza.

– Najwyższy czas. – Opatulona twarz Kettorana pojawiła się

nad ścianą kajuty dla pasażerów. – Jak daleko w bok odbiliśmy?

– W prostopadłej linii od idealnego kursu dzieli nas jakieś trzydzieści mil. – Toller zerknął na Steenameerta, który potwierdził skinieniem głowy. – Oznacza to jezioro czy też morze lodu o szerokości mniej więcej sześćdziesięciu mil. Trudno mi samemu dać wiarę w to, co mówię, mimo że mam to dokładnie przed sobą. W Prądzie nikt nam w to nie uwierzy.

– Możemy uzyskać potwierdzenie naszych słów.

– Przez teleskop?

– Nie, od twojej przyjaciółki, księżny Yantary. – Kettoran starł kroplę wody z czubka nosa. – Jej statek odleciał parę dni przed nami.

– Rzeczywiście, macie rację. – Toller z zaskoczeniem stwierdził, że przez kilka godzin nie pomyślał o Yantarze. – Ten lód, ten mur, czymkolwiek to jest, mogło już tu być, kiedy się przeprawiała. Będziemy musieli szczegółowo to omówić.

Zaczerpnąwszy niespodziewaną pociechę z tej wymiany zdań – miał oto gotowy powód, by odszukać Yantarę, gdziekolwiek była – Toller poświęcił uwagę czekającemu ich zadaniu przeprowadzenia statku obok krawędzi dysku. Teoretycznie manewr ten nie powinien sprawić większego kłopotu, trzeba było tylko przelecieć obok zachodniego obrzeża w niewielkiej odległości, wykonać prostą inwersję i rozpocząć powrót do strefy gęstszego powietrza u rdzenia pomostu atmosferycznego.

Pozostawiając Steenameerta przy pulpicie, zajął przy relingu najlepszy punkt obserwacyjny i zaczął udzielać szczegółowych wskazówek co do manewrowania statkiem. Lecieli bardzo powoli, niemal w spacerowym tempie, zrównując się z krawędzią dysku, lecz dopiero gdy upłynęło dobre kilka minut, Toller zorientował się, że dobrnięcie do krańca lodowego muru zabiera im więcej czasu, niż się spodziewał. Podejrzliwie wycelował lornetkę w

krawędź. Słońce znajdowało się blisko miejsca, na które patrzył, miotając mu w oczy miliardy migoczących igiełek światła i utrudniając widzenie, lecz udało mu się dokładnie obejrzeć granicę lodowej tafli. Znajdowała się nie więcej niż dwieście jardów od nich, a obraz w okularze znacznie ją jeszcze przybliżył.

Toller oniemiał ze zdziwienia, gdy odkrył, że obrzeże tarczy lodu jest żywe.

W miejscu tego, co spodziewał się zobaczyć – bezwładnej bryły zamrożonej wody – znajdowało się coś na kształt kipiącego kryształu. Szklane graniastosłupy, szpice i odnogi, każdy wysokości dorosłego mężczyzny, wyrastały z krawędzi z nienaturalną gwałtownością. Rozszerzały granice muru z prędkością skłębionego dymu, wpychając się w chłodne powietrze i iskrząc w słońcu przez chwilę, zanim nie wyprzedziły ich i nie zwały się z nimi następne w tym wrzącym wyścigu migoczącego szkła.

Toller wpatrywał się w to zjawisko jak w transie, z umysłem sparaliżowanym jego niespodziewanym i niewysłowionym pięknem i zdawało się, że minął bardzo długi czas, zanim zaświtała mu pierwsza sensowna myśl: obrzeże muru rozrasta się niemal z taką samą prędkością, z jaką leci statek.

– Zwiększyć prędkość! – krzyknął do Steenameerta z wysiłkiem, głosem zduszonym od zimnego, nieprzyjaznego powietrza. – Bo inaczej już nigdy nie ujrzycie domu.

Komisarz Kettoran, podczas przeprawy przez strefę nieważkości wyglądający na całkiem zdrowego, dostał nowych bóleści, kiedy statek znalazł się kilka tysięcy stóp nad powierzchnią Overlandu. Stał wtedy wraz z Tollerem przy relingu i wskazywał na znajome miejsca w rozciągającym się pod nimi krajobrazie, a w chwilę później leżał na plecach, nie będąc w stanie wykonać jednego ruchu, z przerażonymi i niespokojnymi oczami, tymi jedy-
nymi oznakami życia rozumnej istoty uwięzionej wewnątrz ma-

szyny, która przestała reagować na rozkazy swojego pana. Toller zaniósł go na łożo z derek, otarł pianistą ślinę z kącików ust i oddalił się bezzwłocznie, by wyjąć heliopis ze skórzanego futerału.

Boczne wiatry były silniejsze niż zazwyczaj, znosząc statek jakieś dwanaście mil na wschód od miasta Prąd, lecz przesłaną heliopisem wiadomość odebrano w sam czas. Spora grupa powozów i konnych oraz lśniący sterowiec w szaroniebieskich barwach królewskich oczekiwały już na lądowisku. W pięć minut po lądowaniu przeniesiono komisarza do sterowca, który zabrał go na specjalną audiencję do oczekującej w dusznych komnatach pałacu Królowej Daseene.

Toller nie miał sposobności dodać otuchy i pożegnać się z Kettoranem, człowiekiem, którego zaczął uważać za dobrego przyjaciela, mimo istniejącej między nimi różnicy wieku i stanowiska. Patrząc na topniejący na tle żółtego zachodniego nieba statek, uświadomił sobie drążące go poczucie winy i dopiero po chwili udało mu się zidentyfikować jego źródło. Bez wątpienia głęboko niepokoił się o zdrowie komisarza, lecz równocześnie – i w tym względzie nie mógł się oszukiwać – czuł w głębi duszy wdzięczność, że choroba nawiedziła staruszka, jakby w odpowiedzi na modły Tollera akurat wtedy, kiedy jej potrzebował. Nie był w stanie wyobrazić sobie, by w jakikolwiek inny sposób mógł znaleźć się z powrotem na Overlandzie, u boku Yantary, w tak krótkim czasie.

„Co za potwór we mnie drzemie?” pomyślał zszokowany własnym samolubstwem. „Jestem najgorszym...”

Tyradę sumienia przerwał widok ojca i Bartana Drumme'a wysiadających z powozu, którzy właśnie zajechali na lądowisko. Obydwaj mężczyźni przy odziani byli w szare spodnie z tartanu i sięgające kolan żupany przetykane nitkami niebieskiego jedwabiu, oficjalny strój, który wskazywał, że przybyli prosto z ważnego

posiedzenia w mieście. Toller ruszył ochoczo na spotkanie ojca, uściskał go, a potem przywitał się z Bartanem Drumme'em.

– Sprawiliście nam naprawdę miłą niespodziankę – rzekł Cassyll Maraquine i uśmiech rozjaśnił jego bladą, trójkątną twarz. Oczywiście przykro nam z powodu komisarza, ale musimy wierzyć, że nadworni medycy, tak liczni w obecnych czasach, szybko przywrócą go do zdrowia. A ty, synu, jak się miewasz?

– Bardzo dobrze.

Toller posłał ojcu spojrzenie pełne tej jedynej w swoim rodzaju wdzięczności, która znajduje źródło w harmonijnie układających się stosunkach z rodzicielem, po czym, gdy nagle inne sprawy zaczęły piętrzyć się w jego głowie, przeniósł wzrok na Bartana Drumme'a. Drumme był jedynym żyjącym uczestnikiem osławionej wyprawy na Farland, ostatniej planety w lokalnym systemie i cieszył się opinią najlepszego kolcorroniańskiego eksperta w dziedzinie astronomii.

– Ojcze, Bartanie – zaczął. – Czy prowadziliście obserwację nieba w ciągu ostatnich dziesięciu lub dwudziestu dni? Czy nie zauważyliście czegoś niezwykłego?

Starsi mężczyźni wymienili zdziwione spojrzenia.

– Czy pytasz o niebieską planetę? – odezwał się Bartan. Toller zmarszczył brwi.

– Niebieską planetę? Nie, pytani o barierę, o mur, o lodowe jezioro. Zresztą mniejsza o nazwę. Pojawiło się na poziomie podstawowym. Ma co najmniej sześćdziesiąt mil szerokości i rośnie z każdą godziną. Czy nie zauważono tego z ziemi?

– Nie zauważono nic niezwykłego, ale też nie jestem pewien, czy używano teleskopu w Glo, od kiedy... – Bartan urwał i spojrzał dziwnie na Tollera. – Tollerze... Tollerze, niemożliwe, by w strefie nieważkości pojawiła się tafla lodu. Tam przecież w ogóle nie ma wody! Powietrze jest zbyt suche.

– Lód! Albo jakiś kryształ. Wdziałem go.

Fakt, iż nie dawano wiary jego słowom, nie zdziwił ani nie poruszył Tollera, lecz sprawił, że gdzieś w jego świadomości obudził się nagły niepokój. Rozmowa nie przebiegała, jak należy. Coś tu nie pisowało, ale jakiś czynnik, być może głęboko zakorzeniona niechęć, by spojrzeć prawdzie w oczy, paraliżował jego procesy myślowe.

Bartan uśmiechnął się uspokajająco.

– Może na jednej ze stacji obronnych miała miejsce poważna awaria, może eksplozja rozruciła kryształy energetyczne po rozległej przestrzeni. Mogą teraz unosić się swobodnie, łączyć się, tworząc świetliste obłoki pary, a wiesz przecież, że ten rodzaj pary może wyglądać bardzo materialnie... jak łacha śniegu lub...

– Księżna Vantara – przerwał mu Toller z wymuszonym uśmiechem na twarzy, starając się opanować drżenie głosu spowodowane lękiem, jaki go ogarnął, gdy w głowie zakiełkowało mu pewne podejrzenie. – Przeprowiała się nie dalej, jak dziewięć dni temu. Czy nie zauważyła nic niezwykłego?

– Nie wiem, o czym mówisz, synu – odparł Cassyll Marauine, wypowiadając słowa, które Toller napisał dla niego na pergaminie swoich myśli. – Twój statek jest pierwszym i jedynym, jaki powrócił z Landu. Księżnej Yantary nie widziano, od kiedy wyruszyła z całą ekspedycją.

Część II

STRATEGIE ROZPACZY

Rozdział 8

Diviwidiv miał bardzo pozytywny sen, delectował H J się każdą przeżywaną jak na jawie chwilą pewnego dnia ze swojego dzieciństwa. Śnił mu się osiemdziesiąty pierwszy dzień Cyklu Czystego Nieba. Jako podstawę snu jego wyższy poziom mózgu wybrał wspomnienia z danego dnia, z których usunął wszystkie nie w pełni satysfakcjonujące wydarzenia zastępując je zmyślonymi. Treść tych sfabrykowanych wypadków była wyborna, a wtopienie

ich w otoczkę prawdziwych wspomnień niezauważalnych, tak że Divivdiv obudził się z intensywnym poczuciem szczęścia i spełnienia. Chociaż raz nie dręczyły go we śnie żadne przeczucia, a trujące krople wyrzutów sumienia nie przesączały się do teraźniejszości. Diviwidiv wiedział, że w nadchodzących latach będzie nieraz powracał do tego lub bardzo podobnego snu.

Leżał tak w nikłym polu grawitacyjnym swego łóżka i rozkoszował się ciepłą poświatą wypełniającą mu umysł pomiędzy snem a jawą. Po chwili uświadomił sobie, iż Xa czeka, aż będzie się z nim mógł porozumieć.

– O co chodzi?– spytał uniósłszy się do pozycji pionowej.

– Nic pilnego, Ukochany Stwórco. Dlatego też czekałem, aż w naturalny sposób powrócił do stanu świadomości - odparł niezwłocznie Xa, podkreślając swoje słowa żółtawą uspokajającą telearwą.

– To bardzo roztropnie z twojej strony. – Diviwidiv masował sobie ramię przygotowując się do aktywności ruchowej. – Wyczuwam, że mas dla mnie dobre wieści. Co to takiego?

– Statek Pierwotnych zawraca z dwoma męskimi osobnikami na pokładzie i tym rażeń nie zdołają mnie ominąć.

Diviwidiv zaniepokoił się.

– Jesteś tego pewien?

– Tak, Ukochany Stwórco, eden z nich jest związany emocjonalnie z jednym z żeńskich osobników. Sądzi on, że jej statek został uszkodzony w zderzeniu z moim ciałem w godzinach ciemności, a ona sama jej towarzyszki znalazły schronienie w siedzibie na pozornie podstawowym. Jego zamiarem jest odnalezienie i zabranie jej stamtąd.

– Interesujące! – zaciekawił się Divivdiv. – Te istoty muszą mieć niezwykle silną tendencję do reprodukcji monogamicznej. Najpierw dowiadujemy się o ich ślepcie umysłowej, a teraz o tym.

Ile to kalek noże spłodzić rasa, a mimo to pozostać żywa?

– Sformułowane w ten sposób Ukochany Stwórco, pytanie jest pozbawione sensu.

– No myślę. – Diviwidiv skupił się na praktycznej stronie problemu. – Powiedz, czy Pierwotni rodzaju męskiego uświadamiają sobie, że n Jeżysz do klasy obiektów zupełnie obcych ich dotychczasowemu doświadczeniu?

– Obiektów? Obiektów?

– Istot. Oczywiście, powinienem był określić cię słowem „istota”. Jak ciebie postrzegają?

– Jako zjawisko naturalne – odparł Xa. – Jako skupisko lodu lub jakiejś innej krystalicznej materii.

– To dobrze. Takie nastawienie zmniejsza niebezpieczeństwo, że poczynią jakieś szkody, a jednocześnie ułatwi nam pochwylenie ich.

Diviwidiv przestawił myślenie na wyższy poziom mózgu, by wykluczyć udział Xa w swoich rozważaniach. Uzyskanie okazji rasy Pierwotnych dla prywatnych badań Dyrektora Zunnununa było kaprysem, sprawą uboczną, nie należącą do wielkiego planu i jeśli Xa został wskutek tego uszkodzony, wymierzone kary byłyby straszne. On, Diviwidiv, prawie na pewno zostałby poddany modyfikacji osobowości za zaniedbanie swoich obowiązków. Ostatecznie wielki plan był przedsięwzięciem ważnym i wyjątkowym w historii jego narodu. Przyszłość całej rasy...

– Ukochany Stwórco! – Wołanie Xa nieoczekiwanie wtargnęło w jego rozmyślenia. – Chcę ci zadać jedno pytanie.

– O co chodzi? – zapytał Diviwidiv, mając nadzieję, że Xa nie ma zamiaru znów rozpocząć męczących dociekań na temat swojej przyszłości. Xa nie byłby w stanie kierować rozrostem swego ciała, gdyby nie został wyposażony w potężną sztuczną inteligencję, lecz jego konstruktorzy na odległych, górnych pię-

trach Pałacu Liczb nie przewidzieli rozwoju jego samoświadomości.

– Powiedz mi, Ukochany Stwórco – rzekł Xa – co to takiego rop?

Szok spowodowany tym pytaniem był tak niespodziewany, tak silny, że Diviwidiv doświadczył chwilowego zawrotu głowy i niebezpiecznego osłabienia władz umysłowych. Przez jeden groźny moment o mało nie dopuścił Xa do sieci wyższego poziomu mózgu i wysiłek włożony w zablokowanie setek neuronowych połączeń wyczerpał go i osłabił.

Ratując się starym chwytem, by zachować resztki spokoju, zapytał:

– Kto ci powiedział o ropach?

Odpowiedź Xa nadeszła z lekkim opóźnieniem.

– Nie ty, Ukochany Stwórco. Ani nikt inny. To słowo osaczało mnie ostatnio ze wszystkich stron. Musiało ono istnieć przez cały czas w umysłach milionów inteligentnych istot, lecz kryjąca się za nim treść jest dla mnie nieuchwytna. Wiem tylko, że łączy się ono z lękiem, okropnym lękiem, by nie przestać istnieć...

– Nie powinieneś zaprzętać swych myśli tą sprawą – oświadczył Diviwidiv, wykorzystując wszelkie znane techniki wzmacniania myślowego, aby uwiarygodnić swoje kłamstwo. – Słowo to nie znaczy wiele. Ma ono swoje źródło w pewnych aberracjach ludzkiego umysłu, można je nazwać obrazą logiki. Metafizyka, religia, przesady...

– Dlaczego w takim razie zaczęło się ono wdzierać w moją świadomość?

– Z żadnego szczególnego powodu. Jako rodzaj przyływu, prądu, wiru. Martwisz się sprawami, które ciebie nie dotyczą. Rozkazuję d się uspokoić i skupić na powierzonym zadaniu.

– Dobrze, Ukochany Stwórco.

Zadowolony z uległej postawy Xa Diviwidiv przerwał telepatyczne połączenie i pożegłował do komory ciśnień najbliższej swojej rezydencji. Wkładając kombinezon umożliwiający funkcjonowanie w mroźnej, zewnętrznej atmosferze, zastanawiał się z pewnym niepokojem, w jaki sposób Xa przyswoił sobie termin „rop”. Czy oznaczało to po prostu, że wzrosła jego zdolność do komunikacji bezpośredniej? Czy też pogłębiło się poczucie zagrożenia na planecie ojczystej i strach zaczął przetaczać się w telepatycznych falach poprzez pobliski region kosmosu?

Diviwidiv wszedł do komory ciśnień i szczelnie zamknął za sobą wewnętrzny właz. Gdy tylko uchylił zewnętrzne drzwi, przenikliwe zimno uderzyło go w twarz, kłuło w oczy, a oddychanie stało się tak bolesne, że o mało się głośno nie zachłysnął. Metaliczne platformy stacji rozciągały się przed nim, płaskie i nagie w niektórych miejscach, w innych zabudowane skomplikowanymi konstrukcjami. Anteny urządzenia do teleportacji wbijały się w przesycone słońcem powietrze, tworząc wiotkie, delikatnie rzeźbione formy, a rzadkie migotanie zielonych ogników na ich czubkach wskazywało, że przesyłka z pokarmem dla Xa została odebrana. Poza kanciastymi granicami stacji ciało Xa, obecnie potężnie rozrośnięte, rozlewało się morzem białego, krystalicznego blasku, rozciągającym się w nieskończoność na wszystkie strony.

Diviwidiv nie potrafił objąć wzrokiem tego bezkresu bez pomocy odpowiedniego urządzenia, dlatego też wszechświat poza białym horyzontem składał się jedynie ze słońca i jednej z lokalnych planet widocznych na poprzecinanych smugami jasności tle. Mógł jednak wpatrywać się prosto w pyłek niebieskiego światła, swoją ojczystą planetę, Dussarrę i w kilka sekund uzyskał połączenie z dyrektorem Zunnununem.

– W czym rzecz? – spytał Zunnunun. – Czemu przerywasz

mi pracę?

– Mam dobre wieści – odparł Divivvidiv. – Dziwnym i nieszczęsnym zbiegiem okoliczności próbki Pierwotnych, które ci dostarczyłem, zawierają wyłącznie osobniki żeńskie. Nie poszczęściło nam się także z drugim statkiem, zawierającym osobniki męskie, gdyż zawczasu spostrzegli obecność Xa i udało im się go wyminąć.

– Mówiłeś, że masz dobre wieści. – Zunnunun wycodził te słowa wraz z telebarwą rosnącego rozdrażnienia.

– Tak! Ten sam statek Pierwotnych posuwa się w tej chwili w stronę poziomu podstawowego, a jego załoga wierzy, lub też żywi taką nadzieję, że zagubione osobniki żeńskie schroniły się w siedzibach, które tam odnalazłem. Tym razem, Dyrektorze, ponad wszelką wątpliwość będę w stanie ich tobie przesłać, gdyż w prostej konsekwencji poprzedniego kontaktu fizycznego jedynym celem męskich osobników jest odnalezienie istot płci żeńskiej. Wpadną prosto w moje ręce.

– To nieprawdopodobne – zdumiał się Zunnunun. – Czy jesteś pewien tego, co mówisz?

– W zupełności.

– Rzeczywiście, przynosisz mi dobre wieści. Nie miałem pojęcia, że między jednostkami jakiegokolwiek gatunku mogą istnieć tak potężne więzy. Z przyjemnością będę oczekiwał na otrzymanie męskich okazów Pierwotnych i na wiążące się z tym eksperymenty.

– Służycy to dla mnie przyjemność – odparł Divivvidiv zadowolony, że ponownie udało mu się nastroić Dyrektora przychylnie do siebie. – Czy przy okazji tej prywatnej rozmowy mogę poruszyć jeszcze jedną kwestię?

– Mów.

– Świadomość Xa wznosi się na coraz wyższe poziomy i

właśnie przed chwilą próbował wybadać, co to są ropy.

– Czy on rozumie to słowo? Czy zna jego znaczenie?

– Nie. – Diviwidiv zawahał się, próbując sformułować zdanie. – Lecz wyczułem w tym jakiś podtekst... Czy miały miejsce jakieś nowe wydarzenia?

– Muszę powiedzieć: tak. -Nastąpiła chwila ciszy i kiedy Dyrektor Zunnunun odezwał się ponownie, jego słowa tonęły w chmurach dziwnych telebarw wskazujących na obawę i zmartwienie. – Jak wiesz, pewna potężna grupa w naszym społeczeństwie zmusiła tych w Pałacu Liczb do przeprowadzenia nowej oceny sytuacji i najnowsze dane potwierdziły opinię, że ropy rzeczywiście istnieją. Zdaje się, że w pobliżu naszej galaktyki spotkało się najprawdopodobniej aż dwanaście ropów, a nie, jak wcześniej sądzono, siedem. Jeśli to prawda, to nie tylko nasza galaktyka przestanie istnieć, ale jeszcze nie mniej niż sto innych w tym rejonie kosmosu.

– Rozumiem.

Kiedy Diviwidiv przerwał kontakt, chłód zdawał się przenikać kombinezon z nieodpartą siłą. „To dziwne” pomyślał „dlaczego siła mająca unicestwić milion innych galaktyk miałyby być bardziej przerażająca, niż ta, która zagraża tylko tej jednej. Przecież mój los będzie w obu przypadkach identyczny. I dlaczego miałbym przeżywać wewnętrzne rozterki z powodu powziętego przez mój naród planu wymazania paru niedorozwiniętych i rzadko zaludnionych planet, podczas gdy sam kosmos skłania się do tak potwornego aktu zniszczenia.

Rozdział 9

Przez ostatnie pięćdziesiąt mil powietrznej wspinaczki Toller i Steenameert przechylali statek na burtę w krótkich odstępach czasu. Manewry te miały im umożliwić wczesne zlokalizowanie grupy drewnianych stacji i statków kosmicznych, aby mogli skierować się prosto do nich, przewyciężając boczne wiatry. Ponieważ nawet przy dobrej widoczności trudno było odnaleźć te wytwory ludzkiej ręki, a co dopiero teraz, gdy niebo przesłaniała kryształowa tafla rozpraszająca światło słoneczne w jednolitą białą poświatę, Toller przypuszczał, że zadanie to będzie dwa razy trudniejsze niż zazwyczaj. Toteż jakie było jego zdziwienie, gdy z odległości trzydziestu mil dostrzegł ciemną plamkę w centrum przezroczystego dysku. Kiedy statek zbliżył się do niej, Toller odkrył przez lornetkę, że obiekt, choć nieregularny w ogólnych

zarysach, skonstruowany jest na podstawie linii i kątów prostych. Jego sylwetka przypominała plan ogromnej budowli, do której na chybił trafił doczepiono liczne dobudówki.

Przez jakiś czas Toller nie dopuszczał do siebie narzucającego się automatycznie wniosku. W jego schemacie rzeczywistości nie było po prostu dla niego miejsca. Lecz ostatecznie w jego umyśle nastąpiło to bolesne przesunięcie.

– Cokolwiek to jest – zwrócił się do Steenameerta – jakoś me mogę sobie wyobrazić, by wyrosło tam samo z siebie, jak ta lodowa tafla. Musi to być jakaś stacja na poziomie podstawowym, lecz...

– Nie wybudowana przez podobne nam istoty – dokończył Steenameert.

– Macie rację. Te rozmiary. Może właśnie oglądamy pałac na niebie.

– Albo fortecę. – Głos Steenameerta był niski, ściszony, mimo że on i Toller byli sami na statku w przestworzach w strefie nieważkości. – Czy możliwe, żeby Farlandczycy zdecydowali się w końcu na inwazję?

– Jeśli tak, to w dziwny sposób się za to zabrali – odparł Toller zmarszczywszy brwi. Z miejsca odrzucił możliwość inwazji wojskowej z trzeciej planety układu. Bartan Drumme był jednym z dwóch żyjących uczestników legendarnej wyprawy na Farland i Toller nieraz słyszał opowieść o mieszkańcach tej planety, zupełnie pozbawionych zapędów kolonizatorskich. Poza tym było jasne, że między tajemniczym morzem żywego kryształu a gigantyczną stacją istnieje jakiś związek, wydawało się mało prawdopodobne, by jakkolwiek władca, bez względu na to, jak obcą miał umysłowość, dokonywał inwazji w tak bezsensowny sposób.

– Nie. To jest coś zupełnie nowego – ciągnął Toller. -Dobrze wiemy, że istnieje wiele innych światów krążących wokół odległych gwiazd i wiemy, że niektóre z nich zamieszkują cywilizacje o

wiele bardziej rozwinięte niż nasza. Być może, Batenie, przyjacielu, to, co widzimy nad nami, jest... – Toller urwał, wpatrując się w egzotyczny blask swojej wizji, lecz konkretne pytanie Steenameerta sprowadziło go z powrotem na ziemię.

– Lecimy dalej, kapitanie?

– Naturalnie! – Toller zsunął chustę otulającą mu nos i usta, by jego słowa zabrzmiały wyraźnie. – Wciąż przypuszczam, że księżna i jej załoga schroniły się w jednej z naszych fortec, lecz jeśli nie znajdziemy ich tam, cóż, wtedy złożymy wizytę w jeszcze jednym miejscu.

– Tak jest, panie kapitanie.

Oczy Steenameerta wyczernione ze szczeliny pomiędzy chustą a brzegiem kaptura nie zdradzały, by działo się coś szczególnego, ale Tollera uderzył nagle fantastyczny wydźwięk jego własnych słów. Dłoń opadła mu bezwiednie na rękojeść szabli, gdy zdał sobie sprawę, że całe jego jestestwo przenika groza.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał o zniknięciu Yantary, ogarnął go dławiący lęk, że ona już nie żyje. Jednak nie dopuszczał do siebie tej myśli, nie przyznawał się do niej sam przed sobą, odganiając ją z pomocą wytrenowanego optymizmu i absorbujących przygotowań do zorganizowanej pośpiesznie wyprawy ratunkowej. Jednak sytuację wzbogaciły nowe elementy – dziwaczne, przerażające i niewytłumaczalne i wyglądało na to, że nie wróżą nic dobrego.

Sześć drewnianych fortec nadal określano wspólnym mianem Stacji Obrony Wewnętrznej, która przyłgnęła do nich od czasów wojny międzyplanetarnej, mimo iż z biegiem dni zatraciła ona swoje znaczenie. Toller i Steenameert zlokalizowali je po overlandzkiej stronie lodowego muru, w odległości dwóch mil od obcej stacji. Zatoczywszy szeroki łuk ich statek zbliżył się ostrożnie do drewnianych cylindrów od strony zewnętrznej tak, że

znajdowały się one pomiędzy nim a tajemniczym kanciastym obiektem. Toller zdecydował się na taki manewr, żywiąc nieśmiałą nadzieję, iż w ten sposób nie wyśledzą ich oczy obcych istot, choć nie miał żadnej pewności, czy obiekt jest w ogóle zamieszkały przez żywe stworzenia. Zdawał się osadzony w krystalicznej tafli, a oglądany przez lornetkę miał w sobie coś z ogromnej martwej maszyny, niepojętego urządzenia, które umieszczono w strefie nieważkości, by wykonać jakieś niepojęte zadanie z polecenia równie niezrozumiałych konstruktorów.

Teraz, kiedy statek znalazł się w odległości dwustu jardów od cylindrów fortec, Toller zaczął podejrzewać, że są one puste. Osadzone były na podstawie z lodowej tafli, najwidoczniej przymocowane cienkimi obręczami z kryształu, jakie wyrosły wokół nich. Cztery cylindry stanowiły magazyny i pomieszczenia mieszkalne, dwa pozostałe, o wydłużonym kształcie, zbudowano jako funkcjonalne kopie statku kosmicznego, który odbył niegdyś podróż do Farlandu. Jednak wszystkie łączyła jedna wspólna cecha - bijąca od nich martwota.

Gdyby Yantara i jej załoga oczekiwały na pomoc w jednej z tych drewnianych skorup, z pewnością wystawiłyby strażę, i do tego czasu zasygnalizowałyby swoją obecność zbliżającemu się statkowi. Jednak nie było widać znaku życia. Wszystkie luki tonęły w jednakowych ciemnościach, a drewniane stacje uparcie pozostawały tym, czym były, od kiedy Toller ujrzał je po raz pierwszy – bezwładnymi relikami przeszłej epoki.

– Czy wejdziemy do środka? – spytał Steenameert. Toller potakująco skinął głową.

– Musimy. Tego się po nas oczekuje, lecz... – Słowa uwięzły mu w gardle. – Sami widzicie, że tam nikogo nie ma.

– Przykro mi, panie kapitanie.

– No tak. – Toller zerknął w kierunku dziwacznej obcej

budowli, która sterczała z pokrywy lodowej daleko po lewej stronie. – Gdyby to był powietrzny pałac, jak niemądrze przypuszczałem, lub choćby forteca, mógłbym się chwycić słabej nadziei, że się tam schroniły. Wolałbym nawet, żeby zostały wzięte do niewoli przez najeźdźców z innej planety, lecz to coś wygląda jedynie jak duży blok ze stali... jak silnik... Yantara nie mogła spodziewać się, że znajdzie tam schronienie.

– Chyba że...

– Tak, Batenie?

– Chyba że w przypiływie ostatecznej rozpaczy. – Steena-meert zaczął mówić szybko, jakby obawiał się, że jego pomysł zostanie odrzucony. – Nie wiemy, jaką szerokość miał ten lodowy mur, kiedy księżna do niego dotarła, ale jeśli było ciemno i nastąpiło zderzenie, po którym statek przestał być zdolny do dalszego lotu, to znajdowałyby się on teraz po landyjskiej stronie dysku. Po złej stronie, panie kapitanie. Niemożliwe byłoby zlokalizowanie ani dotarcie do naszych fortec, a w takich okolicznościach... ten... silnik mógłby wydać się miejscem odpowiednim jako schronienie. Poza tym, panie kapitanie, jest wystarczająco duży i może ma jakieś otwory lub drzwi prowadzące do środka i...

– Brawo! – przerwał mu Toller, gdy ciemności zalegające w jego umyśle zaczęły się nagle przejaśniać. – Powiem nawet więcej! Potraktowałem całą tę sprawę tak, jakby księżna Yantara była zwyczajną kobietą, lecz to przecież zupełnie mija się z prawdą. Mówiliśmy o przypadkowej kolizji, ale może wcale nie miała ona miejsca. Jeśli Yantarze udało się zawczasu dostrzec obcy obiekt, na pewno podjęła się zbadać go! Może ona i jej załoga w tej właśnie chwili obserwują nas przez jakiś otwór. Albo może spędziły kilka dni we wnętrzu maszyny, a zbadawszy ją, powróciły na Land? Może niepostrzeżenie minęliśmy się z nimi, kiedy lecieliśmy z komisarzem. Takie rzeczy nierzadko się zdarzają. Nie zgodzicie się

ze mną, że takie rzeczy się zdarzają?

Wahanie, z jakim Steenameert skinął głową, uświadomiło Tollerowi to, czego sam już się domyślał – że pozwolił ponieść się emocjom zbyt daleko. Lecz wszystkimi dostępnymi środkami musiał zatamować ogarniającą go czarną rozpacz. Podczas tego niespodziewanego wybuchu nadziei nie zważał, że reaguje jak niedojrzały młokos, że prawdziwy Toller Maraquine zachowałby się inaczej. Przywrócono mu nadzieję i był zdecydowany trzymać się jej jak najdłużej.

Wzburzony faktem, że musi podjąć jakieś fizyczne działanie, kipiąc energią, Toller posłał Steenameertowi dziki uśmiech.

– Nie siedźcie tak, kręcąc, bezmyślnie gałkami. Mamy zadanie do wykonania.

Przeprowadzili pełną inwersję i wyłączyli silnik pozwalając statkowi zatrzymać się łagodnie nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od najbliższego drewnianego cylindra. Wsporniki gondoli dotknęły jaśniejszej powierzchni muru, który z bliska okazał się niejednorodną masą przypadkowo połączonych kryształów o wymiarach dorosłego człowieka. Okazało się, że większość z nich jest sześciokątna w przekroju, pozostałe zaś okrągłe lub kwadratowe, przy czym wiele kryształów zdobyły wewnątrz pierzaste, jasnofioletowe wzorki. Ogólny efekt wzrokowy był nadzwyczajny: patrzyło się na pozornie nieskończony pejzaż nieziemskiego piękna i blasku.

Toller i Steenameert założyli plecaki z silniczkami odrzutowymi i ruszyli na inspekcję sześciu cylindrycznych stacji. Tak jak się spodziewali, były zupełnie puste, jeśli nie liczyć prowiantów zmagazynowanych na wypadek niebezpieczeństwa, które nigdy nie nadeszło. Zbudowane z pokostowanego drewna i wzmocnione obręczami z czarnego żelaza, skorupy ziały chłodem i ciszą większą niż grobowce. Toller cieszył się, że z góry domyślił się, iż Yantara i jej załoga znajdują się gdzie indziej, gdyż w przeciwnym

razie otwieranie i przeszukiwanie każdej tonącej w mroku stacji byłoby nie do zniesienia.

Pod koniec inspekcji uderzył go fakt, że choć kryształowe tafli rzeczywiście rozciągnęły się w dół, by otoczyć cylindry, zrobiły to w bardzo oszczędny sposób. Zamiast zakryć w całości wszystkie drewniane stacje, co wydawałoby się Tollerowi naturalne, okrążyły każdą z osobna. Z pewnością zjawisko to dałoby mu dużo do myślenia, gdyby jego umysłu tak mocno nie zaprzętały czekające go wydarzenia.

Ukończywszy oficjalną inspekcję Toller i Steenameert powrócili do statków, pozostawiając za sobą pióropusze białej pary i zabrali z niego siedem spadochronów oraz siedem worów lotniczych, które złożyli w najbliższym pomieszczeniu mieszkalnym. Toller obstawał przy przeniesieniu sprzętu w bezpieczne miejsce na wypadek, gdyby balon podniebny uległ uszkodzeniu podczas manewrowania blisko krystalicznych szpic muru.

Mając pod ręką wory lotnicze i spadochrony, on i Steenameert oraz kobiety, jeśli je uratują, byli zupełnie niezależni od statku w kwestii powrotu na Overland. Chronieni przed śmiertelnym chłodem wiatrów wełnianymi powłokami worów mogli opaść ku powierzchni planety dłużej niż dzień i noc i otworzyć spadochrony na ostatnie kilka tysięcy stóp lotu. Choć perspektywa takiej podróży może odstraszać niewtajemniczonych, w ciągu tych wszystkich lat, podczas których powszechnie korzystano z tego systemu, tylko jedna osoba poniosła śmierć. Był to niedoświadczony posłaniec, który, jak przypuszczano, zasnął tak mocno, iż nie zdążył na czas wydostać się z wora i otworzyć spadochronu.

Zostawiwszy za sobą zawieszony w odwróconej pozycji statek, Toller i Steenameert rozpoczęli dziwny, dwumilowy lot w kierunku ogromnego, obcego obiektu. Z silniczkami odrzutowymi na plecach sunęli w spacerowym tempie tuż pod błyszczącym su-

fitem z gigantycznych kryształów. Wydawało się, że rozrósł się on na chybił trafił i jedynie co pewien czas, w szerokich odstępach, natrafiali na bardziej regularne, płaskie powierzchnie, w obrębie których drobne, fioletowe wzory stawały się lepiej widoczne.

Tajemniczy obiekt rósł w oczach, a Toller zaczynał powątpiewać, czy przekonanie, iż to jedynie martwy silnik, jest słuszne. Tu i ówdzie na metalicznej powierzchni obudowy widniało coś jakby luki, a także włazy, rozmiarami nie ustępujące drzwiom wejściowym. Myśl, że Yantara może stoi w jednym z okien i patrzy, jak on się zbliża, jeszcze zwiększyła uderzającemu do głowy i przejmujące dreszczem podniecenie. Nareszcie po wielu latach czekania brał udział w przygodzie mogącej się mierzyć z wyczynami jego dziadka.

Dotarwszy do najbliższego krańca obiektu odkrył, że otoczony jest on pojedynczą metalową, wzmocnioną cienkimi wspornikami obręczą; równie dobrze mogłaby zostać odlana w którejś z hut na Overlandzie. Całość tkwiła w morzu kryształów, przylegając doń bez jakichkolwiek widocznych przerw. Toller wyłączył silnik i przystanął chwytając się obręczy. Steenameert pojawił się u jego boku w chwilę później.

– Najwyraźniej jest to jakaś poręcz – odezwał się Toller. – Coś mi się wydaje, że za chwilę poznamy przybyszów z innej gwiazdy.

Twarz Steenameerta skrywała niemal w całości chusta, lecz jego oczy błyszczały ciekawością.

– Mam nadzieję, że nie żywią złych zamiarów wobec intruzów takich jak my. Ktoś, kto jest w stanie umieścić taką fortecę w powietrzu...

Toller pokiwał w zamyśleniu głową i przebiegłszy obiekt wzrokiem ocenił go na przynajmniej pół mili szerokości. Wraz ze Steenameertem przycupnęli na krawędzi płaszczyzny wielkości

obszerne placu parad, nad której środkiem górowało przypominające wieżę wyrzucenie wrzynające się na sto lub więcej stóp w głąb mroźnego powietrza. Przypatrując się mu, Toller pozwolił zmysłom przyjąć inną perspektywę i nagle nie znajdował się już poniżej fantastycznego pejzażu. Nowa pozycja pozwoliła mu spoglądać w poprzek równiny w stronę dziwnego zamku z wielkim dyskiem Overlandu dokładnie nad głową. Po prawej stronie, w oddali znajdowała się kępka zakrzywionych, stożkowatych prętów przypominających gigantyczne trzciny wyrzeźbione w stali i gdy na nie patrzył, na ich końcach zaczęły migotać zimne zielone ogniki. Przypomniało mu to, że myszkuje wśród zjawisk, które o niebo przekraczają jego zdolności pojmowania.

– Nic nie zdziałamy, tkwiąc tutaj beczynnienie – powiedział rażno, odpędzając od siebie rój niechcianych wątpliwości i oniesmielenie. – Jesteście gotowi, by...

Urwał oniemiały z przerażenia, gdy za jego plecami rozległ się nagły i niespodziewany hałas. Dźwięk ten był jak syczenie i trzeszczenie stapiające się w jedno, jak dziki płomień pochłaniający suche liście i patyki. Toller spróbował się obrócić, lecz strach i brak siły ciężenia udaremniły ten zamiar. Zamachał tylko rozpaczliwie rękami, a kiedy w końcu z pomocą obręczy odzyskał równowagę, było już za późno – pułapka zatrasnęła się.

Wokół niego i jego towarzysza wyrosła z zapierającą dech w piersi szybkością iskrząca się kula zbudowana z kryształów wielkości pięści. Zamknęła ich w okrągłym więzieniu o średnicy kilku kroków.

Wyłoniła się z większych kryształów lodowego morza, a jej dolna część stapiała się z metalową obudową obcej stacji. Jej lśniąca materia otaczała także część obręczy, do której przywarli dwaj mężczyźni. Toller i Steenameert patrzyli przez chwilę na siebie z twarzami wykrzywionymi przerażeniem, po czym Toller

ściągnął jedną z rękawic i dotknął wewnętrznej powierzchni kuli. Była zimna jak lód, lecz nie skropiła się pod wpływem dotyku.

– Szkło! – Wskazał na pistolet zawieszony u boku Steenameerta. – Zrób w tym kilka dziur i wkrótce się stąd wydostaniemy.

– Tak, tak... – Steenameert odpiął broń, jednocześnie wyjmując z sakwy kulisty zbiornik ciśnieniowy.

Gdy gorączkowo przykręcał go do spodu pistoletu, nagle cichy głos, spokojny i wszytkowiedzący, całkowicie przekonujący głos, odezwał się w głowie Tollera.

– Odradzam wam użycie broni. Materiał, którym zostaliście otoczeni, ma ochronną odwrotną warstwę energetyczną. Jej podstawowym zadaniem jest niedopuszczenie meteorów do konstrukcji głównej, ale działa skutecznie w przypadku każdego rodzaju pocisków. Jeśli broń wystrzeli, pocisk odbijając się będzie rykoszetem wewnątrz kuli ze stałą prędkością, aż jego energię wchłonie któreś z waszych ciał. Zatem jeśli oddacie strzał, kula nie poniesie szwanku, natomiast jeden z was najprawdopodobniej zginie.

Toller wiedział od razu, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego, że obydwaj, on i Steenameert, słyszą te same słowa. Ten głos, który nie był głosem, raczej modulacją ciszy, przemawiał wprost do ich świadomości... umysł przemawiał do umysłu... co oznaczało...

Zerknął w prawo i wzdrygnął się spostrzegłszy, że tuż za ścianą krystalicznej kuli stoi jakaś postać. Szklana powierzchnia kuli przypominała plaster miodu i zniekształcała oraz powieliała sylwetkę, jednakże najwyraźniej była to postać rozmiarów dorosłego mężczyzny, ludzka w zarysach, i przytrzymała się obręczy tak, jak robiłby to każdy człowiek. Toller nie wątpił, że to ona jest źródłem wibrującego mu w głowie głosu, lecz nie mógł zrozumieć, jak przybyszowi udało się przebyć metaliczny płaskowyż tak szybko i niepostrzeżenie.

Odczuwał też obawę. Strach ten nie był podobny do żadnego ze znanych mu dotąd uczuć – kłębiły się w nim ksenofobia, szok i zwykła obawa o swój los, co odebrało mu mowę i zdolność do wykonania choćby najmniejszego ruchu. Widział, że Steenameert także stoi jak słup soli, przerwawszy przykręcanie zbiornika ciśnieniowego do pistoletu. Bezdźwięczna wiadomość nie była tylko stwierdzeniem, przekazaniem czystej wiedzy i obydwaj mężczyźni zrozumieli teraz, że pocisk, który uderzy w ścianę krystalicznej kuli, zostanie odrzucony z siłą o wielkości bezpośrednio zależnej od jego prędkości.

– Nie musicie się obawiać – zapewnił ich niegłos, sprawiając przy tym wrażenie czegoś, co mogłoby ujść za uprzejmość, gdyby nie protekcjonalny i zimny ton.

– Wcale się nie boimy... – Bezsłowne wyzwanie Tollera załamało się w chaosie myśli, kiedy zaczął się zastanawiać, czy jest w stanie nawiązać kontakt z obcą istotą.

– Przemawianie w normalny dla ciebie sposób pomoże ci sformułować myśli tak, że będziemy w stanie rozmawiać -podpowiedział mu obcy. – Lecz nie trać czasu na kłamstwa, puste przechwałki lub groźby. Chciałeś właśnie stanowczo stwierdzić, że się nie boisz, a to zupełnie mija się z prawdą. Musisz teraz skupić myśli i unikać błędu, jakim jest stawianie mi oporu.

Niezachwiana pewność siebie, z jaką przemawiał ten obcy, triumfujący ton osoby przekonanej o własnej wyższości, wywołały u Tollera reakcję odziedziczoną po dziadku, której nie był w stanie kontrolować. Fala niepohamowanego gniewu uderzyła mu do głowy, wytrącając go z paraliżu, który obezwładniał dotąd umysł i ciało.

– To ty jesteś o krok od popełnienia błędu! – wykrzyknął. – Nie znam twoich zamiarów, ale będę ci stawiał opór aż do śmierci. A mam tu na myśli twoją śmierć.

– To bardzo ciekawe. – Myśl obcej istoty zaprawiona była rozbawieniem. – Jeden z żeńskich osobników waszego gatunku zareagował dokładnie w ten sam nierozsądny, wojowniczy sposób, Tollerze Maraquine, i jestem prawie pewien, że był to ten osobnik, z którym jesteście emocjonalnie związany.

Odpowiedź ta wstrząsnęła Tollerem.

– Uwięziliście nasze kobiety?! – zawył zapominając

O swojej sytuacji. – Gdzie one są? Jeśli wyrządziliście im jakąś krzywdę...

– Nie stała im się żadna krzywda. Po prostu przetransportowałem je w bezpieczne miejsce daleko stąd, co mam zamiar uczynić także z wami. Wstrzyknę teraz uspokajający gaz do wnętrza kuli. Niczego się nie obawiajcie. Gaz ten sprawi, iż zapadniecie w głęboki sen, a kiedy odzyskacie świadomość, będziecie już w przyjemniejszym otoczeniu. I choć zachodzi konieczność, by zatrzymać was tam na czas nieokreślony, nie zabraknie wam niczego.

– Nie jesteśmy zwierzętami, by nas zamykać w klatkach

I karmić! – wypalił Toller czując, jak wzbiera w nim gniew.

– Udamy się z tobą w miejsce, gdzie uwięziono nasze kobiety, lecz z własnej woli i z otwartymi oczyma. Takie są moje warunki i jeśli na nie przystaniesz, dam ci słowo honoru, że żaden z nas nie wyrządzi ci krzywdy.

– Twoja arogancja jest zdumiewająca i równa jedynie twojej nieświadomości – nadeszła spokojna odpowiedź z nutką rozbawienia. – Istoty na twoim prymitywnym poziomie rozwoju nigdy nie byłyby w stanie mnie zranić. Niemniej jednak uspokoję cię, byś nie sprawiał mi kłopotu podczas transportu.

Postać za kryształową ścianą wykonała nieznaczny ruch, który na lodowej powierzchni odzwierciedliła fala rozmazanych kolorów, po czym dziwnie pociemniał jeden z sześcianów, co wskazywało, że przyłożyła coś do jego zewnętrznej powierzchni.

Steennameert dokończył składanie broni, podniósł ją i wycelował w ciemną plamę.

– Samobójstwo, Batenie Steenameert? – Głos, który nie był głosem, miał w sobie coś z obojętnej litości botanika obserwującego, jak drobna muszka zbliża się do pajęczyny. – Zdecydowanie nie.

Steennameert spojrział na Tollera oczami o niezgłębionym wyrazie spomiędzy chusty i kaptura i opuścił pistolet.

Toller skinął głową z widoczną aprobatą i umyślnie nie zastanawiając się nad swoim zamiarem dobył szabli i jednym sprawnym ruchem wbił ją w kryształową ścianę. Zaciśnął rękę wokół obręczy, zmieniając swe ciało w zamknięty układ sił, i zatopił czubek stalowego ostrza w błyszczących sześcianach z mocą, która sprawiła, że szkliste kawałki rozprysnęły się na wszystkie strony.

Kryształowa kula wrzasnęła.

Wrzask był bezdźwięczny, ale poza tym w niczym nie przypominał dokładnie przemyślanego i kontrolowanego sposobu umyślowego komunikowania się używanego przez obcą istotę. Toller dobrze wiedział, choć nie rozumiał w jaki sposób, że wydobywa się on ze ścian krystalicznej kuli i z majaczącego w górze lodowego jeziora, zwielokrotniony jęk agonii, a przypadkowa harmonia zderzała się z dysonansem echa wciąż na nowo, aż wszystko ucichło i dał się słyszeć dziwny, skamlący głos, który nie był głosem...

– Zraniono mnie, Ukochany Stwórco! Nie powiedziałeś mi, że Pierwotni są w stanie uszkodzić moje ciało.

Posłuszny instynktowi wojownika Toller nie pozwolił, by ten niespodziewany głos zastraszył go lub zmniejszył impet jego ataku. Ugodził wroga i był to sygnał, by przeć dalej ze wznowionym impetem. By zabić. Jego szabla zdawała się napotykać dzi-

waczny opór, jakby przebijała warstwę niewidzialnej gąbki, lecz powtórzone kilkakrotnie cięcia były na tyle silne, by uszkodzić i wyrwać z miejsca szklane kryształy. W nie więcej niż kilka sekund strzaskał kolejne dwa i utworzył nieduży otwór w krystalicznej kuli.

Zmieniwszy taktykę zaczął siec w krawędzie otworu rękocięciem szabli i pomimo niewidzialnego oporu udało mu się wyrwać w całości dwa kryształy i wyrzucić je na zewnątrz w kosmiczną pustkę. W gorączkowym natchnieniu przerzucił szablę do drugiej ręki i jął bić w to samo miejsce odzianą w rękawicę pięścią. Tym razem nie czuł, by jakaś tajemnicza siła hamowała jego ciosy i wkrótce kilka następnych sześciennych kryształów oderwało się od całości znikając mu z oczu i znacznie powiększając dziurę w ścianie kuli.

Ponownie rozległ się nieludzki wrzask. Idąc za przykładem Tollera Steenameert przytrzymał się obręczy i jął zasypywać ciosami nieregularny brzeg otworu powiększając zniszczenie.

W huczącym, rozpalonym umyśle Tollera czas praktycznie zatrzymał się aż do chwili, gdy utorowawszy sobie drogę znalazł się na zewnątrz kryształowego więzienia i z trudem pokonując brak siły ciężkości ruszył za ubraną w srebrny skafander postacią, która rzuciła się do ucieczki. Jego lewa dłoń zacisnęła się na gardle obcej istoty, a szabla niepostrzeżenie pojawiła się w jego dłoni, by pchnąć w bok tamtego.

– Jak to zrobiłeś? – Słowa obcego zaprawione były odrazą z powodu kontaktu fizycznego, lecz Toller nie czuł już przed nim strachu. – W pełni zharmonizowałeś kontrolę nad swoimi mięśniami – ciągnął głos – bez żadnych wyczuwalnych dla mnie logicznych procesów umysłowych! Jak to się stało?

– Zamilcz – warknął Toller przerzucając nogę przez obręcz, by nie dopuścić, aby on i jego jeniec oddalili się od metalowej

obudowy stacji. – Gdzie są kobiety?

– Wszystko, co trzeba ci wiedzieć – odparła obca istota z niewzruszonym spokojem – to to, że znajdują się one w bezpiecznym miejscu.

– Posłuchaj! – Toller chwycił obcego za ramię i przyciągnął do siebie, spoglądając mu w twarz po raz pierwszy. W jednej chwili obrzucił ją badawczym, zaciekawionym spojrzeniem, stwierdzając, że ma zadziwiająco ludzki rozkład rysów. Główne różnice stanowiła szara skóra, oczy bez źrenic, składające się jedynie z białych gałek z czarnymi dziurami i mały zadarty nos bez środkowej przegrody. Toller mógł zajrzeć w głąb jamy nosowej, gdzie pokryte czerwonymi żyłkami pomarańczowe membrany trzepotały tam i z powrotem lub zwierały się w takt oddechów obcej istoty. – Wcale mnie nie słuchałeś. – Powstrzymując się, by nie odepchnąć od siebie tej ohydnej karykatury człowieka, Toller naparł na szablę, wgniatając ją głębiej w błyszczące srebro jej skafandra. – Albo powiesz mi natychmiast wszystko, co powinienem wiedzieć, albo cię zabiję.

Ziemiste usta obcego wykrzywiło coś na kształt uśmiechu.

– Z takiej odległości? Tak blisko? Będąc w fizycznym kontakcie? Żadna istota humanoidalnego gatunku nie mogłaby...

W głowie Tollera zawirowały karmazynowe błyskawice. Jego umysł zawrzał, tonąc w rozmazanych obrazach Vantary i trupów obcych porywaczy. I szalona wściekłość, odurzająca i odrażająca, haniebna i radosna wściekłość ogarnęła całą jego istotę. Przyciągnął obcego do siebie, wbijając jednocześnie ostrze szabli i tylko przestraszony krzyk Steenameerta przywrócił mu zdrowy rozsądek.

– Zraniłeś mnie! – Na ciche słowa obcego padł cień zaskoczenia i początek przerażającego odkrycia. – Zrobiłbyś to! Byłeś zdecydowany mnie zabić!

– Właśnie to ci cały czas tłumaczę, szarogęby! – zgrzytnął zębami Toller.

– Mam na imię Divivvidiv.

– Przede wszystkim, szarogęby, przypominasz trupa -ciągnął Toller. – I nie miałbym najmniejszych wyrzutów sumienia, gdyby trzeba było pogodzić twój wygląd z rzeczywistością. Powtarzam więc, jeśli nie powiesz mi...

Urwał zbity z tropu, gdy twarz obcego przebiegł nagły skurcz, a kruche ramię, które trzymał w uścisku, poczęło wibrować w harmonii z wewnętrznymi drgawkami. Znaczone czarną obwódką usta wykrzywiały się, falując to w jedną, to w drugą stronę, jak koritlnwie targany przeciwnymi prądami, i wyrzucały w powietrze dryfujące nitki pianistej śliny.

Zamazane echo odebrane przez umysł Tollera powiedziało mu, że jeńcowi nigdy przedtem bezpośrednio nie grożono śmiercią. Z początku Divivvidiviemu wydawało się niemożliwe, by jego życiu mogło coś zagrażać, a teraz doświadczał gwałtownej reakcji emocjonalnej.

Toller mając po raz pierwszy wgląd w całkowicie różną od swojej kulturę, zareagował zwiększeniem nacisku szabli.

– Kobiety, szarogęby... Nasze kobiety! Gdzie one są?

– Zostały przetransportowane na moją ojczystą planetę. -Divivvidiv odzyskiwał powoli równowagę psychiczną, lecz jego słowa nabrzmiały strachem, odrazą i z trudem powstrzymywaną histerią. – Są teraz w bezpiecznym miejscu, miliony mil stąd, w stolicy najbardziej rozwiniętej cywilizacji w tej galaktyce. Zapewniam cię, że nie leży w możliwościach istot Pierwotnych, takich jak ty, zmienić w jakikolwiek sposób okoliczności, zatem jedyną logiczną rzeczą, jaką powinieneś uczynić...

– Twoja logika różni się od mojej – uciał Toller starając się, by zabrzmiało to nieustępliwie, tak by ukryć strach budzący się w

jego sercu. – Jeśli kobiety nie powrócą całe i zdrowe, to ja wyślę cię w inny świat. Świat, z którego jeszcze nikt nie powrócił. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno...

Rozdział 10

Pokój był przestronny i niemal pusty, a główny mebel stanowił niebieski sześcian, który mógłby uchodzić za łóżko, gdyby nie brak siatki zabezpieczającej. Pod ścianami ciągnął się pas prostokątnych i okrągłych płyt, które bezustannie zmieniały kolor, jedne powoli, inne raptownie. Podłoga zrobiona była z szarzielonego jednolitego materiału, gęsto usianego niedużymi otworami. Toller zauważył, że jego stopy mocno trzymają się podłoża, a więc nie trzeba było używać lin zerograwitacyjnych, i szybko się zorientował, że otwory w podłodze stanowią część systemu próżniowego.

Jednak nie zastanawiał się zbyt nad otoczeniem, gdyż jego uwaga koncentrowała się na Diviwidivim, zdejmującym właśnie skafander. Po srebrzystym kombinezonie biegły szwy, rozstępowały się błyskawicznie, gdy przesuwało się po nich małą przetyczką. W ten sposób Diviwidiv wyłonił się ze skafandra w kilka sekund, ukazując drobne ciało o humanoidalnym kształcie i wymiarach. Przyodziały był w jednoczęściowy strój, na który składała się niezliczona liczba skrawków czarnego sukna, nakła-

dających się na siebie jak ptasie pióra.

Cudzoziemski ubiór, łysa szara czaszka i trupiu Iwuri prawie pozbawiona nosa – wszystko to wzbudziło w Tullerze nieodpartą ksenofobię. Wzrosła jeszcze, gdy odkrył, że obcy wydziela zapach. Woń ta nie była sama w sobie nieprzyjemna, raczej słodka i ciężka jak rosół, lecz nieprzyzwoitość jej źródła czyniła ją obrzydliwą. Spojrzał na Steenameerta i zmarszczył nos. Steenameert, dotąd obserwujący bacznie dziwne pomieszczenie, zrobił podobnie.

– Pewnie zdziwisz się, kiedy ci powiem, że ty także wydzielasz nieprzyjemną woń – zauważył Divivvidiv. – Choć przypuszczam, że twoja jest raczej związana z brakiem higieny i wydałaby się równie przykra członkom twojego własnego gatunku.

Toller uśmiechnął się lodowato.

– Przychodzisz już do siebie po lekkim ataku drgawek, nieprawdaz? Znów ci sztywnieje kark? Przypomnę ci zatem, że nadal mogę w dowolnej chwili odebrać ci życie i jestem zdecydowany to zrobić.

– Jesteś zwykłym krzykaczem, Tollerze Maraquine. W głębi serca wątpisz, czy zdolny jesteś odegrać rolę społeczną, jaką sobie narzuciłeś, i starasz się zamaskować ten fakt na najróżniejsze sposoby, a jednym z nich jest wyrzaskiwanie czczych grózb.

– Uważaj, co mówisz, szarogęby! – ryknął Toller, zaskoczony łatwością, z jaką to niesamowite stworzenie z odległych rejonów wszechświata przeniknęło najgłębsze zakamarki jego umysłu, a następnie obojętnie wyjawilo tajemnice, do których on bał się przyznać przed samym sobą. Zerknął na Steenameerta, który ponownie zaczął przyglądać się pomieszczeniu, najwyraźniej starając się postępować dyplomatycznie.

– Radzę wam uwolnić się z tych ciężkich, izolowanych skafandrów – odparł Diviwidiv niewzruszony. – Choć wyglądają bardzo prymitywnie, z pewnością są całkiem skuteczne i wkrótce

zaczną wam przeszkadzać zważywszy na panującą tu temperaturę.

Toller, który oblewał się potem już od dłuższej chwili, posłał Diviwidiviemu podejrzliwe spojrzenie.

– Jeśli masz nadzieję, że mnie zaskoczysz, kiedy będę zajęty...

– Nawet nie pomyślałem o czymś podobnym. – Diviwidiv stał teraz blisko Tollera, kiwając się lekko na prostych nogach. – Przecież wiesz.

Wielorakie poziomy komunikacji, na które składał się ich kontakt umysłowy, nie pozostawiały wątpliwości, że obcy nie kłamie. Jednak Toller zaczął się zastanawiać, czy to także należy do techniki telepatycznej. Czy supernowa może być narzędziem superkłamstwa, takiego, w które słuchacz wierzy bez zastrzeżeń?

– Trzymaj go na muszce, gdy będę się rozbierał – pouczył Steenameerta. – Jeśli wykona najmniejszy ruch, mrugnie okiem, wpakuj mu kulkę.

– Twoje procesy myślowe są niezwykle skomplikowane jak na istotę Pierwotną.

Diviwidiv zdawał się stopniowo odzyskiwać pewność siebie, a swoje słowa okrasiał tonem rozbawienia.

– Cieszę się, że zrozumiałeś wreszcie, że nie masz do czynienia z dzikusami – rzucił Toller, gramoląc się ze skafandra. – Lecz z jakiej racji jesteś taki z siebie zadowolony, szarogęby? Jest jakiś powód?

– Powód jest racjonalny. – Z okolonych ciemną obwódką ust Diviwidiviego wyrwał się niespodziewanie ludzko brzmiący chichot. – Teraz, gdy miałem okazję bliżej przyjrzeć się strukturze waszych umysłów i odkryć, iż jesteście skłonni ulec rozumowi, uświadomiłem sobie, że mogę chronić siebie i swoje interesy jasno określając waszą sytuację. Im więcej informacji wam przekażę, tym stabilniejszy będzie związek między nami. Toteż zapropono-

wałem, byśmy prze156

nieśli się tutaj, w bardziej sprzyjające otoczenie, by móc kontynuować naszą rozmowę bez niepotrzebnych przeszkód.

– Jeśli o mnie chodzi, to nic nie jest w stanie mi przeszkodzić – rzekł Toller zastanawiając się, czy Divivvidiv zdaje sobie sprawę z całej rozciągłości tego kłamstwa. Sam sposób komunikacji wystarczył, by pogrążyć jego umysł w zamięcie, a jeśli brało się pod uwagę niesamowity charakter i wygląd obcego, nie wspominając o dziwaczych okolicznościach ich spotkania, to należało się dziwić, że jego mózg jeszcze w ogóle funkcjonował. Przez cały czas musiał przywoływać myśl o Yantarze. Nic nie miało znaczenia poza odnalezieniem jej, wybawieniem i bezpiecznym powrotem na Overland.

– Nie ma potrzeby, byście celowali do mnie z tej barbarzyńskiej broni – rzekł Divivvidiv, gdy Toller zdjął skafander i wziął pistolet od Steenameerta, by tamten także mógł się rozebrać. – Powiedziałem ci, że rozum weźmie górę nad siłą.

– W takim razie nie masz się czym niepokoić – odparł Toller beztrąsko. – Jeśli dojdzie do sprzeczki, ty będziesz do mnie strzelał swoimi sylogizmami, ja natomiast będę musiał poprzestać na strzelaniu zwykłymi nabojami.

– Nabierasz pewności siebie.

– A ty, szarogęby, stajesz się meczący. Powiedz mi teraz, jak planujesz odzyskać kobiety, ratując zarazem swoje życie?

Divivvidiv zaczął promieniować odcieniami wskazującymi na rozdrażnienie.

– Chcę ci zadać pytanie, Tollerze Maraquine. Może ono wydać ci się bez związku z naszą sytuacją, ale jeśli opanujesz na chwilę zniecierpliwienie, z pewnością łatwiej przyjdzie ci coś zrozumieć. Czy to brzmi rozsądnie?

Toller bez przekonania skinął głową, podejrzewając nieja-

sno, że obcy nim manipuluje.

– Świetnie! A więc, z ilu planet składa się wasz system?

– Z trzech – odparł Toller. – Landu, Overlandu i Farlandu.

Mój dziadek, ojciec mojego ojca, którego imię mam zaszczyt nosić, zginął na Farlandzie.

– Twoja wiedza astronomiczna jest niepełna. Czy nie zwróciłeś uwagi, że teraz w lokalnym systemie istnieją cztery planety.

– Cztery planety?! – Toller wpatrywał się w Divividiviego marszcząc brwi, przypominając sobie, że ktoś mówił mu niedawno o jakiejś niebieskiej planecie. – Skąd nagle cztery planety? Mówisz tak, jakby za pomocą magii przyłączono do naszego układu nowy świat.

– Dokładnie tak się stało, choć nie miało to nic wspólnego z magią. – Divividiv pochylił się do przodu. – Moi współpracownicy przetransportowali naszą ojczystą planetę, która zwie się Dussarra, przez setki lat świetlnych. Wyrwali ją z dawnej orbity dookoła odległego słońca i umieścili na nowej orbicie wokół waszego. Czy daje ci to jakieś pojęcie o naszej potędze?

– Tak, o potędze twojej wyobraźni – odparł Toller z pogardą w głosie na przekór przerażającej pewności, że obcy przekazuje niepodważalną prawdę. – Nawet gdybyście byli w stanie przenieść całą planetę, w jaki sposób jej mieszkańcy mogli przetrwać zimno i ciemności międzygwiazdnej pustki? Jak długo trwała ta podróż?

– Nie trwała ani sekundy! Podróż międzygwiazdna odbywa się momentalnie. Koncepcja ta o niebo przerasta możliwości waszego pojmowania, oczywiście zupełnie nie z waszej winy, niemniej jednak postaram się przekazać wam analogie, które w pewnej mierze ułatwią wam zrozumienie.

Na ułamek sekundy Divividiv zamknął swoje nieludzkie oczy. Toller poczuł, jakby w jego głowie coś się szarpnęło i uczucie to przejęło go niepokojem, a zarazem było dziwnie przyjemne. Z

piersi wyrwało mu się westchnienie, gdy jego umysł przeniknął błysk intelektualnej jasności, jak promień światła z latarni morskiej. Przez jedną, przepelnioną złudną nadzieją chwilę wydawało mu się, iż już bliski poznania wszystkiego, co każda pełnowartościowa istota powinna wiedzieć. Potem obraz zakołysał się, poczuł usuwać się coraz szybciej i gdy światło zniknęło, pozostało po nim dojmujące poczucie straty. Filozoficzna ciemność, która wtoczyła się na jego miejsce, była jednak mniej przygniatająca, mniej monolityczna niż przedtem. Miejscami świtało. W jednej przelotnej chwili ujrzał próżnię wewnątrz próżni, międzygwiazdną przestrzeń, jak gąbczasta nicość pooraną tunelami i kanałami jeszcze większej nicości; niematerialne autostrady galaktyczne, ich początki były zarazem końcami...

– Wierzę ci, wierzę – wymamrotał. – Lecz to niczego między nami nie zmienia.

– Sprawiasz mi zawód, Tollerze Maraguine. – Diviwidiv stanął na swoim porzuconym skafandrze, przyssanym do podłogi siłą prądów powietrznych, i zbliżył się do Tollera. – Gdzie podziała się twoja ciekawość? Gdzie duch naukowych dociekań? Czy nie pragniesz dowiedzieć się, dlaczego moja rasa zdecydowała się na tak gigantyczne przedsięwzięcie? Myślisz, że to codzienna sprawa, gdy członkowie inteligentnej rasy przenoszą swoją planetę na drugi koniec galaktyki?

– Już ci powiedziałem: nic mnie to nie obchodzi.

– Ależ przeciwnie! To musi obchodzić każdą żywą istotę na wszystkich planetach tego systemu! – Usta Divivvidiego drgnęły konwulsyjnie wykrzywione niewidzialnymi falami emocji. – Wiesz, moja rasa ucieka przed śmiercią. Jesteśmy wygnańcami, uchodzącymi przed najstraszliwszą katastrofą w historii wszechświata. Czy fakt ten nie budzi w tobie ani odrobiny zastanowienia?

Toller spojrział na Steenameerta, który nie zdjawszy jeszcze

skafandra zamarł w bezruchu i po raz pierwszy od wielu dni troska o Yantarę i jej los odsunęła się na dalszy plan.

– Katastrofa! – zawołał. – Ale przecież gwiazdy oddalone są od siebie o miliardy miliardów mil! Czy mówisz

O jakiejś potężnej eksplozji? Nawet jeśli kiedykolwiek się wydarzy, nie potrafię sobie wyobrazić jak.

– Ona się już wydarzyła – przerwał mu Divivvidiv. 1 fakt, że gwiazdy dzielą miliardy mil, nie ma tu znaczenia. Skala eksplozji była tak niewyobrażalna, że zniszczone zostaną setki galaktyk.

Toller starał się wywołać w umyśle obraz odpowiadający słowom obcego, lecz wyobraźnia odmówiła mu posłuszeństwa.

– Co mogło doprowadzić do tego? A jeśli już się wydarzyła, to co my tu robimy? Skąd możesz o niej wiedzieć?

Divivvidiv stał bardzo blisko i zapach jego spoconego ciała gęstniał w nozdrzach Tollera.

– I znów zrozumienie tego nie leży w twoich możliwościach, lecz...

Promień światła z latarni morskiej był bardziej oślepiający niż poprzednio i Toller skurczył się wewnętrznie chcąc uciec, lecz nie potrafił się osłonić. Odkrył, że objawiona mu wizja kosmosu jako nicości naszpikowanej otworami jeszcze większej nicości była bardzo uproszczona. Kosmos, który teraz postrzegał, zrodził się z eksplozji o niewyobrażalnej sile i w chwilę później został usiany wrzącymi masami zwanymi ropami. Stanowiły stosunkowo stare relikty z okresu historii kosmosu, trwającego nie dłużej niż ludzki oddech i miały średnicę w przybliżeniu jednej milionowej średnicy ludzkiego włosa, a masę tak ogromną, iż jeden ich cal ważył mniej więcej tyle, co średniej wielkości planeta. Ropy wiły się, obracały i oscylowały, a w tych swoich ślepych skrętach ni mniej, ni więcej, tylko decydowały o rozkładzie materii we wszechświecie: układach galaktyk, układach gromad galaktyk, układach rojów gromad

galaktyk.

Podczas gdy wszechświatowi przybywało lat i pojawiały się pierwsze zalążki rozumnego życia, liczba ropów malała. Marnotrawiły niesamowite pokłady energii na oszalałe płąsy i zawijasy, na wysyłanie fal grawitacyjnych, stając się coraz większą rzadkością w kosmosie. Gdy tak samobójczo kończyły swe istnienie, wszechświat stawał się coraz bardziej stabilny i bezpieczny dla tak delikatnych organizmów biologicznych jak istoty ludzkie. Lecz proces ten nie był jednorodny. W niektórych nienormalnie zapchanych ropami regionach nieuniknione były interakcje i zderzenia o konsekwencjach niemożliwych do opisanego w żadnym systemie matematycznym.

W pewnym miejscu nie mniej niż dwanaście ropów zderzyło się i wyzwoliło całą wspólną energię w potężnej eksplozji, która miała unicestwić może setki galaktyk i wybić głębokie piętno na tysiącu innych. Żadna żywa istota nie była w stanie ujrzeć tej eksplozji, gdyż czoło fali uderzeniowej poruszało się z prędkością niemal równą prędkości światła. Jednak na podstawie danych uzyskanych za pomocą kosmicznych sond rozumnym istotom udało się odkryć, że miała ona miejsce. A kiedy dokonano tego odkrycia, pozostała tylko jedna rzecz do zrobienia.

Uciekać.

Uciekać daleko i szybko...

Toller gwałtownie zamrugał oczami, gdyż zdawało mu się, iż jego wizję przebiegła jakby wodna fala, lecz niemal od razu zorientował się, że jest to efekt iluzoryczny i subiektywny. Jego wewnętrzny model wszechświata rozpadł się w drobny mak i powstał na nowo w drastycznie odmiennej formie, jednak teraz i Toller był inny. Krótkie spojrzenie na bladą twarz i tępy wzrok Steenameerta upewniły go, że on także doświadczył podobnej metamorfozy.

Głos z odległej przeszłości Tollera wyszeptał ostrzeżenie: Stałeś się bezbronny! Gdyby szarogęby miał taki zamiar, mógłby cię zniszczyć w jednej chwili.

W odpowiedzi na tę przestrożę Toller obudził czujność. Skupił wzrok na twarzy obcej istoty, lecz nie znalazł w niej nic prócz wyrazu rosnącego odprężenia i satysfakcji. Nie wyczuwał z jego strony żadnej groźby, ale właśnie ten fakt mógł być sam w sobie swoistym rodzajem zagrożenia. Znajdowali się w twierdzy Diviwidiviego i nie mieli pojęcia, jakich sił magicznych może on użyć, by doprowadzić swe zamiary do skutku jednym kiwnięciem palca.

Usiłując oswoić się ze wszystkim, czego się dotąd nauczył, Toller potrząsnął głową, jakby przychodził do siebie po mocnym uderzeniu. Jego umysł tonął w falach czystej wiedzy, zanurzając się w niej do tego stopnia, że normalne procesy myślowe zostały wstrzymane, lecz nawet w tym stanie Toller zachował świadomość, że jedno ważne pytanie pozostało bez odpowiedzi. Lecz co to było za pytanie? Powiedziano mu zbyt wiele w zbyt krótkim czasie, a jednak dręczyło go przekonanie, że powiedziano mu zbyt mało. I przez cały ten czas ta ohydna obca istota w zwiewnych czarnych łachmanach sprawiała wrażenie coraz bardziej zadowolonej z obrotu spraw.

– Z jakiegoż to powodu wyglądzasz na tak zadowolonego z siebie, szarogęby? – mruknął Toller. – W końcu między nami nic się nie zmieniło.

– Ależ zmieniło się – zapewnił go Divivdiviv, zaprawiając znowu swe słowa lekkim rozbawieniem. – Nie jesteście odporni na racjonalne rozumowanie i dlatego w tym przypadku logika działa na moją korzyść, a na waszą szkodę. Wciąż nie przyznaję się do tego przed sobą zaczynacie uświadamiać sobie bezsensowność stawania w szranki z przedstawicielami najpotężniejszej cywiliza-

cji w waszej galaktyce.

– Nie pozwolę, by...

– A teraz, ponieważ posunęliśmy się już tak daleko ciągnął Diviwidiv bezlitośnie – dokończę tę budowlę logiki, która dla mnie jest warownią nie do zdobycia przez was. Właśnie miałeś zamiar spytać, dlaczego wasza para dwóch nic nie znaczących światów została wplątana w ucieczkę Dussarrańczyków przed unicestwieniem... Odpowiedzią jest fakt, że bliźniacze planety połączone wspólną atmosferą stanowią niesłychaną rzadkość. Dussarrańskim astronomom znane są tylko trzy podobne przypadki w tej galaktyce. Każdy z nich jest jednak zbyt odległy i gorzej dopasowany niż Land i Overland. Jak już wiecie, jesteśmy w stanie momentalnie przenosić naszą ojczystą planetę od gwiazdy do gwiazdy, lecz ograniczenia energetyczne powstrzymują nas od skoków większych niż kilka lat świetlnych za jednym zamachem. Oznacza to, że śmiertelny front, który wkrótce pochłonie i ten region galaktyki, będzie zawsze deptał nam po piętach, chyba... chyba że, Tollerze Maraquine, znaleźlibyśmy sposób, by przeskoczyć do innej galaktyki.

Toller usłyszał swój własny oddech, regularny i bezosobowy, jak szum fal na odległej plaży.

– Zaprojektowaliśmy maszynę, która umożliwiłaby nam przeniesienie ojczystej planety na wymaganą odległość, lecz do jej skonstruowania potrzebne były specyficzne warunki fizyczne. Oczywiście wymagany jest brak siły ciężenia, by maszyna nie uległa zniszczeniu pod wpływem własnego ciężaru. Ten czynnik nie nastęczał nam żadnych problemów. Jednakże potrzebny jest także nieograniczony dopływ tlenu i helu, by maszyna mogła się swobodnie rozrastać. I to jest właśnie powód, dla którego zdecydowaliśmy się umieścić Xa w barycentrum waszych dwóch planet. Do całej wiedzy, jaką wpoilem w twój umysł, Tollerze Maraquine,

muszę dodać, że Xa jest już prawie ukończony. Zostanie uruchomiony w przybliżeniu za sześć dni Ucząc od dzisiaj i kiedy to się stanie, planeta Dussarra zwyczajnie zniknie wam z oczu. W jednej chwili zostanie przeniesiona do innej galaktyki, odległej od tego miejsca o dziewięć milionów lat świetlnych. Przyjmij do wiadomości to, co ci mówię, Tollerze Marakułne, dla spokoju ducha. Nic nie możesz zrobić, by odzyskać wasze kobiety. Siły tysięcy cywilizacji podobnych wam nic by nie wskórały w tej sytuacji. Nalegam, byś przyjął to, co mówię i powrócił spokojnie na swoją planetę, wolny od wyrzutów sumienia, świadomy, że uczyniłeś wszystko, co było możliwe.

Toller wpatrywał się w błyszczące pośród czerni oczy obcej istoty, wprawiony w trans, trwając w jedności z sobą i z kimś innym, z postacią heroicznego bohatera z zamierzchłych czasów, którego przykład i radę, choć odbite w zwierciadle własnej osobowości, cenił ponad wszystko.

„Co uczyniłby prawdziwy Toller?” pytał sam siebie, bezgłośnie poruszając ustami. Pozostał w bezruchu kilka sekund, na wpół poddając się umizgom logiki obcego, po czyni wzdrygnął się szeroko otwierając oczy, jak człowiek wymykający się stalowym szczękcom pułapki.

– Weź ode mnie ten pistolet – rzekł do Steenameerta. -A podaj mi moją szablę.

– Znów cię zgubiłem. – Diviwidiv odskoczył pospiesznie. – Podejmujesz decyzje nie myśląc. Co masz zamiar uczynić?

Toller wziął szablę od Steenameerta i zwierając palce na znajomym rzeźbieniu rękojeści przyłożył ostrze do gardła obcego. Przed oczami migotały mu karmazynowe ogniki.

– Co mam zamiar uczynić, szarogęby? – wycharczał. -Otóż mam zamiar odłączyć twoją głowę od reszty ciała, jeśli nie przestaniesz opowiadać mi tego, co ty chcesz, bym usłyszał, a nie za-

czniesz mówić tego, co ja pragnę wiedzieć. Czy twój cudowny umysł przyjął to do wiadomości? Mów natychmiast, jak mogę uratować nasze kobiety! – Stalowe ostrze poczęło wrzynać się w gardło Divivdiviego.

Czarne usta obcego wykrzywiły się, a jego ciało drgało konwulsyjnie, lecz tym razem groźba natychmiastowej śmierci nie zburzyła całkowicie jego samokontroli.

– Powiedziałem ci wszystko, co było do powiedzenia. Musisz zrozumieć swoją sytuację! Nie możesz nic zrobić.

– Mogę cię zabić.

– Tak, lecz co ci z tego przyjdzie? Nic! Nic.

– Mogę... – Toller nie pozwolił sobie przerwać. – Powiedziałeś, że przetransportowano kobiety na twoją planetę, w jednej chwili, za pomocą jakiegoś urządzenia...

– Tak.

– W takim razie podążymy ich śladem tym samym środkiem transportu – wypalił Toller zaszokowany własnymi słowami.

Drzenie ciała Diviwidiviego osłabło.

– Czy twoja tępota nie ma granic, Tollerze Maraquine? Żądasz, by przetransportowano cię w samo serce dussarrańskiej metropolii, której liczba ludności sięga trzydziestu milionów? Czego ty i twój towarzysz możecie tam dokonać? – Wezmę cię jako zakładnika i przehandluję twoje żalosne życie. Ciało Diviwidiviego przestało się trząść.

– To wprost niewiarygodne, lecz istnieje szansa, choć nie skończenie mała, że w swojej ślepotcie i prymitywnym uporze odniesiesz zwycięstwo tam, gdzie przewyższające cię intelektualnie istoty byłyby skazane na porażkę. Co za intrygująca teza! Mogłaby z powodzeniem posłużyć jako jeden z tematów do dyskusji na następnym posiedzeniu.

– Dość! – Wciąż trzymając ramię obcego w uścisku swojej

lewej ręki, Toller opuścił nieznacznie ostrze szabli. -| Zrobisz, jak ci rozkazuję? Zawieziesz nas na Dussarrę?

– Nie mam innego wyboru. Wyruszymy natychmiast.

– No, to mi się zaczyna podobać. – Toller zwolnił uścisk na ramieniu Diviwidiviego, potem zacisnął palce ponownie z taką siłą, że obcy aż skrzywił się z bólu. – A może nie powinno mi się podobać?

– Nie rozumiem cię! Co się stało?

– Przestałeś się trząść, szarogęby. Przestałeś się bać.

– Ależ to naturalna reakcja na twoją nową propozycję.

– Tak? Nie ufam ci, szarogęby. – Toller posłał mu lodowaty uśmiech. – W taki właśnie sposób my, Pierwotni, prowadzimy negocjacje z wrogiem. W dużej mierze polegamy na naszych zwierzęcych instynktach, którymi gardzą takie przemądrzałe istoty jak ty. Coś mi mówi, że bardzo byś pragnął, abyśmy przenieśli się na Dussarrę za pomocą twojego magicznego urządzenia. Podejrzewam, że gdybyśmy tak zrobili, zostalibyśmy natychmiast zniszczeni lub pozbawieni świadomości, albo obezwładnieni w jakiś inny sposób, i zdani na waszą łaskę

– Nie ma sensu wdawanie się w polemikę z twoimi nieokielznanymi i aroganckimi urojeniami. – W słowach Diviwidiviego dała się słyszeć wyzywająca nutka. – Czy możesz mnie zatem powiadomić o swoich najnowszych propozycjach wysuniętych pod egidą twoich jakże cennych prymitywnych instynktów?

– Naturalnie! – Toller pomyślał o swoim dziadku i na jego ustach wykwitł słaby uśmieszek. – Zabieram cię na Dussarrę jako zakładnika, tak jak to postanowiłem, lecz podróż odbędzie się bez geometrycznych sztuczek. Niedaleko czekają dwa kolcorroniańskie statki kosmiczne, zbudowane z dobrego drewna i zaopatrzone w prowiant. Jeden z nich zawiezie nas na Dussarrę.

Rozdział 11

Słowa Pierwotnego, gdy już wynurzyły się z kłębow bezkształtnych plam reakcji emocjonalnych, były tak nieoczekiwane, tak śmieszne w swojej treści, że z początku Diviwidiv poczuł zaledwie cień wstrząsu czy niepokoju. Odkrycie, że Pierwotni zdolni są działać w skoordynowany i celowy sposób, podczas gdy ich system nerwowy nie emituje żadnych sensownych sygnałów, wytrąciło go nieco z równowagi, lecz szybko złożył to na karb przejściowego stanu wywołanego gniewem lub lękiem. Z pewnością wyższy Pierwotny zapomni ten przypadkowy 'szereg słów, jedynie pozornie przypominający logiczne zdanie, gdy tylko umilknie burza w jego umyśle.

– Co o tym sądzisz? – spytał Pierwotny, a jego obrzydliwie różowe usta o grubych wargach rozszerzyły się. Diviwidiv przyglądał mu się przez chwilę i poczuł, że zaczyna ogarniać go przerażenie, kiedy rozszyfrował z wolna powracające procesy umysłowe obcego. Pierwotny usłyszał swoje słowa tak, jakby wymówiła je obca istota. Podobnie jak Divivvidiv, był zaskoczony ich treścią, lecz, teraz jego mózg wtaczał się na powrót na tory czegoś, co mogło uchodzić za racjonalne rozumowanie, a on sam zaczynał przyjmować na siebie odpowiedzialność za swoje słowa oraz za ich niedorzeczną treść.

– Ten pomysł jest szalony – odparł Diviwidiv. – Nie musisz

wprowadzać go w czyn tylko dlatego, że zwerbalizowałeś go w momencie dużego napięcia emocjonalnego. Bądź rozsądny, Tollerze Maraquine, chroń dzisiejszego siebie przed sobą z zamierzonych czasów.

Diviwidiv wtłoczył treść swoich słów w umysł Pierwotnego, pewien, iż ten olbrzym o odpychającym zapachu zmieni zdanie. Ku przerażeniu Divivvidiva, Pierwotny zareagował mieszaniną pogardy, zadowolenia, dumy i najzwyczajszego, ślepego uporu.

– Nie upadaj na duchu, szarogęby! – ryknął. – Powinieneś okazać mi wdzięczność. Wystawiłeś moją cierpliwość na ciężką próbę, chępiąc się kosmicznymi wożami swojego gatunku, jeśli tak można określić te wasze geometryczne sztuczki, lecz teraz zapoznam cię z realiami podróży w otchłaniach. Mój dziadek ze strony ojca, którego imię mam zaszczyt nosić, był pierwszym człowiekiem, który odważył się przelecieć jednym z naszych statków kosmicznych na inną planetę i czuję się wyróżniony faktem, że przeznaczenie powołało mnie, bym wskrzesił jego czyny. Wkładaj z powrotem te srebrzyste fatalaszki, szarogęby. Mamy przed sobą długą drogę.

– Ależ to jest samobójstwo! Szaleństwo! – Diviwidiv poczuł, jak dygocze na myśl, że miałby narażać życie w jednej z tych barbarzyńskich drewnianych skorup, którym przyjrzał się przelotnie w początkowej fazie rozwoju Xa. Zachował te kruche wytwory Pierwotnych na wypadek, gdyby Dyrektor zainteresował się ich pochodzeniem. Dlaczego nie był na tyle przewidujący, by je zniszczyć? I dlaczego konstruktorzy stacji, ci autokraci z najwyższych pięt Pałacu Liczb, nie wzięli pod uwagę możliwości pojawienia się intruzów?

– Samobójstwo, mówisz? Lepsze to, niż pozwolić ci teleportować nas w sam środek jednego z waszych miast. -Wyższy Pierwotny rozluźnił nieco uścisk na ramieniu Diviwidiviego,

zmniejszając ból.

Olbrzym z każdą chwilą stawał się coraz bardziej pewny siebie, lecz Divivdiv uświadomił sobie rosnący niepokój w umyśle jego towarzysza. Nie potrafił dokładniej zanalizować tego stanu, gdyż zbyt dużą część jego umysłu pochłaniały obecne kłopoty, lecz miał nadzieję, że Steenameert wytoczy jakiś rozsądny argument przeciwko podróży w jednym z tych drewnianych statków kosmicznych. Na niższym poziomie mózgu Divivdiv słyszał nawoływania Xa, rozpraszający odgłos, który potęgował i tak już niebezpiecznie wysoki poziom stresu.

– Nie macie żadnych przyrządów astronawigacyjnych, zatem planowana przez was podróż jest niewykonalna. – Divivdiviemu nasunęła się nowa myśl. – Wiem, że faktycznie wierzysz w to, iż twój dziadek przeleciał jednym z waszych statków na inną planetę, ale bez wiedzy o dokładnej szybkości i...

– Pomagały mu w tym najróżniejsze obliczenia. – Olbrzym mocniej napał na szablę, broń, rekompensującą mu widocznie niedostatki umysłu. – A mnie będziesz ty pomagał. Cóż to dla ciebie, szarogęby! Już od dawna rozwodzisz się nad swoją niezmierną wiedzą z najróżniejszych dziedzin nauki.

– Nadal utrzymuję, że ryzyko jest niewyobrażalne. Wasz tak zwany statek kosmiczny może rozpaść się powyżej... – Divivdiv nie dokończył myśli, gdyż drugi barbarzyńca nagle dał upust swoim obawom.

– Czy mogę coś powiedzieć, panie kapitanie? – Jego zaniepokojone spojrzenie skierowane było wprost w twarz olbrzyma. – Tylko jedno słowo.

– O co chodzi, Baten?

Uzyskawszy dostęp do myśli Steenameerta Divivdiv rozczarował się odkrywając, że jego obawy związane są bardziej z przedstawioną mu kosmologiczną wizją niż z praktyczną stroną

najbliższej przyszłości. Niemniej jednak jego interwencja oderwała większość umysłowej energii olbrzyma od Diviwidiviego, co dało rnu wreszcie sposobność, by zorientować się we własnej sytuacji.

– Co się dzieje, Ukochany Stwórco? – Xa natychmiast znalazł drogę do umysłu Diviwidiviego. – Usunąłem uszkodzenie w moim ciele, ale wciąż odczuwam niejaki ból. Żałuję, że nie wyposażono mnie w organy zmysłu umożliwiające mi widzenie i słyszenie wewnątrz stacji. Czy Pierwotni są z tobą?

– To nie twoja sprawa.

– Ale ktoś mówił o ropach, Ukochany Stwórco! Czy to ty? Czy jesteś zdolny do wymawiania słów, które nie mają odpowiedników w rzeczywistości?

– Żadna etyczna istota nie jest do tego zdolna – odparł Divivdiv poirytowany. – A teraz siedź cicho.

~ Czy jesteś etyczną istotą, Ukochany Stwórco?

– Mówię ci: siedź cicho! – Diviwidiv zamknął wszystkie połączenia niskomózgowe, by zakończyć dociekania Xa.

– Ten strach na wróble opowiedział nam o potężnej eksplozji, panie kapitanie – rzekł Steenameert do olbrzyma. – Musimy dobrze rozważyć to, co powiedział. Całe galaktyki ulegną unicestwieniu! Według niego Land i Overland wkrótce zostaną zniszczone w mgnieniu oka.

– Baten, dlaczego zawracasz mi teraz głowę całą tą gadaniną o galaktykach i eksplozjach?

Odpychająca twarz niższego Pierwotnego ożywiła się.

– On mówił, że to nastąpi niedługo, panie kapitanie.

– Niedługo? Jak długo jest niedługo?

– Właśnie tego powinniśmy się dowiedzieć.

– Ukochany Stwórco! – Diviwidiv osłupiał stwierdziwszy, że najwyraźniej bez żadnego wysiłku głos Xa ponownie wdarł się do jego umysłu. – Czy powiedziałeś Pierwotnym, że mam zostać

zabity już za sześć dni?

Sposób sformułowania pytania nasunął Diviwidiviemu podejrzenie, że ciężki pancierz stacji musi być gdzieś nieszczelny, co umożliwi Xa przechwytywanie szmerów myślowych interakcji, które nie są przeznaczone dla niego. Choć kiedy indziej takie odkrycie byłoby pożyteczne, w tym momencie spotęgowało tylko u Diviwidiviego uczucie gniewu i zaniepokojenia.

– Rozkazuję ci! – Przesłał te słowa do Xa, zbierając wszystkie siły. – Powróć do stanu wewnętrznej ciszy i czekaj, aż cię wezwę.

– ...pytam cię, szarogęby! – krzyczał olbrzym. -Ile czasu minie, nim naszą ojczystą planetę pochłonie siła eksplozji, o której mówiłeś?

– Nie potrafię podać dokładnej liczby, ale będzie to za około dwieście waszych lat.

– Dwieście lat. – Olbrzym zerknął na swego towarzysza. – To bardzo krótko jak na życie planety, lecz dla mnie w tym momencie wydaje się to wiecznością. Mamy wiele do zrobienia, Baten, i musimy działać szybko.

– Szybciej, niż myślisz – dodał Diviwidiv, otaczając tę myśl obronnym murem wyższego poziomu mózgu, tak żeby nawet Xa nie mógł domyślić się, co dzieje się w jego umyśle. Poczucie winy, które trapiło go uprzednio, kiedy przypominał mu się los, jaki jego rasa zgotowała mieszkańcom bliźniaczych planet, i tak teraz zniknęło. Świeże w jego pamięci uczucie pogardy, odrazy i strachu, jakie wywołał w nim olbrzymi Pierwotny, miało w tym swoją zasługę.

„Nie dalej niż za dziesięć dni, Tollerze Maraquine” pomyślał „twój nic nie znaczący ojczysty świat przestanie istnieć”.

Rozdział 12

Kiedy Cassyll Maraquine wyszedł z pałacu, był cały _A mokry od potu. Nie zważając, iż nie licuje to z powagą jego stanowiska, błyskawicznie ściągnął z siebie oficjalny żupan i rozpiął bluzę pod szyją, chłodząc rozgrzane ciało. Szukając wzrokiem Bartana Drumme'a oddychał głęboko orzeźwiającym porannym powietrzem.

– Wyglądasz jak gotowany homar – zauważył jowialnie Bartan, wyłaniając się zza podstawy posągu króla Chakkella, który dominował nad dziedzińcem tak, jak w swoim czasie Chakkell dominował nad całą planetą.

– Tam w środku jest jak w piekarniku. – Cassyll otarł chusteczką pot z czoła. – Daseene zabija się żyjąc w takich warunkach, lecz kiedy próbuję jej poradzić, by przewietrzyła...

– Co za sens być władcą, jeśli nie można podporządkować śmierci królewskim edyktom.

– To nie jest odpowiedni temat do żartów – odparł Cassyll. – Obawiam się, że Daseene nie pozostało już wiele czasu, a ta zadziwiająca sprawa bariery lodowej oraz jej obawa o los księżnej Yantary mogą tylko wszystko pogorszyć.

– A ty niepokoisz się o bezpieczeństwo Tollera. Czy istnieje waga, na której można porównać takie uczucia?

– Toller umie zatroszczyć się o siebie. Bartan pokiwał głową.

– Tak, lecz nie jest swoim dziadkiem.

– Co to znaczy?! – krzyknął Cassyll, nie ukrywając rozdrażnienia. – Jak bardzo zwichnięte musiałyby być moje drzewo genealogiczne, gdyby mój ojciec i mój syn byli jedną osobą.

– Wybacz, przyjacielu. Kocham młodego Tollera niemal tak gorąco jak... – Bartan podniósł ramiona aż do poziomu uszu, co oznaczało, że zgadza się, by zmienili temat rozmowy. – Usiądźmy na jakiejś wygodnej ławce.

– Z pewnością będzie milej widziana niż niewygodna ławka.

Trącając się łokciami, by pokazać, że ich przyjaźń nie ucierpiała ani trochę, obydwaj mężczyźni skierowali się w stronę rzeki Lain. Dotarli do niej w pobliżu Mostu Lorda Glo skierowali się na wschód, wzdłuż nadbrzeża, aż usiedli na jakiejś marmurowej ławce. Powietrze było czyste, balsamiczne, przesycone tą specyficzną poranną ciszą dla uprzywilejowanych, która charakteryzuje administracyjne tereny w miastach. Ogromne chmury ptert, błyszcząc jak szklane bańki, podążały z biegiem rzeki, przemykając i tańcząc kilka stóp nad lekko pomarszczoną powierzchnią wody.

Bartan odczekał chwilę, po czym rzekł:

– Jaki jest werdykt?

– Chce wysłać flotę.

– Czy powiedziałaś jej, że nie rozporządzamy żadnymi Statkami?

– Tak, lecz odparła, żebym nie zawracał jej głowy drobiazgami. – Cassyll wybuchnął wymuszonym śmiechem. – Drobiazgami.

– Co masz zamiar zrobić?

– Obiecałem, że dowiem się, ile dokładnie statków możemy wystawić demontując inne, jeśli zajdzie taka potrzeba, i że jej o tym zakomunikuję. Wiele części silników trzeba będzie naprawić lub wymienić, a poza tym brakuje płótna na balony. Może minąć i

dwadzieścia dni, nim będzie mógł wystartować pierwszy statek...

– Cassyll umilkł, obracając złoty pierścień, który nosił na szóstym palcu lewej ręki.

– A ty miałeś nadzieję, że Toller powróci na długo przedtem – dokończył Bartan ze współczuciem. – Prawdopodobnie powróci... Z tą księżną wiszącą mu u szyi. Nie tak łatwo odciągnąć go z raz obranego kursu.

– Doskonale powiedziane. Zrobiłem dziś rano nowe pomiary i wygląda na to, że bariera ma już niemal sto mil średnicy. A to oznacza, że żaden statek nie mógłby jej wyminąć.

– A widzisz? – powiedział Bartan z nutką wesołości w głosie. – Toller musi wkrótce powrócić.

– Jesteś dobrym przyjacielem, Bartanie – odparł Cassyll próbując się uśmiechnąć. – Kocham cię, ale kochałbym cię jeszcze bardziej, gdybyś umiał mi powiedzieć, dlaczego ta niebieska planeta pojawiła się w naszym układzie i sprawiła, że krystaliczny mur wyrósł pomiędzy nami a odziedziczoną przez nas po przodkach planetą.

– Sądzisz, że te dwie rzeczy są w jakiś sposób powiązane?

– Jestem tego pewien. – Cassyll spojrział w niebo na enigmatyczny dysk białego światła unoszący się w zenicie. – Tak jak jestem pewien, że żadna z nich nie wróży nam nic dobrego.

Rozdział 13

W nadchodzących godzinach mój umysł będzie absorbować wiele spraw – rzekł Toller do Diviwidiviego, opuszczając należący już do rytuału przytyk do koloru jego twarzy, na znak, że mówi z całkowitym spokojem, przedstawiając suche fakty. – Toteż korzystając z sytuacji chciałbym jasno określić twoją sytuację. Twoim obowiązkiem jest zachować własne życie, a najłatwiej będzie ci to osiągnąć, jeśli udzielisz mi wszelkiej pomocy w naszym przedsięwzięciu. Jeśli odkryję, że mnie okłamujesz, dajesz mi wykrętne odpowiedzi lub pozwolisz, bym popadł w tarapaty, o których mogłeś mnie zawczasu ostrzec – zabiję cię. Twoja egzekucja może nie być natychmiastowa, ponieważ jesteś mi potrzebny. Ale jeśli stwierdzę, że działałeś na moją szkodę w jeden z wymienionych sposobów, i sprowadzi to na nas groźbę bezpośredniego ataku, zginiesz. Dobrze wiesz, że nie waham się w takich sprawach. W każdej chwili będę gotów ściąć ci głowę i jeśli dasz mi ku temu jakiś powód, nawet tak błahy jak kichnięcie, przyspieszysz tylko swój zgon. Zdaję sobie sprawę, jak nikłe są moje szanse przeżycia, praktycznie moje życie już się skończyło, więc nie łudź się, iż będziesz w stanie wyblagać litość w jakichkolwiek okolicznościach. Jeśli chcesz zachować swoje życie, musisz stać się bezwzględnie posłusznym narzędziem mojej woli. Czy wyraziłem się jasno?

– Bardzo jasno – odparł Diviwidiv. – Twoja skłonność do stawiania spraw na ostrzu noża nie wykazuje tendencji do zaniku.

Toller zmierzył obcego marszcząc brwi i zastanawiając się, czy taka tchórzliwa istota byłaby zdolna do bezczelności w bardzo

niebezpiecznej dla siebie sytuacji. Skończył zawiązywanie rzemków przy skafandrze, po czym odebrał pistolet od Steenameerta, by ten mógł uczynić to samo. Divivdiv wsunął się już w swój srebrzysty strój, który sprawiał, że jego wygląd był bardziej do przyjęcia dla ludzkich oczu, zatem bez przeszkód mogli wyruszyć w podróż na jego ojczystą planetę. Toller starał się nie myśleć o tym, co ich czeka. Przyszłość, jaką sobie zgotował, najeżona była nieprzewidzianymi niebezpieczeństwami, ale nie próbował ich sobie wyobrazić, żeby nie ogarnęły go wątpliwości, mogące osłabić jego władzę nad Diviwidivim.

– Jeszcze jedno pytanie, nim wyruszymy, i będziesz miał czas przetrwać ostrzeżenia, jakich ci udzieliłem – rzekł do obcego ogarniając wzrokiem niegościnnie pokój. – Czy sam fakt, że opuścisz to miejsce, zaalarmuje lub w jakikolwiek inny sposób da przewagę naszym przeciwnikom?

– Jest to mało prawdopodobne – odparł obcy. – Cała stacja działa automatycznie. Mało prawdopodobne, by na tym etapie ktoś z Dussarry próbował porozumieć się ze mną osobiście.

– Mało prawdopodobne? Czy tylko takiego zapewnienia możesz nam udzielić?

– Kazałeś, bym mówił prawdę.

– Bardzo dobrze. – Toller skinął na Steenameerta i cała trójka skierowała się do drzwi, za którymi znajdowała się komora ciśnień. Obcy poruszał się pewnie, swobodnie przesuwając stopy po perforowanej podłodze, podczas gdy Toller i Steenameert dokonywali karkołomnych ewolucji przechylając się na boki, jakby balansowali na cienkich linach. Kiedy dotarli do wejścia do komory, Diviwidiv odpiął ze ściany szare metaliczne pudełko i jął przyczepiać je sobie do pasa za pomocą błyszczących klamer. – Zostaw to – rozkazał Toller.

– Ależ widziałeś to już przecież. – Divivdiv rozłożył ręce

w dziwacznie ludzkim geście. – To tylko mój transporter.

– Urządzenie, które pozwala ci mknąć z szybkością strzały. Zdaje się, że pamiętam, jak przybliżyłeś się do nas z niewyobrażalną prędkością, kiedy Baten i ja siedzieliśmy uwięzieni w tej szklanej klatce. – Toller dźgnął pudełko szablą i odsunął od obcego. – Nie ma sensu, żebyś się obciążał pokusą ucieczki, zwłaszcza że zamierzam eskortować cię do mojego statku w królewskim stylu.

Toller odpiął od pasa zwój cienkiej liny, przeciągnął jej wolny koniec wokół ciała Diviwidiviego i związał mocny supeł. Wciągnął Divivvidiviego do komory ciśnień i dał mu znak, by wystukał kod na tablicy rozdzielczej, wyglądającej jak opakowanie niebieskich tabletek na jednolitej szarej ścianie. Wewnętrzny właz zasunął się cicho, niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, i w kilka sekund później otworzyły się zewnętrzne drzwi, ukazując szarometaliczny płaskowyz i iskrzące się za nim kryształowe morze. Do środka wtargnęło lodowate powietrze. Zadowolony, że nie będzie już oglądał przytłaczającej architektury wnętrza stacji, Toller owinał twarz chustą i ruszył w znajomy krajobraz strefy nieważkości.

Słońce przybliżyło się do Overlandu, przecinając poziom podstawowy i wschodząc nad sztucznym horyzontem nakreślonym przez ogromny dysk, o którym Toller wiedział teraz, że jest jakąś niepojętą maszyną. Promienie słoneczne, pod niedużym kątem uderzające w miliardy kryształów, utworzyły barykady pryzmatycznego ognia i kłuły w oczy. Blask był tak oślepiający, iż nawet Overland, ta jaśniejąca półkula mającząca dokładnie nad ich głowami, wydawał się w porównaniu widmowo blady.

Toller wydał trochę liny, włączył swój silnik i pomknął ku Stacjom Obrony Wewnętrznej, wlokąc Diviwidiviego, który haniebnie koziolkował za nim. Cała trójka wyfrunęła poza obręb

obcej stacji, a otaczająca ich pustka łąpczywie chłonęła odgłosy silników. Toller leciał w milczeniu zaabsorbowany przypomnianiem sobie kolejnych etapów wyprowadzania statku kosmicznego z powietrznego pomostu. Podczas dwóch obowiązkowych kursów zdawało mu się, że wszystko jest proste i oczywiste, lecz odbyły się one dawno temu i teraz cała operacja wyglądała na niesamowicie złożoną.

Na koniec w jaskrawej łunie przed nimi ukazała się grupa drewnianych cylindrów, jak gromadka żółtych, pomarańczowych i brązowych plamek, które przywdziały swoje prawdziwe barwy dopiero, gdy Toller zatoczył szeroki łuk, zostawiając słońce za plecami. Tuż obok kołysał się statek podniebny. Balon tracił kształt, gdyż znajdujący się wewnątrz gaz wytracał ciepło. Na powierzchni planety ciężar opadającej powłoki wyrzuciłby gaz na zewnątrz, lecz przy braku grawitacji balon jedynie zmarszczył się, jak skóra jakiegoś dogorywającego stworzenia głębinowego.

Toller wyłączył silnik i zahamował skracając linę, by przyciągnąć do siebie milczącego jeńca. Steenameert z wprawą zatrzymał się w pobliżu, dryfując kilka jardów nad fantastycznym skupiskiem ogromnych kryształów. Dwie mile dalej na płonącym morzu wznosiła się obca stacja, jak zamek majaczący na tle najciemniejszej części nieba, gdzie rzadkie meteory przemykały ukradkiem w niepamięć.

– Rzadki widok, Batenie – rzekł Toller. – Niewielu może pochwalić się, że oglądało coś podobnego. Będziesz go niewątpliwie długo pamiętał.

– Mam nadzieję, panie kapitanie – odparł Baten, a w jego oczach odbiło się zdziwienie.

– Chcę, byś zaniósł z powrotem dwie wiadomości: jedną dla mojego ojca, a drugą dla Królowej Daseene. Nie mam czasu, by je napisać, zatem słuchaj mnie uważnie.

Toller urwał, gdyż Steenameert gwałtownie zamachał rękami, by wyrazić sprzeciw.

– Co wy mówicie?! – wykrzyknął. – Czy nie służyłem wam dość dobrze?!

Tym razem to Toller się zdziwił.

– Nikt nie sprawowałby się lepiej. Mam zamiar zamieścić wzmiankę w wiadomości do Królowej, żebyście...

– Dlaczego więc odprawiacie mnie w decydującym momencie naszej podróży?

Toller zsunął chustę z twarzy i uśmiechnął się.

– Jestem szczerze wzruszony waszą lojalnością, Batenie, lecz sprawy doszły do punktu, w którym nie mam prawa niczego więcej od was wymagać. Podróż na ojczystą planetę tych intruzów niemal z całą pewnością zakończy się moją śmiercią, nie mam co do tego najmniejszych złudzeń, lecz przyjmuję ten los, gdyż jest to sprawa mojego osobistego honoru. Wyruszywszy z jasno wyrażonym zamiarem odnalezienia księżnej Yantary nie mogę wrócić do Prądu i przyznać, że zarzuciłem swą misję tylko dlatego...

– A co z moim osobistym honorem? – wypalił Steenameert głosem drżącym z emocji. – Czy myślicie, że honor jest przywilejem arystokratów? Czy wyobrażacie sobie, że mógłbym komukolwiek spojrzeć prosto w oczy ze świadomością, że zarzuciłem swoje obowiązki przy pierwszym powiewie niebezpieczeństwa?

– Batenie, ależ to wykracza poza zakres twoich obowiązków!

– Nie dla mnie. – W głosie Steenameerta zabrzmiała nowa nutka zaciętości, która zmieniła go nie do poznania. – Nie dla mnie.

Toller milczał przez chwilę czując, że zaczynają szczypać go oczy.

– Możesz towarzyszyć mi w podróży na Dussarrę pod jednym warunkiem.

– Mianowicie, panie kapitanie?

– Pod warunkiem, że przestaniesz zwracać się do mnie „panie kapitanie”. Wpakujemy się w to prywatnie, zapominając o Służbach Podniebnych i ich rytuałach. Wyruszymy na tę wyprawę jako przyjaciele i ludzie sobie równi, zrozumiałeś?

– Ja... – Stanowczość sprzed chwili zdawała się opuszczać Steenameerta. – To będzie dla mnie dosyć trudne... dla kogoś, kogo wychowano...

– Jeszcze przed chwilą twoje wychowanie nie miało znaczenia – przerwał mu Toller, uśmiechając się szeroko. – Dawno nikt mnie tak nie złażał.

Steenameert uśmiechnął się nieśmiało.

– Obawiam się, że chyba straciłem panowanie nad sobą.

– Zachowaj je, dopóki nie wylądujemy na Dussarze. Potem będziesz mógł pofolgować sobie na dobre. – Toller przeniósł wzrok na jeńca. – Co na to powiesz, szarogęby?

– Powiem, że jeszcze nie jest za późno, byście przerwali to bezsensowne przedsięwzięcie – odparł Diviwidiv przerywając długą ciszę. – Dlaczego nie wykorzystacie jakoś tej skąpej inteligencji, jaką wam dano...

– Nie zrozumiał ani słowa z naszej rozmowy – rzekł Toller do Steenameerta. – I on nazywa nas Pierwotnymi.

Nie mówiąc już nic więcej Toller włączył silniczek i ruszył wraz z obcym w kierunku najbliższego statku kosmicznego. Pokryta pokostem, gładka, drewniana powierzchnia lśniła w słońcu ciepłą brązową barwą. Statek złożono w strefie nieważkości z pięciu cylindrycznych części, które przetransportowano na pokładach statków powietrznych z Overlandu. Miał cztery jardy średnicy i w przeszłości wydawał się Tollerowi ogromny, lecz teraz, w porównaniu z obcą stacją, zdawał się zupełnie nieodpowiedni do celów, do jakich go zbudowano. Przypominając sobie, że przecież

jego dziadkowi udało się przeprawić w podobnym wehikule przez międzyplanetarną pustkę, Toller otrząsnął się z wątpliwości. Przyjrzał się uważnie obręczy z kryształów, która łączyła statek ze szklaną taflą, i zwrócił się do Divivdiviego:

– Mocne są te kajdany? Czy jeśli po prostu wystartujemy, może dojść do uszkodzenia statku?

– Kryształ rozkruszy się z łatwością.

– Jesteś pewien? Może byłoby lepiej, gdybyś rozkazał tej maszynie, aby zwolniła obręcz.

– Najlepiej będzie, jeśli teraz nie będę się komunikował z Xa. – Twarz obcego zasłaniała nieprzezroczysta szybka, lecz Toller wyczuł, że mówi prawdę. – Pamiętaj, że będę z wami wewnątrz tej barbarzyńskiej maszyny. To także moja sprawa, by nie stała się jej żadna krzywda.

– Świetnie – odparł Toller, odwiązując od pasa koniec liny, do której przytroczony był obcy i pozwalając mu dryfować swobodnie. – Mój towarzysz Pierwotny i ja mamy do wykonania pewne prace, które będą wymagać od nas bacznej uwagi. Zatem zostawię cię tu na krótką chwilę, prosząc, byś się nie oddalał. Czy posłuchasz mojej prośby?

– Obiecuję, że nie ruszę się nawet o cal.

Toller wypowiedział swą prośbę z udawaną kurtuazją dobrze wiedząc, że obcy nie jest w stanie zmienić pozycji i nie oczekiwał riposty, która odpowiadałaby jego poczuciu humoru. Przemknęło mu przez myśl, że ta wymiana zdań mogłaby mieć pewne znaczenie na przyszłość, gdyby pojawiły się perspektywy normalnych kontaktów między kulturą dussarrańską i kolcorroniańską. Jak na razie miał na głowie bardziej palące sprawy.

Tylną część statku kosmicznego stanowił specjalnie zaprojektowany statek podniebny, w którym normalną kwadratową gon dolę zastąpiono kapsułą kosmiczną. W jej wnętrzu znajdował się

złożony pełnowymiarowy balon, umożliwiający załodze opuszczenie się na powierzchnię planety i ponowne dołączenie do statku macierzystego, oczekującego na orbicie. Toller nie przewidywał, by mieli wykorzystać ładownik w nadchodzącej misji, ponieważ opuszczanie się za pomocą balonu było zarazem zbyt jawne i okropnie powolne.

– Jak uważasz, Batenie? – spytał, kiedy dryfowali swobodnie w zimnym, rozrzedzonym powietrzu. – Czy warto spróbować pozbyć się kapsuły? Mamy mnóstwo dobrych lewarków, a jakoś nie w smak mi myśl, że będziemy wlec za sobą dodatkowy silnik i te wszystkie przyrządy sterownicze.

– Uszczelnienie z mastyksu jest już dosyć stare – odparł Steenameert z powątpiewaniem. – Z pewnością przesiąkły nim skórzane uszczelki, drewno, kołki, olinowanie... Wszystko pewnie jest twarde jak bazalt. Nawet z pomocą lewarów do oddzielenia kapsuły potrzeba by było czterech lub pięciu mężczyzn, a poza tym nie mamy pojęcia, jakie szkody mogą powstać podczas tej operacji. A na dodatek trzeba będzie skrócić wały steru i podłączyć je do głównego silnika.

– Mówiąc krótko – wtrącił Toller – bierzemy statek tak jak jest! Wspaniale! Bądź tak dobry i znajdź nasze spadochrony i wory lotnicze, a ja w tym czasie zrobię przegląd statku. Wkrótce będziemy już w drodze.

Lot na Dussarę nie obfitował w wiele niespodzianek. Praktycznie wszystko, co wiedziano na temat podróży do miejsc leżących poza parą Land – Overland pochodziło z zapisków Ilvena Zavotle'a, który był jednym z uczestników legendarnej wyprawy na Farland. Toller miał okazję zapoznać się z wypisami z jego dziennika na kursach w Służbach Podniebnych i z poczuciem ulgi stwierdził, że wiernie odpowiadają one rzeczywistości. Miał wiele rzeczy do przemyślenia nawet bez jakichś chimerycznych zacho-

wań statku czy kosmosu.

Kiedy wpłynęli w przestrzeń kosmiczną, niebo stało się Czarne, zgodnie z przewidywaniami, i w krótkim czasie Statek rozgrzał się, co skłoniło ich do zdjęcia skafandrów. Według dawno nieżyjącego już Zavotle'a przejmujący chłód panujący w strefie nieważkości pomiędzy bliźniaczymi planetami był spowodowany konwekcją atmosferyczną, a kiedy statek wkraczał w międzyplanetarną pustkę, obficie absorbował energię słoneczną. Również zgodnie z przewidywaniami meteory – dominujący rys nocnego nieba ojczystej planety – przestały być widoczne. Zavotle wyjaśniał, że meteory wciąż przemierzają przestrzeń kosmiczną z niewyobrażalną prędkością, lecz można je obserwować tylko, gdy natrafiają na atmosferę planety. Możliwość, że statek zostanie w mgnieniu oka unicestwiony przez niewidzialny pocisk ze skały, nie przykuła na dłużej myśli Tollera.

Szybko zorientował się, że sterowanie statkiem jest najcięższym i jedynym zadaniem, nieco przypominającym próbę utrzymywania kijka na czubku palca. Stanowisko pilota na najwyższym pokładzie wyposażone było w niezbyt silny teleskop, zamontowany równoległe do wzdłużnej osi statku. Koniecznie należało utrzymywać skrzyżowanie nitek celowniczych przyrządu dokładnie na odpowiedniej gwiazdzie, co wymagało sporej koncentracji i umiejętnego posługiwania się bocznymi silnikami.

Pomimo braku doświadczenia Steenameert szybko okazał się lepszy w tej dziedzinie niż Toller, a poza tym twierdził, że lubi dłuższe wachty przy pulpicie. Takie rozłożenie obowiązków odpowiadało Tollerowi, zapewniając mu to, czego potrzebował najbardziej – czas, w którym mógłby oswoić się ze wszystkimi wydarzeniami ostatnich kilku gorączkowych godzin. Przez większość przeprawy wylegiwał się w hamaku na okrągłym pokładzie, czasem drzemiąc, a czasem obserwując Steenameerta i Divivdivie-

go.

Ten ostatni był bardzo zaniepokojony podczas pierwszych godzin lotu, lecz kiedy stało się jasne, że statek nie eksploduje, stopniowo zaczął odzyskiwać spokój ducha. On także spędził większość czasu w hamaku, lecz nie pozostawał beczynny. Wyjaśnił im, że Dussarra znajduje się tylko osiem milionów mil od bliźniaczych planet i krąży po mniej więcej podobnej orbicie. Informacje te uprościły parametry lotu, choć wykonanie odpowiednich kalkulacji było żmudnym zadaniem dla kogoś, kto nie był zawodowym matematykiem i pracował bez żadnych pomocy.

Posługując się ołówkiem, który trzymał w dziwaczny sposób cienkimi szarymi palcami, Divivvidiv notował coś od czasu do czasu w brulionie podarowanym mu przez Tollera. Często dawał Steenameertowi instrukcje co do odpalania lub wyłączenia głównego silnika lub też nastawiania astrocelownika. Czasami wpadał w podobny do transu stan, w którym, jak przypuszczał Toller, używał telepatii lub jakichś nieznanych zmysłów, by kontrolować położenie statku względem celu podróży. Innym możliwym wyjaśnieniem było to, że obcy porozumiewa się ze swoimi ziomkami i przygotowuje zasadzkę na swoich prześladowców.

W interesie wszystkich zainteresowanych leżało, by ukończyć lot jak najszybciej, lecz Toller nie posiadał się ze zdziwienia, kiedy nie dalej niż po godzinie podróży Divivvidiv przepowiedział czas tranzytu na trzy do czterech dni, z uwzględnieniem wszystkich zmiennych. Kiedy Toller spróbował przeanalizować te obliczenia, okazało się, że musi przyjąć, iż podróżują z prędkością stu tysięcy mil na godzinę, i wtedy zarzucił wszelkie kalkulacje. Promienie słoneczne wpadające przez luki do wnętrza statku zdawały się trwać w bezruchu: rozgwieźdzony wszechświat trwał pogodny i niezmienny jak nigdy – toteż lepiej było zapomnieć o przejmującym chłodem świecie matematyki i wyobrazić sobie, że dryfuje się

łagodnie od jednej wyspy do drugiej po szklistym czarnym morzu.

Jedną z cech, jaką Toller odziedziczył po dziadku, był brak cierpliwości – nawet kilka dni bezczynności wystarczało, by zakłócić mu wewnętrzny spokój. Przeczytał dziennik Ilvena Zavotle'a od deski do deski i bez trudu potrafił powtórzyć w myślach odpowiedni fragment słowo w słowo: „Nasz kapitan na długie godziny opuszcza stanowisko przy sterze. Spędza całe dnie na środkowym pokładzie, tkwiąc w bezruchu przy jednym z luków. Wydaje się, że znajduje pewną pociechę w tych chwilach zadumy, kiedy nie robi nic, tylko wpatruje się w otchłań wszechświata”. Ukradkiem, z przedziwnym zakłopotaniem, Toller czasami naśladował swojego dziadka i schodził do hadesu na dolnym pokładzie, gdzie skąpe promienie słoneczne rysowały pomieszczenie cienistymi wzorami pomiędzy rozporami i pakami, które zawierały zapasy kryształów energetycznych, soli strzelniczej, pożywienia i wody. Wciskał się w wąską szparę pomiędzy dwa pojemniki i najzwyczajniej pozwalając myślom swobodnie płynąć, podczas gdy sam wyglądał przez jeden z luków. Odgłosy silnika były tam donośniejsze, a zapach smołowanej, płóciennej okładziny statku bardziej wyczuwalny, ale lepiej mu się myślało w samotności.

W sposób nieunikniony jego myśli zwracały się często ku zagadkom i niebezpieczeństwom najbliższej przyszłości.

Nie mógł uwierzyć, że jeszcze tak niedawno utyskiwał na brak przygód w swoim życiu, na niemożność wykazania, iż jest wart znamienego imienia, jakie nosił. Brał oto udział w przygodzie, niezwyklej i tak beznadziejnej, że nawet ten pierwszy Toller Maraquine pewnie by mu ją odradził, w przygodzie, której pozytywnego zakończenia, mimo usilnych prób, nie był w stanie sobie wyobrazić.

Pomysł ten nasunął mu się na myśl w chwili całkowitej rozpaczki i uczepił się go z wdzięcznością, i z doskonałą pewnością

maniaka, dostrzegłszy wyraźną ścieżkę pośród wszystkich barier i pułapek losu. Wszystko zdawało się tak doskonale przemyślane. Nie mógł dać się teleportować na obcą planetę w pościgu za ukochaną, zatem poleci tam na kolcorroniańskim statku i weźmie całą Dussarre przez zaskoczenie. Divivvidiv zaręczał, że nie jest żadną znaczącą postacią w swoim społeczeństwie, a zatem jest bezwartościowy jako zakładnik, lecz jego zapewnieniom przeczył fakt, iż mianowano go dowódcą potężnej stacji. Scena została przygotowana dla bohatera uzbrojonego jedynie w śmiałość, wyobraźnię i wierną szablę, bohatera, który miał zatrwożyć i pokrzyżować plany obcej nacji. Niezauważeni, po kryjomu opuszczają się za pomocą worów lotniczych i spadochronów w pobliże stolicy wroga, potajemnie przeszukają cytadelę ich przywódcy. Sesje przetargowe, w których Toller będzie góram, potem odnalezienie Yantary, i powrót na Overland za pomocą teleportera, statku podniebnego lub spadochronu... i sielankowe, wspaniałe życie z Yantarą u boku...

Ty głupcze! – karmił go wewnętrzny głos, oskarżając z taką samą siłą, z jaką przed chwilą snuł niedorzeczne plany, i w takich momentach Toller wił się i krzyczał niemal, przejęty wstrętem do samego siebie. Tylko jeden aspekt tej dziwacznej sytuacji pozostawał niewzruszony pośród burzy jego myśli, wzmacniając postanowienie, by przeprowadzić całą sprawę do końca. Przyrzekł sobie i innym, że stanie u boku Yantary i wspominając to nie miał innego wyboru, jak przeć dalej, bez względu na nikłe szanse zwycięstwa, nawet jeśli zdawało się, że czeka go pewna śmierć.

Oglądana z wysokości czterech tysięcy mil ojczysta planeta obcych wyglądała uderzająco podobnie do Landu i Overlandu. Warstwa chmur składała się z tych samych wzorów szeroko rozlanych rzek zmieniających się w kręte strumienie lub pojedyncze pierzaste zawirowania. Dopiero kiedy Toller przebił się wzrokiem przez te cacuszka z błyszczącej mgły, zauważył, że stosunek ob-

szaru lądów do oceanów jest o wiele mniejszy, niż się tego spodziewał. Dominował kolor niebieski i tylko gdzieś tam majaczyły matowe plamy ochry lądów.

– Wygląda na to, że wszyscy skończymy z mokrymi tyłkami – rzekł ponuro spoglądając przez jeden z luków na ogromną, wypukłą tarczę planety.

– Wciąż nie jest za późno, byś zarzucił swój nedorzeczny plan. – Divividiv zwrócił na Tollera swoje otoczone czarną obwódka oczy. – Nic nie stoi na przeszkodzie, byś zawrócił do domu i zaczął żyć bezpiecznie i w spokoju.

– Starasz się zachwiać naszym postanowieniem.

– Robię tylko to, co kazałeś mi robić, bym zachował życie: służę ci solidnymi informacjami i radą.

– Stajesz się nadgorliwy – odparł Toller. – W tym momencie jedyne informacje, jakich od ciebie potrzebuję, dotyczą lotu na powierzchnię. Jesteś pewien, że wzięłeś należytą poprawkę na boczne wiatry? Choć nie mam ochoty wpaść wprost do morza, to myśl, że możemy wylądować w samym sercu miasta, przejmując mnie podobnym wstrętem.

– Możesz mi zaufać. Wziąłem pod uwagę wszystkie istotne czynniki.

Po odwróceniu statku w punkcie środkowym lotu Divividiv prawie w ogóle nie opuszczał siatki zabezpieczającej, zagłębiając się w cichych medytacjach lub wydając częste, szczegółowe instrukcje dotyczące poprawek w kursie i szybkości statku. Toller doszedł do wniosku, że obcemu, nawet przy jego niesamowitych zdolnościach, trudniej jest prowadzić statek, gdy porusza się on „do tyłu”, co wymaga kierowania się według gwiazd leżących po stronie przeciwnej do kierunku lotu.

Jednak teraz, gdy statek znalazł się na orbicie na obrzeżach dussarrańskiej atmosfery, Divividiviemu znacznie poprawił się

humor. Wyglądał na odprężonego i bardziej przystępnego niż zwykle. Było widać, że obawia się spadania w dół poprzez atmosferę planety, lecz z jakiegoś osobliwego dla jego gatunku powodu fakt, iż nie wymagało to walki na śmierć i życie, pozwolił mu stawić czoło tej ciężkiej próbie z takim samym męstwem, jak w miarę odważnemu człowiekowi.

Przywdział już swój srebrzysty skafander i przeglądając zapasy żywności trwał w oczekiwaniu na opuszczenie statku, które miało nastąpić za niecałą godzinę. Dowiedziawszy się, że prowiant Kolcorronian składa się głównie z pasów suszonego mięsa i ryb, urozmaicony okrągłymi ciastkami ze sprasowanego ziarna i suszonych owoców, zaczął domagać się, by zabrano jego własne zapasy. Pożywienie to składało się na ogół z różnokolorowych sześcianów twardej galarety zawiniętej w złocistą folię. Diviwidiv wyjął kilka z nich z kieszeni i przyglądał się uważnie tym połykającym klockom, najprawdopodobniej w poszukiwaniu najsmaczniejszego kąska.

Tollera ponownie uderzyło jego opanowanie i dokładając wszelkich wysiłków, by przewidzieć leżące przed nimi przeciwności, zastanawiał się, czy Diviwidiv nie posiada zasobów wiedzy, których nie ujawnił w żadnej z telepatycznych rozmów. Ćwicząc się w praktycznej strategii Toller spróbował przenieść się w wyobraźni tysiące lat w przód historii kolcorroniańskiej cywilizacji, starając się koncentrować głównie na rozwoju technologii wojennej i nagle przed oczyma ukazała mu się niepokojąca wizja.

– Powiedz mi, szarogęby – odezwał się. – To coś, co nazywasz Xa... To tylko zwykła maszyna, prawda? – Zasadniczo tak.

– I wyposażyleś ją w umiejętność wyraźnego postrzegania obiektów oddalonych o tysiące mil.

– Tak.

– Zatem wydaje mi się logiczną konsekwencją, że twoja

ojczysta planeta, kolebka waszej cywilizacji, obfituje w podobne maszyny.

Toller poczekał, aż jego słowa wywrą pożądany efekt, lecz obcy odczytał resztę jego myśli nie czekając, aż zacznie mówić dalej.

– Jesteś w biedzie! – Diviwidiv jak zwykle zaprawił swą odpowiedź pewną dozą rozbawienia. – Nie posiadamy urządzeń, które mogłyby -wyśledzić ten statek, i ostrzec o jego obecności. Nie patrolujemy naszej przestrzeni powietrznej. Po co?

– By ostrzegać przed najeźdźcami, wrogimi armiami.

– Lecz skąd mieliby pochodzić tacy najeźdźcy? I dlaczego jakaś cywilizacja miałaby żywić wrogie zamiary względem Dus-sarrańczyków?

– Podbój – odparł Toller krótko, żałując, że w ogóle zaczęła tę rozmowę. – Pragnienie podbojów i sprawowania władzy nad...

– Myślisz kategoriami plemiennymi, Tollerze Maraquine. W cywilizowanych społeczeństwach nie ma na nie miejsca.

Diviwidiv ponownie zabrał się do sortowania swoich kolorowych sześcianów.

– Pewność siebie to wróg...

Ku swojemu rozdrażnieniu Toller stwierdził, że nie jest w stanie dokończyć czegoś, co w zamyśle miało być aforyzmem. Przejęty niepokojem zaczął operować dźwignią urządzenia powietrznego, mieszając nowy ładunek soli strzelniczej z wodą w przewodach zbiornika. Divivvidiv na początku lotu z zainteresowaniem przyjrzał się temu mechanizmowi, po czym wyjaśnił, że powietrze to mieszanina gazów, z których tlen podtrzymuje życie, umożliwia rozniecenie ognia i przyczynia się do korozji żelaza. Przy połączeniu soli strzelniczej z wodą wytwarzają się duże ilości tlenu, co umożliwia załodze statku przeżyć długą podróż przez międzyplanetarną pustkę. Toller zanotował sobie te naukowe in-

formacje, gdyż mogły one wzbogacić wiedzę uczonych w Prądzie, ale wolał się nie zastanawiać, jakie są szanse, że kiedykolwiek oni je otrzymają.

Najprościej byłoby sprowadzić statek do poziomu, gdzie powietrze nadaje się do oddychania, wyłączyć główny silnik i wyskoczyć. W ten sposób opuszczaliby statek, pozornie unoszący się nieruchomo w powietrzu, a sprawa wsunięcia się w wory lotnicze oraz związania się razem nie nastęrczałaby większych problemów. Jednak Diviwidiv zauważył, że bezwładny statek podążyłby za nimi w dół atmosfery, a po zderzeniu z ziemią eksplodował jak ogromna bomba, najprawdopodobniej powodując śmierć wielu Dussarrańczyków.

Toller nie przejął się zbytnio tą perspektywą, uważając całą ludność obcej planety za zaprzysięgłych wrogów, lecz przystał na sprzeciw Diviwidiviego, obawiając się, że śmierć pobratymców może źle nastroić obcych do handlu wymiennego, jaki miał zamiar z nimi przeprowadzić. Ponadto nie chciał, by lądowaniu towarzyszyła olbrzymia eksplozja.

Z tych więc powodów, po wprowadzeniu w atmosferę, statek został położony na bok i ustawiony na kursie, który według Diviwidiviego miał umożliwić mu nieszkodliwe zatonięcie w morzu. Główny silnik wciąż pracował, drążek na pulpicie wskazywał minimalne tempo i Toller wraz ze Steenameertem stanęli wobec problemu pilnowania więźnia podczas opuszczania statku, stopniowo nabierającego prędkości. Znacznie od nich lżejszy Diviwidiv spadałby wolniej i wystarczyłaby tylko chwila nieuwagi, a wykorzystując prawa fizyki uciekłby na dobre.

Zdając sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa Toller dopilnował, aby, nim opuszczą statek, cała trójka połączyła się kawałkiem liny. Jedyne wyjście, znajdujące się w środkowej części, było bardzo wąskie, nie naruszające całości konstrukcji statku,

wobec czego zmuszeni byli ścisnąć się w raczej nieprzyjemnej pozycji, podczas gdy Toller wypychał pokryte smarem grube śruby. Kłapa wjazdu była wymodelowana jak ścięty stożek, panujące wewnątrz statku ciśnienie dociskało ją do uszczelnionej framugi. Toller musiał użyć wszystkich sił w wolnej ręce, by podważyć i wciągnąć do środka ten rzeźbiony drewniany dysk.

Huczący podmuch lodowatego powietrza bił w skafander Tollera. Chwytając mocniej nikłą postać Diviwidiviego i obejmując go ramię Steenameerta, wyskoczył w zimne, białawe światło słoneczne. Pokoziołkowali w opływającym kadłub statku strumieniu powietrza. W chwilę później uszy wypełnił im napastliwy, przerywany gwizd, a wszechświat zajaśniał oślepiającą bielą, kiedy porwały ich dławiące wyziewy silników.

Przykre odurzenie trwało jeszcze kilka sekund, a potem unosili się już swobodnie w przesyconym słońcem powietrzu, setki mil ponad powierzchnią Dussarry. Nad ich głowami majaczył wachlarz gwiazd, galaktyk i zamrzniętych komet, przesłonięty z lekka błyszczącym obłokiem wyziewów statku, który sunąc po dziwnym kursie szybko zniknął im z oczu. Na swoją ojczystą planetę Toller mógł już powrócić jedynie za pomocą magicznego przekaźnika materii, lecz w tym momencie nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać.

Bezładna lewitacja w górnych partiach atmosfery, gdy w dole zieją jedynie tysiące mil pustej przestrzeni, jest mrozącym krew w żyłach przeżyciem nawet dla weteranów kolcorroniańskich Służb Podniebnych i Toller zdawał sobie sprawę, że musi ono być jeszcze bardziej przerażające dla Diviwidiviego. Ten jednak nie trząśł się ze strachu, za to jego ręce i nogi majtały bezładnie i nie wyglądał na przytomnego.

– Wsadźmy go do wora lotniczego, zanim wszyscy zamrzniemy na śmierć! – krzyknął Toller.

Steenameert skinął głową i obydwaj zbliżyli się do Divivvidiviego po łączącej ich linie. Masywny spadochron obcego przeszkadzał im podczas przeciągania podbitego wełną worka przez jego głowę i poprawiania najróżniejszych zamknięć i pierścienia wentylacyjnego.

– Tu jest wygodniej, niż myślałem – powiedział Divivvidiv. – Będę mógł spać i śnić podczas spadania. Lecz co się stanie, jeśli będę miał trudności z wydostaniem się z tego worka, kiedy nadejdzie czas, by otworzyć spadochron?

– Bądź spokojny! – krzyknął Toller w otwór worka. – Nie pozwolimy ci odpaść.

Chusta okrywająca jego twarz była sztywna od zamarznętej pary i mimo, że miał na sobie skafander, zaczynał się trząść z zimna. Odsunął się od obcego i wgramolił do swojego worka bardzo powoli, gdyż przeszkadzała mu w tym nieporęczna szabla. Poczul się dosyć niewyraźnie, gdy zdał sobie sprawę, że z utęsknieniem oczekuje, aż znajdzie się we wnętrzu przytulnego i ciepłego worka lotniczego.

Gdy tylko zawinął się w swój kokon, zamknął oczy i zapadł w drzemkę. Spadał w stronę powierzchni planety, lecz minie trochę czasu, nim nabierze takiej prędkości, że obudzi go gwizd wiatru. Na razie panowała cisza, a on był bardzo wyczerpany i sytuacja nie wymagała żadnego działania.

Toller ocknął się w nieokreślonym czasie później i z miejsca wiedział, że na zewnątrz zalegają ciemności. Cień Dussarry pochłonął te trzy drobne istoty, które złożywszy swój los w ręce sił grawitacyjnych planety, odbywały długą pielgrzymkę z obrzeży kosmosu. Zdjęty nagłą ciekawością ujrzenia obcego, tonącego w mroku świata, Toller przetarł oczy, otworzył wór i zerknął na zewnątrz.

Widział bezkształtne plamy, jakimi byli Steenameert i

Diviwidiv, ostro zarysowujące się na srebrzystym tle wszechświata, lecz jego wzrok przykuł dopiero widok enigmatycznej planety rozpościerający się w dole. Widoczna półkula niemal w całości tonęła w mroku i tylko jej wschodnią krawędź zdobiło cieniutkie pasemko niebiesko-białego światła. Toller wielokrotnie miał okazję przyglądać się Landowi i Overlandowi z podobnej perspektywy, lecz tutaj miejsca, gdzie noc dzierżyła swe berło, zdominowane były senną czernią ożywianą jedynie odbitym światłem gwiazd. Nie był przygotowany na to pierwsze spojrzenie w głąb pograżonego we śnie świata, który stanowił dom wysoko rozwiniętej technicznie cywilizacji.

Większe masy lądów, w świetle dziennym zdające się nie mieć znaczenia, mrugały mnóstwem światełek. Wyspy wydawały się jaśniejsze od otaczających ciemności, a nawet oceany usiane były obficie punkcikami światła i wywołały w umyśle Tollera obrazy gigantycznych statków, ogromnych jak miasta, uwikłanych w szlaki handlowe biegnące dookoła całego globu. Planeta mogła też być na przykład wielką, matową kulą z milionem otworów przebitych na powierzchni, by mogła emitować światło z wewnętrznego źródła.

Toller przez długi czas chłonał wzrokiem ten widok, aż poczuł się nasycony i oczyszczony i wtedy zamknął wylot worka, odcinając się od natrętnego chłodu.

W momencie, gdy jego stopy dotknęły ziemi, wiedział, że został oszukany i zwabiony w zasadzkę.

Trzy spadochrony otworzyły się równocześnie ponad pograżonym w ciemnościach krajobrazem, w którym jedynym znakiem życia była cienka linia świateł kilka mil na zachód. Pogoda była bezwietrzna, tak że niedoświadczony Diviwidiv nie miał większych kłopotów z lądowaniem i Toller poczuł ponowną falę dawnego optymizmu, kiedy cała trójka opadła łagodnie na jaśnie-

jącą w świetle gwiazd łąkę. Przygotował się na to delikatne zetknięcie z ziemią, uczucie zagłębiania się butami w miękki torf, zapach trawy...

Wizualnie nic się nie zmieniło. Jeśli brać pod uwagę świadectwo oczu, Toller wylądował na czymś, co z powodzeniem mogło ująć za kołyszącą się sawannę z jego ojczystej planety. Steenameert i Diviwidiv znajdowali się w niewielkiej odległości po jego lewej stronie. Oni także stali wśród traw, a jednak Toller czuł pod stopami kamienne płyty. On i jego dwaj towarzysze znajdowali się na otwartym skrawku pustego pastwiska, a jednak słyszał jakiś ruch wokół, czuł nacisk umysłów.

– Broń się, Baten! – krzyknął, dobywając szabli. – Zostaliśmy zdradzeni!

Sapiąc z gniewu obrócił się do Divivdiviego, lecz spowita w skafander postać zniknęła. Tak jakby rozplynął się w powietrzu.

– Złóż broń, Tollerze Maraquine. – Głos Diviwidiviego był zarazem uprzejmy i pogardliwy. – Jesteście otoczeni przez ponad tysiąc oficerów porządkowych, z których wielu ma przy sobie broń. Jakakolwiek próba oporu skończy się waszą śmiercią.

Toller potrząsnął głową i warknął:

– Ale wpieryw zdołam wielu z nich położyć trupem.

– Zapewne, lecz jeśli tak się stanie, nigdy już nie ujrzysz swojej kobiety. Przebywa ona tylko kilka mil stąd i w przeciagu paru minut możesz być przy niej. Żywy pewnie będziesz w stanie pocieszyć ją lub jej usłużyć, ale martwy...

Toller owi szabla wypadła z dłoni, słyszał, jak brzęknęła na kamiennych płytach, a do oczu napłynęły mu łzy bezsilności.

Rozdział 14

Dopiero kiedy Toller i Steenameert poddali się naciskowi mnóstwa rąk i pozwolili sobie skępować „Xx nadgarstki na plecach, z oczu zdjęto im nałożone przez obcych łuski. Informacje z siatkówki znów bez przeszkód popłynęły do mózgu, nie zakłócane czynnikami zewnętrznymi i dwaj Kolcorronianie nagle przejrzeni.

Nadal panowała noc, lecz dostrzegalne w świetle gwiazd łąki zastąpiła złożona diorama majaczących w tle słabo oświetlonych budynków i szeregów ciemnych sylwetek Dussarrańczyków nie opodal. Toller zgadywał, że stoi niemal w samym środku ogromnego placu. Ciągące się wokół budowle wznosiły się łagodnie zakrzywionymi liniami, w przeciwieństwie do opartej na kątach prostych architektury jego ojczystej planety, a ich obłe kontury zdobiły tu i ówdzie wysmukłe drzewa, kołyszące się nieprzerwanie, mimo że wilgotne, nocne powietrze było zupełnie nieruchome. Jedynym znajomym elementem krajobrazu, jaki Toller mógł dostrzec, była twarz Steenameerta, zwrócona ku niemu ponad morzem ruchliwych, szemrzących sylwetek ubranych na czarno obcych.

– Zdaje się, że wygrałeś – powiedział Toller usiłując ukryć drżenie głosu. – Czarodziejskie sztuczki pokonały siłę.

Diviwidiv przysunął się bliżej, torując sobie drogę wśród ciżby wonnych ciał.

– Dla własnego dobra, Tollerze Maraquine, porzuć te prymitywne wyobrażenia o czarach. W przyrodzie nie ma miejsca na nieuczciwe przywileje. To, co powszednie dla mojej rasy, tobie wydaje się sztuczką tylko dlatego, że nasza cywilizacja stoi na wyższym poziomie w każdej dziedzinie poznania.

„Jeśli człowieka własne oczy wodzą na manowce, to muszą być w tym jakieś czary”.

– To całkiem proste. Kiedy znajdowaliśmy się wystarczająco

blisko ziemi, mogłem telepatycznie wezwać na pomoc kilku moich współpracowników Dussarrańczyków. Gdy tylko zebraliśmy się dość licznie, by zyskać nad wami przewagę, podyktowaliśmy wam, co macie widzieć. Zrobiliśmy to w ten sam sposób, w jaki tłum może zagłuszyć pojedynczy głos. Nie było tu nic magicznego.

– Jednak nie możesz zaprzeczyć, że szczęście wam sprzyjało – mruknął Toller czując, że popychają go w stronę pojazdu, który zatrzymał się w pobliżu. – Fakt, że wylądowaliśmy tak blisko miasta, wprost w ramiona waszych sługusów... to musiała być albo magiczna sztuczka, albo ślepe szczęście.

– Ależ skądże! – Toller stracił z oczu Diviwidiviego w tym tłumie ciał, lecz słowa obcego nadal dochodziły do niego bez zakłóceń. – Gdy tylko powiadomiłem moich współpracowników, co się dzieje, posterowali oni lokalnymi wiatrami tak, że wylądowaliśmy właśnie tutaj. Mówiłem ci od samego początku, Tollerze Maraquine, twoja misja nie miała żadnych szans powodzenia. Powracam teraz na swoją placówkę, jest zatem mało prawdopodobne, byśmy się jeszcze kiedyś spotkali. Nie musisz się jednak obawiać o swoje życie.

W przeciwieństwie do was. Pierwotnych, my, Dussarrańczycy, nie...

W nienaturalny dla Diviwidiviego sposób jego procesy myślowe utraciły swoją charakterystyczną wyrazistość. Na chwilę przesłoniła je wełnista mgiełka, jej odcień Toller niejasno utożsamiał z poczuciem winy, a potem połączenie myślowe urwało się na dobre. Samo pojęcie telepatii było dla Tollera czymś tak nowym, że nawet samo myślenie w tych kategoriach wprawiało go w tępe zdumienie, lecz był przekonany, że obcy doświadczył nagłego przesilenia prawdopodobnie wywołanego stresem podczas spadania z obrzeży kosmosu.

Poczucie winy! Słowo to, jak natrętny komar, brzęczało i

tańczyło w ogłupiałym umyśle Tollera. „Czy szarogęby mnie okłamał? Czy Baten i ja zostaliśmy oszukani? Czy prowadzi się nas jak owce na rzeź?”

Nieporadnie i niewprawnie próbował sięgnąć umysłem do jedyne go Dussarrańczyka, jakiego znał, lecz odpowiadała mu tylko głucha myślowa cisza. Diviwidiv wycofał się, schował za palisadą swojej poprzedniej egzystencji, a poza tym nie było czasu na introspekcję. Pojazd, który wyłonił się z nocnych ciemności otulających obce miasto, był łudząco podobny do olbrzymiego czarnego jaja. Unosił się na szerokość dłoni nad nieskazitelnie gładkim chodnikiem. W jego boku, bez pomocy żadnego widocznego urządzenia, powstał otwór: w jednej chwili statek stanowił całość, a zaraz potem okrągłe wejście odsłaniało mieniące się czerwienią wnętrze. Dziesiątki rąk pchały jego i Steenameerta w tamtą stronę.

W pierwszym odruchu Toller chciał ze wszystkich sił stawić opór, lecz w jakiejś części umysłu błysnęła mu nadzieja, że może Diviwidiv nie jest tak do końca jego wrogiem. Była to nikła nadzieja, oparta jedynie na pewnych niuansach myśli i spostrzeżeniu, iż obcy ma chyba poczucie humoru, ale była to jedyna, ledwie widoczna gwiazda przewodnia.

Wraz z depczącym mu po piętach Steenameertem wgramolił się do pojazdu czując, jak zakołysał się on lekko pod ich ciężarem. Drzwi zawarły się za nimi w mgnieniu oka jak stopiony metal ustępujący pod napięciem powierzchniowym, a gdy stopy mocniej przywarły mu do podłogi, zorientował się, że wehikuł wzbił się w nocne niebo. W środku nie było miejsc siedzących, lecz nie miało to znaczenia, gdyż dwaj odziani w grube skafandry Kolcorronianie zajmowali niemal całą ciasną przestrzeń. Prościej było stać.

Tollerowi od jakiegoś czasu robiło się coraz goręcej, ale uświadomił to sobie dopiero, gdy wzdłuż pleców zaczęły przemykać ukradkowe strumyczki potu.

– No cóż, Batenie – rzekł przygnębiony. – Wyraźnie cię ostrzegałem, że coś takiego może się wydarzyć.

Steennameert zdobył się na uśmiech.

– Ja nie narzekam. Zobaczą rzeczy, których w życiu sobie nie wyobrażałem, a mojemu życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Jeśli możemy zaufać słowom szarogębego, a już raz nas okłamał.

– Ale miał po temu powód! Teraz jednak nic by nie zyskał, mówiąc nam nieprawdę.

– Może masz rację.

Toller przypomniał sobie zastanawiające wahanie, telepatyczne plamy poczucia winy i wyrzutów sumienia okalające ostatnią wiadomość Diviwividiego, lecz nie starczyło mu czasu, by podążyć tym torem myśli. Obaj ze Steennameertem zachwiali się i oparli o siebie nawzajem, kiedy pojazd zatrzymał się z niedostrzegalnym niemal szarpnięciem. W obudowie ukazał się nieduży otwór, potem rozszerzył się promieniście, jak drobne fale na wodzie, tworząc okrągłe wyjście.

Za nim ciągnął się jakby krótki korytarz. Zdawał się skonstruowany z cętkowanej, szklanej rury o eliptycznym przekroju. Ściany pomazane były na szaro, żółto i pomarańczowo i albo podświetlono je od zewnątrz, albo też emitowały własną łagodną poświatę. Toller spojrział na lewo i na prawo i zauważył, że koniec eliptycznej rury styka się z obłą powierzchnią transportera tak ciasno, że nie można by wsunąć tam nawet kawałeczka najcieńszego papieru. Przeniósł wzrok na drugi koniec korytarza. Kończył się on jajowatą ścianą, w jej środku znajdowała się mała, okrągła szczelina, bez przerwy otwierając się i kurcząc w sposób, u Tollera budzący, choć był wyczerpany i wykończony nerwowo, pewne biologiczne skojarzenia.

– Czy ktoś stara się dać nam do zrozumienia, że jesteśmy

mile widziani? – zwrócił się do Steenameerta, ruszając do przodu niezdarnie, w obszernym skafandrze, z rękami nadal skrępowanymi na plecach. Kiedy dotarli do końca korytarza, szczelina w ścianie rozszerzyła się, pozwalając im wejść do ogromnego, zamkniętego pomieszczenia o zawikłanej architekturze. Był to okrągły hol otoczony schodami i galeriami. Widok tak monumentalnego wnętrza najprawdopodobniej oszołomiłby Tollera, gdyby znajdował się w odpowiednim stanie ducha. W tym momencie jednak jego wzrok prześlizgnął się po okazałej architekturze i zatrzymał na małej grupce biegnących ku niemu kobiet.

A pierwszą wśród nich była księżna Yantara.

– Tollerze! – krzyknęła, a jej piękna twarz zmieniła się w maskę jakimś nieludzkim sposobem spotęgowanego pożądania. – Tollerze, kochanie! Przybyłeś! Przybyłeś! Przybyłeś! Powinnam była domyślić się, że to będziesz ty!

Wpadła na niego z takim impetem, że niemal cofnął się o krok. Zarzuciła mu ramiona na szyję i całowała wilgotnymi ustami, natarczywie wsuwając mu język między zęby.

Toller poczuł na ciele przyjemny dreszcz. Trwając w tym błogim oszołomieniu prawie nie zauważył krągłej porucznik Partree, która podeszła do niego z tyłu i zabrała się za rozwiązywanie mu rąk. Pozostałe trzy kobiety obstały Steenameerta z podobnym zamiarem. Yantara odsunęła Tollera na długość ramienia, wciąż obejmując go za szyję, i dopiero teraz do jej świadomości wtargnął prawdziwy obraz sytuacji.

– Jesteś więźniem! – stwierdziła oskarżycielsko. – Zostałeś pojmany, dokładnie tak, jak my! – Odskoczyła od Tollera, a twarz jej przybrała grymas rozczarowania i gniewu. – Czy twój statek także wpadł prosto w tę dziwną rafę?

– Nie. Natknąłem się na nią w dzień i zdołałem ją wyminąć. Dotarłszy do Prądu, gdzie dowiedziałem się o twoim zniknięciu,

natychmiast wyruszyłem na poszukiwania.

– A gdzie są twoi żołnierze? Toller potarł zdrętwiałe nadgarstki.

– Nie ma żadnych żołnierzy. Towarzyszył mi tylko Baten. Yantara oniemiała na chwilę i rzuciła niedowierzające spojrzenie swojej porucznik.

– Wyruszyłeś jak generał na czele jednoosobowej armii, by stawić czoło najeźdźcy?

– Wtedy przecież nie mogłem wiedzieć o obecności wroga – odparł Toller sztywno. – Kierowała mną jedynie troska o twoje bezpieczeństwo. Zresztą dwóch ludzi czy tysiąc... co by to zmieniło?

– Czy stoi przede mną prawdziwy Toller Maraquine głoszący defetyzm, czy jego sobowtór skonstruowany przez te ohydne istoty, które odebrały nam wolność? – Yantara obróciła się na pięcie i, nim Toller zdążył zaprotestować, podążyła w stronę najbliższych schodów.

„Najpierw jestem zbyt lekkomyślny, a potem zbyt bojaźliwy” pomyślał, czując się zarazem urażony i zakłopotany.

W roztargnieniu patrzył na trzy kobiety w mundurach szeregowców, które zajęły się Steenameertem. Pomagały mu wygramolić się z ciężkiego skafandra z najwyraźniej nie malejącym zainteresowaniem, uśmiechając się i zasypując go pytaniami. Steenameert wyglądał na onieśmiałego, lecz zadowolonego.

– Musicie wybaczyć mojej arystokratycznej kapitan-odezwała się porucznik Partree, spoglądając na Tollera z błyskiem niesmaku w oczach. – Warunki w tutejszym areszcie trudno by nazwać uciążliwymi, lecz księżnej, w której żyłach płynie królewska krew, a zatem jest nadzwyczajnie wrażliwa, tutejsze życie bardziej daje się we znaki niż zwykłym ludziom.

Toller niemal z wdzięcznością powitał iskrę gniewu, która

przywróciła rzeczywistości ostre kontury.

– Przypominam was sobie, poruczniku. I widzę, że nadal jesteście niezdyscyplinowani i nielojalni.

Partree westchnęła.

– I ja przypominam was sobie, kapitanie. I widzę, że nadal jesteście ogłupieni jak młody cielak.

– Poruczniku, nie będę tolerował tego rodzaju... -Toller nie dokończył zdania, przypominając sobie nagle, że przecież zezwolił Steenameertowi na kontynuowanie tej podróży w nieznaną pod warunkiem, że zapomną o dzielących ich rangach i przynależności do różnych klas społecznych. Uśmiechną! się ze skruchą i zaczął ściągać z siebie krępujący, ciepły skafander.

– Przepraszam – powiedział. – Ciężko pozbyć się starych przyzwyczajai. Wiem, że kilka razy podawałaś mi swoje imię, lecz przyznam, że uleciało mi z pamięci.

– Jerene. Uśmiechnął się

– Mam na imię Toller. Czy moglibyśmy zawrzeć przymierze i stawić czoło wspólnemu wrogowi? – Spodziewał się, że jego słowa ułagodzą nieco nieustępliwą porucznik, toteż zdziwił się, gdy niepokój zagościł na jej okrągłej twarzy.

– A więc to prawda – wyszeptała, a z jej głosu wyparował właściwy jej, opanowany ton. – Nigdy nie proponowałbyś czegoś podobnego w normalnych okolicznościach. Powiedz mi, Tollerze, czy rzeczywiście zostaliśmy przeniesieni na inną planetę? Czy jesteśmy na zawsze zgubieni? Naprawdę uwięziono nas na nieznaną planetę miliony mil od Overlandu?

– Tak. – Toller zauważył kątem oka, że pozostałe trzy kobiety przysłuchują się bacznie temu, co mówi. – Jak to? Nic o tym nie wiecie?

– Noc zaskoczyła nas jakieś dwie godziny drogi od poziomu podstawowego – odparła Jerene głosem cichym i zamyślonym. –

Zapadła decyzja, że będziemy posuwać się dalej z ograniczoną prędkością i przeprowadzimy inwersję o brzasku...

Mówiła dalej, opisując, jak załoga, która w większości zagrożona była we śnie, wpadła w panikę słysząc okropny łoskot dochodzący od strony balonu. Cztery wąskie rozpory przebiły i rozpruły powłokę. Niemal natychmiast kłęby duszącego gazu miglignowego spłynęły w dół z wlotu, podczas gdy cała zwiotczała konstrukcja zapadła się do wewnątrz. W końcu, potęgując jeszcze zamieszanie i przerażenie załogi, gondola utonęła w kurczących się zwałach zniszczonej powłoki.

Minęło kilka dłużących się w nieskończoność minut, nim zatrwożonym astronautkom udało się wydostać z wraku. Odbite od Landu światło było na tyle silne, że pozwoliło dokonać niesamowitego odkrycia: statek zderzył się z krystaliczną barierą, ciągnącą się wzdłuż horyzontu jak zamrożone morze. A tylko dwieście jardów od nich wznosił się dziwny nad dziwy, bajkowy zamek, niezemski i tajemniczy, rysując się wyraźnie na tle srebrzystego nieba.

Jakoś udało im się odnaleźć wystarczającą liczbę silniczków i zdołały dolecieć do zamku. Jakoś udało im się także zlokalizować właz na jego metalicznej powierzchni.

Weszły do środka i znów jakoś, bez wyczuwalnego upływu czasu, odkryły, że są uwięzione w szarozółtej katedrze...

– Tak podejrzewałem – podsumował Toller, kiedy porucznik skończyła opowieść. – Coś mi mówiło, że ona... że wszystkie nadal żyjecie.

– Ale co się nam przydarzyło?

– Dussarrańczycy używają gazu, sprawiającego, że ktoś, kto go wdycha, szybko traci świadomość. To musiał...

– Tyle to same się domyśliłyśmy – przerwała mu Jerene. – Lecz co stało się potem? Powiedziano nam, że zostaliśmy ma-

gicznie przeniesione na inną planetę, lecz nie wiemy, czy można ufać słowom tych potworów. Sądziłyśmy, że wciąż jesteśmy w zamku. Prawda, że nasze ciała mają normalny ciężar, jakbyśmy stały na Overlandzie, lecz to może być kolejna magiczna sztuczka.

Toller potrząsnął głową.

– Przykro mi, lecz to, co wam powiedziano, jest prawdą. Nasi prześladowcy umieją podróżować w przestrzeni międzygwiazdnej z prędkością myśli. Rzeczywiście przenieśli was w mgnieniu oka na swoją ojczystą planetę, Dussarę.

Jego słowa wywołały okrzyki niedowierzania i trwogi u przysłuchujących się kobiet. Wysoka blondynka z zadartym nosem, ubrana w mundur kaprała, wybuchnęła śmiechem i szepnęła coś do stojącej obok towarzyszk. Toller zorientował się, że lekcje kosmologii i historii galaktyk, jakie pobrali wraz ze Steenameertem u Divividiviego, zmieniły fundamentalnie ich myślenie, co utrudniało im teraz porozumienie z istotami własnego gatunku. Z zakłopotaniem uświadomił sobie, jak musiał wyglądać w oczach Divividiviego, gdy pogrążony był jeszcze w niewiedzy.

– A skąd ty możesz wiedzieć, że wszystkie te bajdy o cudownych wożaczach w kosmosie są prawdziwe? – spytała Jerene wyzywającym tonem. – Musisz polegać na tym, co ci powiedziano, tak jak my.

– Mylisz się – odparł Toller wyzwoliwszy się wreszcie ze skafandra. – Kiedy Baten i ja weszliśmy do tego, jak go zwiecie, zamku, pojaliśmy jego władcę o trupiej twarzy

I przywieźliśmy tutaj jako zakładnika na pokładzie dobrego, kolcorroniańskiego statku. Tak więc możemy zaświadczyć, że wszyscy w tym właśnie momencie znajdujemy się miliony mil od Overlandu. Jesteśmy na ojczystej planecie najeźdźców.

Oczy Jerene rozszerzyły się, a gdy spojrzała na Tollera, na jej twarzy wykwitł rumieniec.

– I uczyniłeś to wszystko dla... – Zerknęła w stronę schodów, którymi oddaliła się Yantara. – Wziąłeś jeden z tych wiekowych statków ze Stacji Obrony... i poleciałeś na inną planetę... a wszystko dla...

– Całą drogę na ziemię z naszym zakładnikiem przebyliśmy w worach lotniczych i ze spadochronami – wtrącił Steenameert, przerywając przedłużającą się ciszę. – I dopiero wtedy ten przekłety strach na wróble zapanował nad naszymi zmysłami i wpadliśmy prosto w ręce żołnierzy zaczajonych w zasadzce. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby walka była uczciwa i honorowa. Wdarlibyśmy się tutaj z naszym zakładnikiem drżącym ze strachu przed utratą życia, bo miałyby ostrze szabli na gardle i wymienilibyśmy go na was.

– Muszę powiadomić o tym naszą kapitan. – Jerene z trudem łapała powietrze, a źrenice jej oczu rozszerzały się, gdy wodziła wzrokiem po twarzy Tollera. – Trzeba zapoznać ją ze wszystkimi faktami.

– Ona sądzi, że wciąż jesteśmy w naszej strefie nieważkości? – Toller westchnął z ulgą i uśmiechnął się pojawszy, dlaczego stosunek Yantary do niego zmienił się tak raptownie. – To zupełnie naturalne, iż oczekiwała, że pojawię się na czele uzbrojonej armady. To zupełnie naturalne, że poczuła się trochę rozczarowana.

– Tak, lecz gdyby wykazała trochę więcej cierpliwości... – Steenameert zaniechał komentarza i opuścił głowę.

– Co mówisz, Batenie?

– Nic. Zupełnie nic.

– Panie kapitanie? – Wysoka blondynka postąpiła krok naprzód i zwróciła się do Tollera. – Czy moglibyście powiedzieć nam, jak długo już tu jesteśmy?

– A co? Nie umiecie liczyć dni?

– Wewnątrz tej kopuły nie istnieje dzień ani noc. Oświetlenie

nigdy się nie zmienia.

Na Tollera, który właśnie próbował pogodzić się z myślą, że pozostanie w tym więzieniu przez długi czas, perspektywa życia w jednostajnym świetle podziałała przygnębiająco.

– Powiedziałbym, że jesteście tutaj od jakichś dwudziestu pięciu dni. A co z posiłkami? Nie można liczyć czasu według nich?

– Posiłki! – Blondynka skrzywiła się. – W każdej celi stoi koszyk, który te potwory nieustannie wypełniają klockami. No cóż, każda z nas ma nieco inną opinię na temat tego, co zmuszone jesteśmy zjadać.

– Pikantne kopyto niebieskorożca – rozmarzyła się inna wysoka kobieta, szeregowiec o brązowych oczach i śniadej cerze.

– Pikantne gówno niebieskorożca – skwitowała kwaśno trzecia, wywołując tym wybuch śmiechu koleżanek. Miała kasztanowe, krótko przycięte włosy, które zdecydowanie nie pasowały do jej przeciętnie ładnej twarzy.

– To są Tradlo, Mistekka i Arvand – przedstawiła je Jerene. – I jak zapewne zauważyłeś, zdążyły zapomnieć, jak należy zachowywać się w obecności oficera.

– Ranga nie ma już dla mnie znaczenia. – Toller skinął głową kolejno pozdrawiając trzy kobiety. – Mówcie, co chcecie i róbcie, co chcecie.

– W takim razie... – Arvand podbiegła w podskokach do Steenameerta, ujęła jego dłoń i posłała mu ciepły uśmiech. – Smutno jest spać samemu, nie sądzisz?

– To niesprawiedliwe! – krzyknęła jasnowłosa Tradlo łapiąc Steenameerta za ramię, czym wprawiła go w jeszcze większe zakłopotanie. – Wszystkie racje muszą być podzielone równo.

Toller pragnął jak najszybciej udać się na poszukiwanie Yantary, ale zachowanie Jerene wyraźnie wskazywało, że ma wielką ochotę dalej z nim rozmawiać. Nie przeszkodził, kiedy

odwróciła się od reszty, zręcznie stwarzając przestrzeń, w której mogli bez przeszkód omówić sprawę doniosłej wagi.

– Tollerze, wybacz, że cię lekceważyłam – zaczęła niepewnie. – Ale ty zawsze robiłeś wokół siebie tyle zamieszania... a na dodatek ta szabla... dawałeś jasno do zrozumienia, że pragniesz naśladować swojego dziadka, więc – teraz sama nie rozumiem dlaczego – wszyscy, którzy cię spotykali, z góry zakładali, że te ambicje są próżne. A teraz, gdyby nie to, co uczyniłeś, gdybyś nie przeleciał na inną planetę przez czarną otchłań kosmosu w jednej z tych antycznych beczek, gdyby cię tu nie było... Mogę powiedzieć jedynie, że Yantara jest najszcześniejszą kobietą na świecie i że nie musisz już nigdy więcej usuwać się w cień swojego dziadka. Nie ma żadnych wątpliwości, że ty i on to bratnie dusze.

Toller zamrugnął oczami, by zwalczyć nagłe szczypanie pod powiekami.

– Doceniam to, co mówisz, ale ja tylko...

– Powiedz mi – Jerene przybrała rzeczowy ton znacznie szybciej, niżby Toller tego pragnął. – Czy te potwory rzuciły na nas jakiś czar? Jak to się dzieje, że słyszymy to, co mówią, nawet kiedy ich nie widzimy, kiedy nie wydają żadnych dźwięków? Czy to magia?

– Nie ma w tym żadnej magii – wyjaśnił Toller, ponownie uświadamiając sobie przepaść, jaka wyrosła między nim a resztą istot jego rasy. – Tak porozumiewają się Dussarrańczycy. Osiągnęli taki poziom rozwoju, że nie muszą wymawiać słów ustami. Rozmawiają ze sobą przy pomocy myśli, umysł rozmawia z umysłem, bez względu na odległość. Czyżby nie wyjaśniono wam tego?

– Ani słowa. Jeśli o nich chodzi, to traktują nas jak zwierzęta.

– Przypuszczam, że posiadam tę wiedzę, gdyż strach na

wróble, z którym mieliśmy do czynienia, chciał zyskać na czasie i zachować życie. – Toller rozejrzał się z odrazą po galeriach kopuły. – Kiedy Dussarrańczycy się z wami kontaktują?

– Jest taki jeden, chyba go nazywają Dyrektorem -odparła Jerene. – On czasem potrafi rozmawiać z nami całymi godzinami. Zawsze pyta o nasze życie na Overlandzie, o nasze rodziny, pożywienie, metody uprawy ziemi, różnice między ubiorem mężczyzn i kobiet. Nic nie jest dla niego oczywiste. I jest jeszcze jeden, najprawdopodobniej kobieta, ona wydaje nam rozkazy.

– Jakie rozkazy?

Jerene wzruszyła ramionami.

– Kiedy mamy opuścić cele i zejść do głównego holu. Tego typu rzeczy. Czekamy tutaj, podczas gdy jeden z potworów uzupełnia zapasy wody i pożywienia.

– Czy ten tak zwany Dyrektor składa wam kiedykolwiek osobiste wizyty? Czy jacyś Dussarrańczycy wyglądający na ważne osobistości w tutejszym społeczeństwie przeprowadzają czasami inspekcję?

– Trudno powiedzieć. Czasem widzimy grupki tych potworów za tamtą przegradą, lecz... – Jerene wskazała oszkloną konstrukcję w kształcie pudła, która zamykała jedno z wejść do kopuły. – Dlaczego pytasz o takie rzeczy, Tollerze?

Posłał jej słaby uśmiech.

– Straciłem jednego świetnego zakładnika, a teraz szukam następnego.

– Lecz z tego, co nam powiedziałaś... Ucieczka stąd jest niemożliwa.

– I tutaj się mylisz – odparł Toller cicho, a jego twarz przybrała ponury wyraz. – Można uciec z każdej twierdzy, pod warunkiem, że się tego pragnie. Pod warunkiem, że się jest przygotowanym na ostateczną ucieczkę.

Toller i Steenameert spierali się o tradycyjne i nowoczesne metody wyrobu mebli, a zwłaszcza o projektowanie krzeseł.

– Nie zapominaj, że żelazo mamy dopiero od pięćdziesięciu lat, czy coś koło tego – mówił Toller. – Konstrukcja wsporników i klamer kątowych na pewno się polepszy, tak jak i konstrukcja drewnianych śrub.

– To nie ma większego znaczenia – odparował Steenameert. – Meble powinno się traktować jak dzieła sztuki. Krzesło musi być w takim samym stopniu rzeźbą, jak urządzeniem do podtrzymywania grubych tyłków. Każdy artysta ci powie, że drewno należy łączyć jedynie z drewnem. Czopy i fugi jak jaskółczy ogon są naturalne, Tollerze, poza tym są bardziej trwałe, i mają pewną prawidłowość.

Steenameert mówił dalej, podczas gdy Toller ukląkł i zaczął próbować podłogę galerii grubą igłą do zszywania rozdartych powłok wziętą z sakwy ratunkowej. Toller spojrzał na przyjaciela i potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że konstrukcja podłogi jest zbyt mocna, by można ją rozerwać i zaskoczyć kogoś, kto ewentualnie przebywał w pomieszczeniu poniżej. Stali nad szklaną obudową w tej części pierwszej galerii, gdzie według porucznik Jerene zbierały się czasami grupki Dussarrańczyków, by obserwować jeńców.

– Tak, lecz od czasów Migracji tylko bogaci byli w stanie korzystać z usług kompetentnych stolarzy – rzekł Toller prostując się. – A na pewno lepiej jest, gdy zwykli obywatele i ich rodziny posiadają cokolwiek, by posadzić swoje tyłki, niż żeby mieli kucać na ziemi. Nawiasem mówiąc wątpię, by wiele z tych wyżej wymienionych tyłków było grubych.

Toller i Steenameert głośno rozmawiali o konstrukcji mebli, co powodowało powstawanie w ich umysłach obrazów złączy i ram, a jednocześnie próbowali znaleźć słabe punkty konstrukcji

swojego więzienia. Kontynuowali dyskusję schodząc w dół, aż do samej obudowy. Byli zupełnymi nowicjuszami, prawdziwymi pierwotnymi w ciemnym, migotliwym i niezgłębnym świetle telepatii, lecz spotkanie z Divividivim dostarczyło im wystarczającej ilości informacji, by mogli zorientować się, że obcy popełniają błędy, a więc da się ich przechytrzyć. Prawdopodobnie podejmowano próby wniknięcia w ich najskrytsze procesy myślowe, lecz Kolcorronianie byli wojownikami z urodzenia i posiadali dar mylenia przeciwnika.

– Nie zaprzeczysz jednak, że konstrukcja drzwi została ulepszona dzięki żelaznym zawiasom i okuciom – rzekł Toller, gdy dotarł do obudowy. Ogólnie rzecz biorąc, była ona nadspodziewanie podobna do czegoś, co zbudowałby do tego samego celu rzemieślnik na Landzie lub Overlandzie. Trzyczęściowa, prostokątna, z jedną krawędzią przymocowaną do ściany kopuły. Każdy z trzech fragmentów biegł od podłogi aż do pierwszej galerii, oszlony od połowy w górę.

Spierając się wciąż o historyczny rozwój stolarstwa na ojczystej planecie, Toller niezobowiązująco oparł się o ścianę i poczuł, że drgnęła ona lekko. Przewyższał wzrostem każdego obcego, przynajmniej z dotychczas widzianych, a ponadto miał o wiele masywniejszą budowę ciała. Oszacował zatem, że musi być przynajmniej trzy razy cięższy od przeciętnego Dussarrańczyka. Przewyższał obcych także tężyzną fizyczną, posiadał siłę, z jaką Dussarrańczycy nie przywykli się stykać. Istniała więc możliwość, że bariera, która wydawała się Dussarrańczykowi nie do pokonania, ustąpiłaby za jednym zamachem pod naporem Tollera i Steenameerta.

Obcy mieli nad garstką Kolcorronian niezaprzeczalną przewagę, lecz z obserwacji Tollera wynikało, że są zarazem zbyt pewni siebie, zbyt zadufani. Ich najlepsi myśliciele użytkowali

swoją energię na badania odległych abstraktów, takich jak rozpad galaktyk, zapominając o bezpośrednich zagrożeniach w najbliższym otoczeniu. Byli jak królowie, którzy przygotowują mury obronne przed nieprzeliczonymi armiami, a ignorują służącego z fiolką trucizny lub uśmiechniętą konkubinę z cienkim sztyletem.

– Przyznaję ci rację w kwestii konstrukcji drzwi, ale to jest szczególny przypadek – powiedział Steenameert, kiwając głową znacząco po wypróbowaniu materiału nogą. - Metal ma tam naturalną funkcję, lecz jeśli chodzi o krzesła i stoły, nie ma dla niego miejsca.

– Zobaczymy, zobaczymy – odparł Toller, gdy podjęli przerwana powolną wędrówkę dookoła kopuły.

Przebywali w więzieniu nieokreślony czas, nie więcej jednak niż kilka godzin, a niespokojna i niecierpliwa natura Tollera burzyła się już przeciw monotonii aresztu. Telepatyczny głos o wyraźnie kobiecej barwie skierował jego i Steenameerta do cel na piętrze. Toller zmierzył swój pokój z zasady niechętnym wzrokiem i stwierdziwszy, że mu się nie podoba, ruszył na poszukiwanie innego. Jako że wszystkie cele były identyczne i nie miały nawet drzwi, nie istniał żaden powód, by woleć jedną od drugiej, lecz reakcja, którą miał nadzieję sprowokować, nie nastąpiła.

Poleżał przez chwilę na gąbczastym sześcianie, mającym mu służyć za łóżko, ale szybko ogarnęło go znudzenie i poszedł odwiedzić Yantarę w jej celi. Miał nadzieję, że może jej nastawienie uległo pozytywnej zmianie, gdy dowiedziała się od Jerene, że niemożliwe było przybycie na czele armii żołnierzy. Jednak Yantara leżała powściągliwa i małowówna. Jej cela przylegała do cel pozostałych kobiet. Starając się podejść do tego filozoficznie Toller przekonywał sam siebie, iż świadomość uwięzienia miliony mil od domu każdą kobietę mogłaby wpędzić w depresję.

Niepokojąc się coraz bardziej, zbadał wszystkie galerie ko-

puły. Była tak przestronna, że mogłaby pomieścić dwadzieścia razy więcej jeńców niż w tej chwili. Toller nie zauważył w żadnej celi śladów wcześniejszego zamieszkiwania. Czy to miejsce zaprojektowano na więzienie? Czy Dussarrańczycy w ogóle znali coś takiego jak więzienia? Czy może ta kopuła ze sztucznym, rzęsistym oświetleniem była odpowiednikiem klatki na ptaki?

Rwący strumień pytań zawirował w pamięci Tollera. Tuż przed tym, jak rozstał się z Diviwidivim, umysłowe procesy obcego wydawało się zakłócać jakieś przykre uczucie. Intuicyjnie Toller skojarzył je wtedy z poczuciem winy i patrząc teraz z perspektywy czasu, coraz bardziej dochodził do przekonania, że ma rację. W tamtym momencie Toller obawiał się, że prowadzą jego i Steenameerta na rzeź, lecz podejrzenia te okazały się bezpodstawne. Zatem co było prawdziwą przyczyną niepokoju w duszy Divividiviego?

Oczywiście istniała jeszcze sprawa Xa, tego fantastycznego morza żywego kryształu, i powodu jego obecności w strefie nieważkości pomiędzy Landem i Overlandem. Teraz, gdy miał umysł przesycony egzotycznymi pojęciami, gdy dziwaczność stała się do pewnego stopnia normą, Toller mógł uwierzyć, że zadaniem Xa jest przerwienie całej planety do galaktyki oddalonej o miliony lat świetlnych.

Kiedy po raz pierwszy zetknął się z tą koncepcją, była zbyt daleka od realiów życia na bliźniaczych planetach. Pojęciowa bańka mydlana, abstrakcyjny pałac z nitek babiego lata. Lecz teraz wszystko wyglądało inaczej.

On i Yantara oraz kilku wiernych towarzyszy zostali uwięzieni na tej nieszczęsnej planecie i... i...

Na jego czole pojawiła się głęboka bruzda, gdy przed oczami poczęły mu migać inne wspomnienia. Podczas pierwszego starcia Diviwidiv powiedział, że międzygalaktyczne przenosiny mają na-

stąpić za sześć dni. Czy na pewno mówił o sześciu dniach? Tak, dobrze pamiętał ten moment. Lot na Dussarrę trwał mniej więcej cztery dni, i jeszcze więcej jakże cennego czasu upłynęło podczas długiego spadania z obrzeży kosmosu...

Lodowaty strumyczek potu spłynął po karku Tollera, gdy uświadomił sobie, że małej grupce Kolcorronian zostały zaledwie godziny.

A może tylko minuty.

Rozdział 15

Widok odzianych na czarno postaci o trupich twarzach, które zebrały się za obudową z metalu i szkła, pojawił się jakby w odpowiedzi na modlitwę.

Toller zamarł w pół kroku, starając się okiełznać tumult myśli, próbując myśleć i nie myśleć zarazem. Nagłe odkrycie, że niesamowite przenosiny w odległe partie wszechświata mają nastąpić w bardzo bliskiej przyszłości, napełniło go pesymizmem. Potrzebował nowego zakładnika, by mieć choć nikłą nadzieję ucieczki z Dussarry, ale zdawkowa wzmianka na ten temat w rozmowie z Jerene była jedynie sposobem na ukrycie przejmującej rozpacz. Na przestrzeni całej historii społeczeństwo kolcorroniańskie przeżywało nieraz wielkie przesilenia i choć trudno przeprowadzać tutaj paralelę, nie mógł jakoś sobie wyobrazić, by grupa dostojników państwowych lub naukowców na Overlandzie zdecydowała się odwiedzić zwierzyniec w takim momencie.

A jednak w aseptycznym i ponurym oświetleniu kopuły zgromadziło się kilku wrogów, narażając się na niebezpieczeństwo zdecydowanego ataku. Szansa na sukces Kolcorronian niemal równała się zeru. Jednak samo jej istnienie, bez względu na to, jak mało realne, stanowiło tę jedyną zachętę, jakiej potrzebował Toller. Wystarczającą. Skierował się na drugi koniec pomieszczenia, gdzie Steenameert i dwaj szeregowcy, Mistekka i Arvand, siedzieli ze skrzyżowanymi nogami i prowadzili ożywioną dyskusję. Kobiety spojrzały na niego, nie ruszając się z miejsca, lecz Baten podniósł się pospiesznie ujrawszy wyraz twarzy Tollera.

– Chodź, Baten – powiedział Toller ściszym głosem. – Zajmij swój umysł tym, o czym przed chwilą myślałeś, i idź za mną. To może być nasza ostatnia szansa. – Spojrzał na siedzące kobiety. – Idźcie natychmiast na górę i powiedzcie Yantarze i Jerene, żeby przygotowały się do wyjścia. Być może trzeba będzie działać bardzo szybko.

Obrócił się i skierował w stronę obudowy, w której znajdowało się teraz około dziesięciu Dussarrańczyków. Steenameert postępował u jego boku.

– Celujemy w prawą krawędź tego pudła... tak, ciemny Kailian jest rzeczywiście wyśmienitym winem... sądzę, że siła uderzenia będzie największa, jeśli naprzemy z prawej strony... ale wydaje mi się, że jest zbyt kwaskowaty w smaku...

Zarzucając wszelkie konkretne myśli, poddając się jedynie dzikiej wściekłości, Toller puścił się galopem. Krawędź obudowy rosla mu w oczach, a białka oczu w szarych twarzach zwracały się w jego kierunku. Pędził ile tchu w piersiach, słysząc parskanie Steenameerta, który starał się dotrzymać mu tempa. Metalowo-szklana obudowa wypełniła całe jego pole widzenia. Głos instynktu wołał, by się zatrzymał, bo narazi się na okropne rany.

Wyjąc jak zwierzę, Toller uderzył w obudowę ramieniem i poczuł, że jej krawędź ustępuje pod naciskiem i wylatuje ze ściany kopuły. Niemal w tej samej sekundzie Steenameert wjechał nogami w jej dolną część. Boczna szyba obudowy wygięła się wgnieciona do środka, więżąc w narożniku kilku Dussarrańczyków. Ogromna szklana płyta runęła na Steenameerta, który gramolił się na nogi. Oczami wyobraźni Toller widział już setki ostrych odłamków, lecz szyba odskoczyła bez szwanku na podłogę. Niektórzy z Dussarrańczyków wydawali ciche miauknięcia, pierwsze dźwięki, jakie Toller usłyszał z ich ust, i wycofywali się w panice.

– Nie spieszcie się tak z tym odchodzeniem! – krzyknął Toller opierając ramię na metalowej płycie, nie zwalniając nacisku na uwięzionych Dussarrańczyków. – Mamy tutaj trzech waszych i chyba potrzebują opieki medycznej.

Przyglądał się zdobytym na chybił trafił zakładnikom. Dwaj ciągle stali na nogach, wyprostowani i unieruchomieni za kawałkiem obudowy, którą przyciskał Toller i patrzyli mu w twarz z odległości kilku cali. Trzeci opadł w kucki, najprawdopodobnie straciwszy przytomność lub życie. Toller spoglądał dzikim wzrokiem na stojącą parę, nie ukrywając obrzydzenia, jakie wywoły-

wały w nim pozbawione nosa twarze i drżące usta o czarnych konturach. Obcy nie wydawali żadnych dźwięków, lecz głowę Tollera wypełniał bezładny telepatyczny wrzask. Był to destylat czystego strachu, który przypominał o fakcie, że Dussarrańczycy nie są rasą wojowników, toteż Toller wziął to za dobry omen, napawający nadzieją co do przyszłych losów współtowarzyszy.

– Sprawdź, czy kobiety są gotowe do ucieczki! – krzyknął do Steenameerta. – Tymczasem ja przekonam tych obdartusów, by posłuchali głosu rozsądku.

Steenameert skinął głową i pomknął w kierunku astronautek, wśród których była też Yantara, stojących na podeście schodów. Toller przeniósł wzrok na wnętrze obudowy. Obcy, w jego oczach wyglądający jednakowo w postrzępionych, czarnych strojach, skupili się obok wyjścia z kopuły. W powietrzu unosił się ciężki zapach ich ciał.

– Który z was jest przywódcą? – warknął Toller. – Który z was, koszmarów sennych, może mówić w imieniu pozostałych?

Obcy nie udzielili żadnej odpowiedzi. Sekundy upływały niemiłosiernie, a oni nic, tylko gapili się na Tollera oczyma przypominającymi czarne obtłuczenie na białej porcelanie. Mimo że żadne telepatyczne głosy nie wpływały do jego głowy, nie miał wątpliwości, że przekazywano milczące ostrzeżenia do innych Dussarrańczyków, co ponagliło go do poparcia swoich słów działaniem.

– Widzę, że nie obejdzie się bez odrobiny brutalności -rzekł, posyłając obcym spokojny uśmiech, jakim zawsze poprzedzał akt przemocy. Była to cecha, którą jak mu mówiono, odziedziczył po swoim dziadku i którą kultywował na wpół świadomie od wczesnej młodości. Bez ostrzeżenia zmienił pozycję i raptownie podwoił siłę, z jaką napierał na płytę. Uwięzieni pomiędzy nią a ścianą obcy sapnęli głośno, ich popielate twarze wykrzywił grymas bólu i

Toller był niemal pewny, że słyszy trzask pękających kości.

– Przestań, dzikusie! – Ktoś z grupy obcych przy wyjściu postąpił krok naprzód. – Niczym nie można usprawiedliwić takiego barbarzyństwa.

– Może nie – odparł Toller kiwając głową. – Lecz gdybyś ty i twoi obrzydliwi ziomkowie nie porwali moich przyjaciół i nie umieścili ich w klatce jak zwierzęta, co stanowi wasz rodzaj barbarzyństwa, nigdy byście się nie narazili na mój rodzaj barbarzyństwa. Czy rozumiecie tę zasadę? Czy też może pojęcie naturalnej sprawiedliwości istnieje jedynie wśród niedouczonej Pierwotnych?

– Pierwotny to stosowna nazwa dla ciebie, Tollerze Maraquine – nadeszła bezgłówna odpowiedź. – Czy nie potrafisz zrozumieć, że niemożliwością jest, byś opuścił tę planetę?

– A czy ty nie potrafisz zrozumieć, że opuszczę tę planetę w ten czy inny sposób? I jeśli okaże się, że śmierć jest jedyną ucieczką, nie omieszkam zabrać ze sobą w drogę kilku waszych. – Toller zerknął na lewo i dostrzegł, że reszta towarzyszy dotarła już do obudowy. Ku jego zdziwieniu Yantara trzymała się na końcu grupy i spoglądała na niego niepewnym, zakłopotanym wzrokiem.

– Jesteśmy z tobą, Tollerze! – zawołał Steenameert.

– Wspaniale! – Toller z powrotem skupił uwagę na obcym. – Zostałeś wybrany na rzecznika pozostałych, zatem zakładam, że jesteś dosyć ważną osobą i dlatego będziesz miał zaszczyt być moim głównym zakładnikiem. Podejdź tutaj.

– A jeśli odmówię?

– Ledwie zacząłem przygniatać te wspaniałe okazy męskich Dussarrańczyków, a ich karłowate kości zaczęły pękać. – Toller ponownie naparł na płytę, a dwaj stojący za nią jeńcy niespokojnie poruszyli głowami.

– Jeśli zabijesz moich zastępców, stracisz tę drobną prze-

wagę, jaką teraz posiadasz.

– To będzie dopiero początek zabijania – odparł Toller żalując, że nie ma przy sobie szabli. Z obserwacji wynikało, że Dussarrańczycy nie grzeszą odwagą, lecz ku jego zaskoczeniu obcy, z którym rozmawiał, okazał się niespodziewanie uparty. Z wyglądu nie wyróżniał się niczym wśród swoich kompanów: strój z czarnych kawałków materiału był chyba powszechny wśród obcych, lecz ten Dussarrańczyk sprawiał wrażenie bardziej jeszcze władczego niż Diviwidiv.

„A może...” gdzieś w głębi umysłu Tollera rozbłysła niesamowita myśl. „Czy możliwe, by fortuna oddała w moje ręce najlepszego z możliwych zakładników? Czy ta niczym nie wyróżniająca się postać może być królem Dussarrańczyków? Jak nazywał go Diviwidiv? Dyrektor! A imię? Zunnunun”.

– Powiedz mi, ty obdartusie – przemówił łagodnie. – Jak masz na imię?

– Moje mię jest bez znaczenia – odparł obcy. – Ostatni raz odwołuję się do twego rozsądku. Twój plan, jeśli można tak określić tę szaloną wizję, to zmusić nas, byśmy odesłali was tam, skąd przybyliście, za pomocą specjalnego urządzenia. Wtedy ty i twoi współpracownicy powrócilibyście na ojczystą planetę balonem lub na spadochronach. Czy to trafna rekapitulacja waszych ambicji?

– Gratulacje, trupia gębo! – Odmowa podania imienia dała Tollerowi inspirację i zachętę.

– Ten plan nigdy się nie powiedzie! Rozsądniejsi członkowie waszej grupy mają poważne wątpliwości co do jego przeprowadzenia i wykazują pod tym względem zadziwiającą mądrość.

Wzrok Tollera ponownie pobiegł ku Yantarze, lecz ona opuściła głowę nie odwzajemniając spojrzenia.

– Nie mogę pozwolić sobie na wchodzenie w szczegóły, Tollerze Maraquine – ciągnął obcy. – Lecz sprawa polega na tym,

iż macie duże szczęście, że znaleźliście się tutaj, na Dussarze. Musicie zaufać moim...

– Jesteś królem wszystkich Dussarrańczyków! – wrzasnął Toller, dając upust wściekłości spotęgowanej świeżo kielkującymi obawami. – To trwa zbyt długo! Mów szybko, jak masz na imię, albo, klnę się na swój honor, zgniotę tych trzech tak, że krew tryśnie im oczami!

Obcy uniósł dłoń do swojej wklęsłej piersi.

– Mam na imię Zunnunun.

– Tak myślałem! – Toller posłał Yantarze, Steenameertowi i pozostałym triumfujące spojrzenie. – A teraz dam...

– Nic nie zrobisz – przerwał Zunnunun uciszając Tollera z zadziwiającą łatwością. – Planowałem zbadać psychologiczne więzi pomiędzy tobą a twoim wybranym osobnikiem żeńskim, lecz doszedłem do wniosku, że w stanie nie zmodyfikowanym albo zabijesz się, albo będziesz sprawia! więcej kłopotów, niż jesteś wart. Dlatego też podjąłem decyzję, by zakończyć twoje życie. Toller potrząsnął głową.

– Trzeba by wielu takich jak ty, by mnie zabić.

– Ależ ja nie mam zamiaru cię zabijać – głos Dussarrańczyka był teraz lekki, rozbawiony, pełen zadowolenia z siebie. – Twoje ciało pozostanie w doskonałym zdrowiu i posłuży mi do eksperymentów rozrodczych, lecz zamieszka w nim inna, bardziej uległa osoba.

– Nie możesz tego zrobić.

– Ależ mogę! W rzeczywistości ten proces już się rozpoczął, w co uwierzysz, jeśli będziesz chciał się poruszyć. -Usta Zunnununa wykrzywiła parodia uśmiechu. – Miałeś rację twierdząc, że nasza rozmowa się przedłużyła. W tym czasie zgromadziłem wystarczającą liczbę moich ludzi, by stworzyć telepatyczną soczewkę. Została już nastawiona na twój mózg i za kilka sekund przestaniesz

istnieć... Żegnaj, Tollerze Maraquine.

Toller próbował rzucić się na obcego, lecz tak jak zostało przepowiedziane, nie był w stanie wykonać żadnego ruchu, i coś zaczęło się dziać w jego umyśle. Nastąpiła inwazja. Rozluźnienie. Wstydlive, lecz radosne uczucie uległości, świadomość, że życie w roli Tollera Maraquine'a Drugiego zawsze było nużące i że oto nadszedł czas, kiedy może z radością zrzucić ten ciężar.

Rozdział 16

Dwanaście statków! To wszystko?! – Daseene rzuciła Cassyllowi pełne wyrzutu spojrzenie. – Byłam pewna, że możemy wystawić o wiele więcej.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość, ale fabryka nawet przy tej ilości pracuje na najwyższych obrotach – odparł Cassyll, starając się ukryć zniecierpliwienie, gdyż powtarzał to już trzeci raz w ciągu ostatniej godziny. – Główną przeszkodą jest brak nieza-

wodnych silników i części zamiennych.

– Ależ przecież widziałam setki silników zalegających plac parad w Kandell. Widziałam je na własne oczy! Jeden przy drugim!

– Tak, lecz są to drewniane urządzenia starego typu, zbędne, gdyż w nowoczesnych statkach zastąpiono je silnikami ze stali.

– W takim razie wstawcie je z powrotem – wypaliła Daseene, poprawiając kornet wysadzany perłami.

– Niestety nie będą pasować do nowych zawieszek. -Jako weteran podobnych utarczek z Królową, Cassyll przemawiał tonem odzwierciedlającym chłodny rozsądek. – Przystosowanie jednych do drugich zabrałoby bardzo dużo czasu, a poza tym w starych silnikach brakuje wielu pomocniczych elementów.

Daseene przymrużyła powieki i pochyliła się do przodu na swoim tronie.

– Czasami, mój drogi Maraquine, przypominasz mi swojego ojca.

Cassyll uśmiechnął się mimo zaduchu panującego w sali audiencji.

– Doceniam ten komplement, Wasza Wysokość.

– To nie miał być komplement i ty dobrze o tym wiesz -odparła Daseene. – Twój ojciec oddał drobną przysługę mojemu mężowi podczas Migracji i...

– Jeśli wolno mi choć odrobinę ożywić pamięć Waszej Wysokości – wtrącił Cassyll sucho – mój ojciec uratował życie całej waszej rodzinie,

– Nie mam pewności, czy było to aż tak dramatyczne. W każdym razie przysłużył się jeden jedyny raz, a resztę życia spędził na przypominaniu mojemu mężowi tego wydarzenia i żądaniu w zamian przywilejów.

– Mam zaszczyt służyć Waszej Wysokości w każdej chwili – rzekł Cassyll, gładko kierując rozmowę na znajome tory. – I nigdy

bym się nie odważył prosić w zamian o przywileje.

– Nie, ty nie musisz. Ty po prostu niczym się nie przejmujesz i wszystko załatwiasz po swojemu. I właśnie o to mi chodzi! Twój ojciec miał zwyczaj udawać, że robi to, czego chce król, a zawsze robił to, co sam chciał. Ty masz dokładnie ten sam zwyczaj, Cassyllu Maraquine. Czasem podejrzewam, że to ty, a nie ja rządysz tym królestwem. – Daseene pochyliła się do przodu, przyglądając się mu bacznie swoimi wodnistymi oczami.

– Nie wyglądasz dobrze, mój drogi przyjacielu. Twoja twarz zrobiła się karmazynowa, a pot perli się na skroniach. Czy cierpisz na febrę?

– Nie, Wasza Wysokość.

– Cóż, coś musi cię trapić. Nie wyglądasz najlepiej. Według mnie powinieneś pójść do swojego medyka.

– Zrobię tak bez zwłoki – odparł Cassyll. Z upragnieniem wyczekiwał momentu, kiedy będzie mógł wydostać się z rozpalonego wnętrza komnaty, lecz nie dopiął jeszcze celu swojej wizyty. W przeciwieństwie do tego, co stwierdziła Daseene, wcale nie był absolutnym panem swoich losów. Patrzył w jej drobną twarz, zastanawiając się, czy bawi się jego kosztem. Prawdopodobnie doskonale wiedziała, że dręczy go nadmierny upał i czekała, aż zemdleje lub podda się i zacznie błagać o chwilę wytchnienia.

– A tak swoją drogą, dlaczego zajmujesz mi tak dużo czasu? – spytała. – Na pewno czegoś chcesz.

– Tak się właśnie składa, Wasza Wysokość, że jest jedna...

– Ha.

– To zupełnie rutynowa sprawa... hm... w zakresie mojej władzy... lecz pomyślałem, że przy okazji wspomnę o tym Waszej Wysokości. Nie, żeby było to coś...

– Mów, Maraquine! – Rozjątrzona Daseene spojrzała w sufit. – O co chodzi?

Cassyll przełknął ślinę, próbując pokonać suchość w gardle.

– Bariera lodowa pomiędzy Landem i Overlandem jest bardzo ciekawa z naukowego punktu widzenia. Ja i Bartan Drumme mamy przywilej być głównymi doradcami naukowymi Waszej Wysokości i, po trzeźwym przeanalizowaniu wszystkich faktów, uważamy, że powinniśmy towarzyszyć flocie, co...

– Nigdy! – Twarz Daseene raptownie zmieniła się w alabastrową maskę, na której utalentowany artysta wymalował podobiznę kobiety, jaką niegdyś była. – Zostaniesz tutaj, gdzie cię potrzebuję, Maraquine. Tutaj na ziemi! To samo tyczy się twojego serdecznego przyjaciela, wiecznego młokosa, Bartana Drumme'a. Czy wyraziłam się jasno?

– Bardzo jasno, Wasza Wysokość.

– Dobrze wiem, że niepokoisz się o syna, tak jak ja obawiam się o bezpieczeństwo swojej wnuczki. Lecz bywają chwile, kiedy trzeba być głuchym na głos serca – rzekła Daseene z wigorem, który zaskoczył Cassylla.

– Rozumiem, Wasza Wysokość. – Cassyll uklonił się i odwracał właśnie w stronę wyjścia, kiedy Daseene zatrzymała go unosząc dłoń.

– Zanim odejdiesz – powiedziała. – Pozwól przypomnieć sobie, co mówiłam wcześniej. Nie zapomnij zobaczyć się z doktorem.

Rozdział 17

Okrzyk przerażenia Steenameerta dotarł do Tollera poprzez ciemne pokłady duszy, gdzie niewidzialne światy przemierzały swe orbitalne ścieżki. Każdy świat był ucieleśnieniem nowej osobowości, a któraś z nich przeznaczona była dla niego. Nie obchodziły go już sprawy poprzedniego wcielenia. Nieufny i lekko poirytowany pytał sam siebie, dlaczego ten młody człowiek wykrzykuje jego imię. Co takiego w najczarniejszych odmętach kosmosu mogło być na tyle ważne, że przeszkadzano mu w takiej chwili, gdy zapadały doniosłe decyzje co do jego losu?

Lecz działo się coś jeszcze! W otaczającym go ponurym krajobrazie rozpoczynała się jakaś bitwa. Potężne, zewnętrzne siły napierały na psychiczną soczewkę, której krzywizna decydowała o wszystkich aspektach przyszłości...

Uwolniony z umysłowego i fizycznego paraliżu Toller odrodził się dla świata zgiełku. Dziesiątki odzianych w czarne poszarpane stroje Dussarrańczyków pędziło w poprzek kopuły w stronę szklanej obudowy. Jakaś kobieta przenikliwie krzyczała. Obcy, których przed chwilą Toller zgniatał pod płytą, kulejąc uciekali w stronę swego przywódcy.

Otaczający dotąd Zunnununa, rozbiegli się do odległych części budynku.

– Chodźcie z nami! – Jakiś Dussarrańczyk pojawił się u boku Tollera i ciągnął go za ramię. – Jesteśmy waszymi przyjaciółmi!

Toller strzasnął z ramienia dłoń o szarych palcach. Obcy nie różnił się niczym od innych z tym wyjątkiem, że jego ubranie, upstrzone było w kilku miejscach ciemnozielonymi łatami w kształcie rombu.

– Przyjaciółmi? – Toller wykonał taki ruch, jakby chciał odtrącić obcego, ale odebrawszy telepatyczne wyjaśnienie zrozumiał, że grupa tych z łatami przywróciła mu jego osobowość. Wybór nie nastroczał żadnego problemu: zostać i stanąć twarzą w twarz z niepokonanym Dyrektorem Zunnununem albo schwycić tę niespodziewaną szansę wybawienia.

– Baten! – Toller dostrzegł, że Steenameert przygląda mu się z niepokojem. – Musimy im zaufać!

Stenameert skinął głową, podobnie jak niektóre z kobiet stojących za nim. Ludzie rzucili się do ucieczki razem z wybawcami. Drogę zastępowali im inni Dussarrańczycy wysypujący się z niezliczonych wejść do kopuły. Starli się z przeciwnikami i zapanaował niesamowity chaos, gdy ubrane na czarno ciała zwały się ze

sobą w groteskowych zmaganiach.

Toller szybko wprowadził odpowiednie poprawki w ocenie sytuacji, gdy zorientował się, że dussarrańskim sposobem walki wręcz było rzucanie się na przeciwnika, zwieranie się z nim rękami i nogami i powalanie na ziemię. Dokonawszy tego leżeli nieruchomo w parach, jak kopulujące owady, uniemożliwiając swoim przeciwnikom dalszy udział w zmaganiach. W bitwie nie używano żadnej broni. Obcy walczyli jak rozszoszczone dzieci i choć byli do siebie wrogo nastawieni, najwyraźniej brakowało im umiejętności unieszkodliwiania przeciwników. Toller odetchnął z ulgą, gdy stało się dla niego jasne, iż ani on, ani jego nowi sprzymierzeńcy nie zostaną unicestwieni w przeciągu kilku sekund krwawej konfrontacji. Zarazem jednak dostrzegł i negatywną stronę zaistniałej sytuacji. Zwycięstwo miała zapewnione liczniejsza gromada.

Po raz wtóry żałując, iż nie ma przy sobie szabli, Toller natarł na jednego z nieprzyjaciół, otaczających go z szeroko rozpostartymi ramionami. Powalił wroga na ziemię druzgocącym ciosem pięści, po czym, pałając żądzą mordy, nadepnął mu obcasem na kark, jednocześnie zwalając z nóg dwóch innych.

Kiedy poczuł, jak twarda tkanka zmienia się z chrzęstem w bezładną maź, z miejsca wiedział, że Dussarrańczyk jest martwy. Jednak znacznie bardziej dramatyczne potwierdzenie tego faktu nadeszło z otaczającego go kłębowiska ciał. Wszyscy bez wyjątku, sprzymierzeńcy i wrogowie, zaczęli więc się w konwulsyjnych drgawkach, jakby jakaś niewidzialna siła rozrywała ich od środka. Pary walczących rozpadły się, a powietrze wypełniło głośnie, udręczone zawrodozenie. Toller i pozostali Kolcorronianie stali się naraz jedyną ruchomą i w pełni sprawną siłą na tym dziwnym polu bitwy.

– Co się dzieje?! – zawołała zdezorientowana Jerene, zwracając jasne oczy na Tollera.

– Te wszystkie obdartusy przeżywają cierpienia, gdy jeden z nich umrze w pobliżu – odparł Toller, przypominając sobie, co Diviwidiv opowiedział mu o dziwnym telepatycznym proteście, jaki towarzyszy śmierci Dussarrańczyka. – Kłopot w tym, że podlegają temu także ci, którzy nam sprzyjają. Podnieście ich na nogi i zmuscie do biegu. Inaczej będziemy zgubieni.

Szóstka Kolcorronian od razu przystąpiła do pracy, wyłuskując obcych z zielonymi znakami, stawiając ich na nogi i zmuszając do biegu. Trzeba było ciągnąć lub popychać biedaków przez kilka jardów, nim ich kończyny zaczęły się same poruszać. Cała grupa przesunęła się pod sklepionym przejściem, weszła w korytarz i ruszyła niezdarnie w kierunku dwuskrzydłowych drzwi na jego końcu. Gromadka innych Dussarrańczyków, sprzymierzeńców, sądząc po strojach, oczekiwała na nich przy drzwiach sygnalizując, by się pospieszyli.

– Mam na imię Greturk. – Obcy, którego Toller prowadził przed sobą, obejrzał się i spojrzał mu w oczy, a jego słowa wypełniał lęk i wstręt. – Odebrałeś mi życie z rozmysłem! Zachowałeś się jak Vadavak! Czy nie masz żadnych l uczuć?

– Tak, czuję potężne pragnienie wydostania się stąd.

– Nie to miałem na myśli.

– Wiem, mówiłeś o refluksie. – Toller zaczął go mocniej popychać, by dodać wagi słowom. – Lepiej będzie dla ciebie, jeśli zrozumiesz, że z radością skreśliłbym kark tysiącu Dussarrańczykom, by osiągnąć cel. Przygotuj się zatem na jeszcze kilka refluksów na wypadek, gdyby zaatakowano nas ponownie.

Prawdopodobieństwo nowego ataku zmalało jednak, gdy dotarli do podwójnych drzwi, przez które przepchnęły ich niecierpliwe dłonie. Sine twarze obcych tańczyły wokół Tollera, wyłaniając się i ginąc w mroku, kiedy z korytarza wychynęli w ciemną noc, rozjaśnianą jedynie sztucznym oświetleniem. Światło czę-

ściowo dochodziło z fasad prostokątnych budynków, ale poza tym w powietrzu unosiły się całe jego bloki i niezliczone, różnokolorowe promienie, pomiędzy nimi dryfowały jaskrawe czerwono-żółte linie.

Toller nie miał czasu, by dokładnie przyjrzeć się tej egzotycznej scenerii, ponieważ kilka kroków dalej oczekiwał na nich jajowaty pojazd, większa wersja tego, który przywiózł jego i Steenameerta do kopuły. Miał wrażenie, że spód wehikułu nie dotyka ziemi. Okrągłe wejście ukazywało przyćmione wnętrze, skąd inni Dussarrańczycy ponaglali ich gestami. Toller zatrzymał się przy wejściu pomagając swoim ludziom i obcym sprzymierzeńcom wdrapać się do środka. W głębi korytarza pojawiała się coraz więcej obcych, najwidoczniej powróciła im ruchliwość. Pędzili w ich stronę jak trzepoczące czarne ptaki, chcące wzbić się w powietrze. Toller nie czuł strachu przed prześladowcami, których można było pokonać uśmiercając tylko jednego z nich, lecz martwiło go przekonanie, że Zunnunun ma zbyt dużą władzę, by udało się im utrzymać przez dłuższy czas zdobytą przewagę, że z pewnością w tym momencie Dyrektor przygotowuje się do kontrataku. Toller wskoczył do wnętrza owalnego pojazdu, powiększając jeszcze panujący tam ścisk. Wejście przestało istnieć i przyprawiające

O mdłości przeciążenie zasygnalizowało, że pojazd ruszył

I bezgłośnie nabiera wysokości. Toller nie widział ani pilota, ani stacji, z której pilot mógłby sterować pojazdem, i nagle doznał niesamowitego wrażenia, że dussarrański statek sam sprawuje kontrolę nad swoimi ruchami.

Próbował się rozejrzeć wokół, by upewnić się w swoim przekonaniu, gdy zorientował się, że tuż obok niego, w dusznym ścisku obcych i kolcorroniańskich ciał, stoi Yantara. Miała twarz bladą, przerażoną i nieruchomą, podobną raczej do tragicznej

maski prawdziwej kobiety i choć oczy patrzyły na niego, nie miał wcale pewności, że go widzi. Dziwnie speszony, spróbował wywołać na usta pogodny uśmiech.

– Odwagi, Yantaro – szepnął. – Przysięgam, że bez względu na to, co nas spotka, będę trwał u twego boku.

Minęła dziwna, ponadczasowa chwila, gdy wzrok Van-tary błędził po jego twarzy, i naraz – dla Tollera był to jakby doskonały wschód słońca – odwzajemniła uśmiech. – Tollerze! Mój drogi Tollerze! Wybacz, że nie byłam...

– Nic nie mówcie! – Greturk, stojący obok Tollera, przerwał telepatycznym ostrzeżeniem. – Nie myślcie o tym, co się dzieje, bo wtedy łatwo nas wysledzą. Spróbujcie zapomnieć, kim i czym jesteście. Spróbujcie uwierzyć, że nie jesteście niczym więcej, niż bąbelkami powietrza unoszącymi się w ogromnym kotle z wrzącą wodą, sunącymi w prawo i w lewo, wirującymi i tańczącymi w nieprzewidywalnych kierunkach.

Toller przytaknął i zamknął oczy. Był pęcherzykiem unoszącym się w ogromnym kotle, poruszającym się tu i tam, po niebezpiecznych i nieprzewidywalnych ścieżkach.

Tak mocno zaabsorbowało go utrzymywanie umysłowej dyscypliny, eliminujące wszelkie konkretne myśli, iż prawie nie zauważył, kiedy pojazd się zatrzymał. W jednym momencie stał wyprostowany, nie będąc w stanie wykonać żadnego ruchu z powodu ścisku, a w następnym chwiał się lekko w pustej przestrzeni, gdy Dussarrańczycy znikali w otworze wyjściowym, który ukazał się w ścianie pojazdu. Nie odbierał żadnych werbalnych sygnałów telepatycznych, lecz głowę wypełnił mu pulsujący pośpiech. Powietrze samo w sobie wydawało się drżeć wprawiane w ruch przenikliwym, panicznym strachem.

– Musicie szybko opuścić pojazd – nadeszła bezgłośnie wiadomość od Greturka, jedyne obcego pozostającego jeszcze w

jajowatym statku. – Mamy bardzo mało czasu.

– Co tu się dzieje? – wtrąciła Jerene, nim Toller zdążył zadać to samo pytanie.

Czarne usta Greturka wykrzywił grymas.

– Znajdujemy się w środku konfliktu domowego, można powiedzieć, że wojny domowej, pierwszej od tysięcy lat.

– Wojny domowej! – powtórzył Toller. – Dlaczego w takim razie zajmujecie się kilkoma postronnymi istotami, takimi jak my?

– Może to was zdziwić, lecz ty i reszta twoich przyjaciół stanowicie centrum kontrowersji, dzielącej społeczeństwo dussarrańskie.

Toller zamrugał powiekami.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że decydujący za projekt Xa wyjaśnił ci główne powody, dla których jesteśmy obecni w tej części galaktyki. Ile z tych informacji utkwilo ci w pamięci?

– Mówił coś o ropach – odparł Toller marszcząc brwi. -O eksplozji, mającej zniszczyć dziesiątki galaktyk...

Steennameert odchrząknął i podszedł bliżej.

– Powiedziano nam, że to morze kryształu... ten Xa, jest maszyną, przy pomocy której wasza ojczysta planeta zostanie wystrzelona do odległej galaktyki, gdzie będziecie bezpieczni przed skutkami eksplozji.

– Wprawiacie mnie w zdumienie – odparł Greturk spoglądając to na Tollera, to na Steennameerta, wskazując jednocześnie na wyjście z pojazdu. – To niezwykle, że rasa na waszym poziomie rozwoju jest w stanie przyswoić sobie pojęcia tak odległe od pierwotnej, opartej na mitach wizji.

– Nie lubimy, gdy nazywa się nas Pierwotnymi – warknął Toller. – Diviwidiv doświadczył tego na własnej skórze.

– I pewnie dlatego nie wyjawiał wam informacji, która, jak

przewidywał, wywołałaby groźną reakcję z waszej strony.

– Mów, co to za informacja! – Toller spojrział gniewnie w szarą twarz obcego. – Mów albo będę zmuszony...

– Nie ma potrzeby, byś na mnie krzyczał, Tollerze Marquine – odpowiedział Greturk. – Byłem przeciwny projektowi Xa od dnia jego narodzin. Nie poczuwam się do winy, zatem nie widzę powodów, dla których nie miałbym wyjawić wam, że w momencie, gdy Dussarra zostanie przeniesiona do docelowej galaktyki, wasza ojczysta planeta i sąsiadująca z nią... przestaną istnieć.

Rozdział 18

Podobnie jak pozostałych Kolcorronian, Tollera tak ogłuszyły słowa Greturka, że mimo drobnej budowy obcy z łatwością pchnął go i wyprowadził z pojazdu. Na zewnątrz panowała ciemność poprzecinana, tak jak uprzednio, błyszczącymi, kolorowymi liniami i zakrzywionymi na kształt stożka kolumnami, nad którymi unosiła się tafla zielonej poświaty. Nie zwracając uwagi na otoczenie, Toller zatrzymał Greturka, chwytając go za ramię. Pozostali otoczyli ich ciasno.

– Dlaczego? – dopytywał się, używając słów raczej z przyzwyczajenia, gdyż telepatyczna komunikacja była doskonale zrozumiała, a każdemu słowu towarzyszyły wzmacniające je war-

stwy znaczeń. Kolcorronianie wiedzieli, że na ojczystą planetę zapadł wyrok śmierci, lecz ich umysły nie były w stanie oswoić się „z tą myślą.

Greturk na próżno próbował uwolnić się z uścisku Tollera.

– Teraz najważniejsze, byśmy się pospieszyli.

– A jeszcze ważniejsze, byś się jasno wytłumaczył – odpowiadał Toller, nie ruszając się z miejsca. – Dlaczego Overland ma zostać zniszczony?

Otoczone ciemnymi plamami oczy Greturka omiotły całą grupę i Toller z miejsca zorientował się, że poddadzą ich temu dziwnemu rodzajowi telepatii, kiedy w jednej chwili wszczepiano głęboko w umysł wiele faktów i tak, jak kiedyś w rozmowie z Diviwidivim, poczuł jak mózgowy promień o natężeniu światła latarni morskiej począł obracać się w jego świadomości...

– Kiedy bliźniacze planety obracają się wokół wspólnego środka ciężkości, dyskoidalne urządzenie zwane Xa wiruje wraz z nimi. Dwa razy w ciągu jednego pełnego obrotu oś Xa przecina dokładnie ojczystą planetę Dussarrańczyków: raz, kiedy przenika przez Land, a raz kiedy przenika przez Overland. Właśnie w jednym z tych momentów doskonałego wyrównania Xa zostanie uruchomiony, czyniąc z Dussarry ognisko supergeometrycznych energii, a te przeniosą planetę do docelowej galaktyki. W tym samym momencie Land i Overland przestaną istnieć w tym układzie. Ponieważ Overland ma mniejszą masę, impuls przeniesienia zostanie skierowany przez nią w nadchodzącym ogniskowaniu, które nastąpi za niecałe dziesięć minut. Jeśli mamy zapobiec przenosinom, a co za tym idzie, uratować wasze ojczyste planety, musimy działać jak najszybciej. Dyrektor z pewnością pośle za nami Vadavaków. PUŚĆ MNIE NATYCHMIAST I PODAŻAJCIE ZA NAMI.

Moment zjednoczenia dobiegł końca i Toller, zupełnie

przekonany, że to – co usłyszał, jest prawdą, popędził za małym Dussarrańczykiem. Kierowali się w stronę okręgu chylących się do wewnątrz kolumn, których czubki ginęły w zielonym ogniu. Yantara trzymała go za lewą rękę, Steenameert zaś biegł u jego prawego boku dotrzymując kroku Jerene. Trzej szeregowcy, Tradlo, Mistekka i Ar-vand, sunęły tuż za nimi, a z ich ponurych, napiętych twarzy jasno wynikało, że zrozumiały, co powiedział im Greturk. Błyszczące bloki i krzyżujące się świetliste linie potęgowały otaczającą ich ciemność, lecz w jakiś sposób Toller wiedział o toczącej się bezgłośnie bitwie. Setki, a może tysiące odzianych na czarno Dussarrańczyków szepiło się ze sobą w tym dziwnym, typowym dla nich stylu walki wręcz, krępując się nawzajem i osadzając w miejscu, a każdy z nich zadowalał się unieruchomieniem swego antagonisty.

– Dlaczego to robisz! – krzyknął Toller w kierunku pleców Greturka, dając upust ciekawości kumulującej się w zakątkach jego umysłu od momentu ucieczki z kopuły. -Co cię obchodzi, że giną inni?

I znów wirujący promień umysłowej światłości, lecz tym razem szybszy. Wpłynęła migotliwa wiedza... jak strzał z bicia...

– Od dawna już dussarrańskie społeczeństwo rozdziera wewnętrzny konflikt w kwestii przenoszenia planety. Pomimo przeróżnych oświadczeń z Pałacu Liczb na temat ropów wielu obywateli zawsze wątpiło w ich rzeczywiste istnienie. Dopuszczamy słuszność innych interpretacji danych z sond kosmicznych. W każdym razie naszym zdaniem między-galaktyczne przenosiny są posunięciem zbyt pochopnym w danej sytuacji. Niestety nie udało się nam przekonać Dyrektora Zunnununa do naszego punktu -widzenia ani zyskać poparcia większości społeczeństwa. „

Wydawało się, że przeniesienie nastąpi bez jakiegokolwiek społecznego oporu i wtedy rozeszły się pogłoski, że jedną z planet

zamieszkuje rasa humanoidalna. Dyrektor Zunnunun starał się zapobiec rozprzestrzenianiu się tej plotki i nalegał, by stację Xa skonstruowano w sposób umożliwiający kontrolowanie jej przez jednego decydenta.

Jego plan miał wszelkie szansę powodzenia, gdyby nie jedno nieprzewidziane wydarzenie. Otóż z konieczności Xa musiał zostać wyposażony w pewien rodzaj świadomości, by kontrolować własny rozrost. Lecz technologowie nigdy wcześniej nie budowali podobnego urządzenia na taką skalę. Jakie też było ich zdumienie, kiedy osiągnąwszy pewien poziom skomplikowania, Xa wykształcił samoświadomość, osobowość i zaczął obawiać się unicestwienia. Podczas niedostatecznie zabezpieczonych rozmów między Xa a decydem Divivdivim, adepci z Dussarry ustalili ponad wszelką wątpliwość, że w wyniku przeniesienia unicestwiona zostanie pączkująca cywilizacja – i to wystarczyło, by zjednoczyć i zmobilizować siły partii opozycyjnych.

Telepatyczną komunikacją w umyśle Tollera umieszczono mnóstwo suchych informacji jak ziarenek piasku, gorejących odzieniami niepokoju i pośpiechu. Ogarnęła go rozpacz, jakby zbyt szybko upływał czas, jakby zatrzaśnięto mu przed nosem niewidzialne drzwi do wielkiej szansy. Toller spróbował przyspieszyć, by zrównać się z Greturkiem, ale obcy biegł chyżo i z łatwością utrzymywał się na czele. Znajdowali się teraz jakieś czterdzieści kroków od stożkowatych kolumn i Toller dostrzegł, że wewnątrz okręgu czekają inni naznaczeni zielenią obcy. Było ich co najmniej sześciu, niektórzy machali ponagłajaco w ich stronę, pozostali usiłowali przesunąć białą skrzynkę wielkości małego biurka.

– Dlaczego biegniemy! – zawołała zdyszczym głosem pędząca za Tollerem kapral Tradlo. – Co zyskamy... tym morderczym biegiem... jeśli i tak już nic nie można zrobić?

„Dobre pytanie” pomyślał Toller. Przyszło mu na myśl, że

nie ma przecież najmniejszego sensu uciekać za pomocą przekaźnika materii na planetę, która za chwilę zostanie unicestwiona.

– Możemy wiele zrobić – nadeszła odpowiedź Greturka. – Problem w tym, że musimy to zrobić odpowiednio szybko.

– Co możemy zrobić? – pytanie to wyrwało się jednocześnie z ust kilku Kolcorronian.

– Ten biały przedmiot, wnoszony przez moich braci w tej chwili na płytę przekaźnika, jest uproszczoną wersją maszyny, która przeniosła naszą planetę w jej obecne położenie. Nasz plan polega na tym, by przenieść go na Overland i z jego pomocą przesunąć planetę o niewielką odległość. Kilkadziesiąt mil wystarczy, by doprowadzić do destabilizacji Xa, co pociągnie za sobą przemieszczenie się jego osi. W takich warunkach przeniesienie Dussarry nie będzie wykonalne.

Toller zatrzymał się gwałtownie na obrzeżu oświetlonego na zielono okręgu i wbił wzrok w białą skrzynkę.

– Jak takie coś może poruszyć całą planetę? – spytał z powątpiewaniem. – Przecież to jest o wiele za małe.

Nawet w tej chwili niesamowitego pośpiechu w odpowiedzi Greturka zabrzmiała nutka ironicznego rozbawienia.

– A jaki duży musi być punkt podparcia, Tollerze Maraquine?

Zanim Toller zdołał odpowiedzieć, dokładnie nad jego głową rozległ się ogłuszający pomruk, a wysoko w podniebnych ciemnościach ukazały się zakrzywione rzędy świateł. Pozostawały one w pozycji nieziennej względem siebie sprawiając wrażenie, jakby należały do olbrzymiego statku powietrznego, który unosił się w” górze. Paraliżujący pomruk wzrastał się i cichł w coraz szybszym tempie, chłoszcząc dźwiękowymi torturami umysł i ciało.

– Biegnijcie na środek płyty! – Greturk miotał się i tańczył

wokół grupy Kolcorronian jak opiekuńczy ptak, popędzając ich, by się ruszyli. – Nie mamy już czasu.

Wciąż trzymając dłoń Yantary w swojej, Toller wstąpił na okrągłą płytę wykonaną z miedziopodobnego materiału o średnicy jakichś dziesięciu kroków. Steenameert wraz z trzema szeregowcami stanęli tuż obok niego, dołączając do gromadki obcych, tłoczących się wokół białej skrzynki.

I nagle, zupełnie bez żadnych fizycznych doznań, wykonali międzyplanetarny skok.

Widok upstrzonej jaskrawymi światłami nocy na Dussarze rozplynął się w jednej chwili i grupę podróżników otoczyły nieprzeniknione ciemności. „To niemożliwe” pomyślał Toller oniemiały z wrażenia i dopiero wtedy uświadomił sobie, że choć zmuszony był przyjąć pojęcie teleportacji rozumowo, w głębi serca czaiło się przekonanie, że nie jest ona wykonalna. Nie poczuł w ciele żadnego ukłucia, żadnego mrowienia, które mogłoby zaświadczyć, że przebył miliony mil, a jednak... Krótkie spojrzenie na bogato zdobione niebo bliźniaczych planet upewniło go, że stoi na spokojnych łąkach swojego ojczyznoświata.

Wyrósłszy na Overlandzie, spędziwszy większość dorosłego życia na przemierzaniu jego powietrznych przestrzeni, Toller posiadał niemal instynktowną umiejętność posługiwania się bliźniaczą planetą jak zegarkiem czy kompasem. Zerknąwszy przelotnie na Land tkwiący w centralnym punkcie nieboskłonu zorientował się, iż znajdują się na równiku Overlandu, nie więcej niż pięćdziesiąt mil od stołecznego miasta. Ogromny dysk Landu był niemal równo podzielony na dzień i noc, i wskazywał, że niedługo wstanie świt, co potwierdzało słowa Greturka o czasie przeniesienia Dussarry.

Kiedy na powrót skupił uwagę na bardziej przyziemnych sprawach, dostrzegł w szarym świetle nadchodzącego poranka kilku obcych klęczących na białej skrzynce. Otworzyli małe

drzwiczki w jednej ze ścianek, a któryś pospiesznie regulował coś w jej wnętrzu. W chwilę później obcy zatrzasnął drzwi i zerwał się na nogi.

– Przenośnik został włączony i zadziała za cztery minuty – Rozprostował ramiona i zaczął zagarniać nimi gwałtownie, a znaczenie tego gestu Kolcorronianie zrozumieli w mig bez telepata. – Wycofujemy się do linii bezpieczeństwa.

Cała grupa popędziła jak najdalej od maszyny. Toller czuł, jak małe dłonie popędzają go do biegu. Dussarrańczycy pomimo swego koszmarnego wyglądu okazali się pierwszej wody altruistami. Posunęli się niemal do ostateczności, narażając się na niewyobrażalne niebezpieczeństwa, a wszystko jedynie po to, by uratować zupełnie nie znaną sobie cywilizację. Toller był świadom, że on nie zachowałby się tak w podobnej sytuacji i zniechęca poczł w stosunku do nich przyplływ zmieszanych uczuć szacunku i sympatii. Biegł razem ze wszystkimi zgubiwszy gdzieś po drodze Yantarę i zatrzymał się, kiedy i inni zwolnili, jakieś sześćdziesiąt jardów od tajemniczego białego sześcianu.

– Czy to wystarczająco daleko? – spytał Greturka, starając się wyobrazić sobie moment wyzwolenia sił o takiej mocy, że poruszą planetą ociężale sunącą przez czas i prze-trzeń na cienistej orbicie, masywną i zadowoloną z siebie.

– Teraz znajdujemy się w bezpiecznej odległości – odparł Greturk. – Gdyby przenośnik zbudowano legalnie i bez tak wielkiego pośpiechu, opatrzone by go osłoną. Powinien mieć jeszcze szeroko rozstawione pręty, żeby udaremnić wszelkie próby jego odwrócenia. Przyśpieszając czas przeniesienia, Dyrektor Zunntmun zmusił nas do uproszczenia jego konstrukcji.

Toller zmarszczył brwi, wciąż oszołomiony nawalem nowych pojęć.

– Co stałoby się z człowiekiem, który znajdowałby się zbyt

blisko przenośnika w momencie, gdy zdarzy się to, co ma się zdarzyć?

– Nastąpiłoby zderzenie geometrii. – Oczy Greturka zabłyśły jak dwa księżycy w bladym świetle poranka. – Atomy ciała zostałyby pocięte na miliard miliardów kawałeczków...

– Mówiono mi, że mój dziadek zginął w ten sposób -rzekł Toller zduszonym głosem. – Śmierć musiała nastąpić natychmiast... i bezboleśnie, ale nie sądzę, bym pragnął naśladować go aż do tego stopnia.

– Jesteśmy bezpieczni, stojąc w takiej odległości od maszyny – odparł Greturk rozglądając się wokół. – W każdym razie bezpieczni od skutków działania urządzenia.

– Ile czasu pozostało do momentu, gdy Xa zostanie uruchomiony?

Greturk nie sprawdził tego na żadnym chronometrze, jednak jego odpowiedź nadeszła natychmiast.

– Prawie siedem minut.

– A pozostały trzy minuty, aż to coś, ten przenośnik, zrobi, co do niego należy. – Toller odetchnął głęboko z satysfakcją i zerknął na resztę towarzyszy. – Wygląda na to, że jesteśmy bezpieczni. Jak myślicie, moi drodzy współbracia? Powinniśmy zacząć przygotowywać się do uczczenia naszego ocalenia?

– Z chęcią spełnię kilka pucharów ciemnego Kailiana -zawołał ochoczo Steenameert, a pozostali, pod cichym spojrzeniem obcych, wzniesli radosny okrzyk, machając rękami na znak zgody.

Radość Tollera była pełna, gdy Yantara zbliżyła się do niego i wtuliła swoją dłoń w jego. Jej twarz w rozpalającym się świetle przedświtę była nieziemsko piękna i Toller poczuł nagle, że całe jego życie nie było niczym więcej, jak preludium do tego momentu najwyższego spełnienia. Stawił czoło wyzwaniu godnemu praw-

dziwego Tollera Maraquine, bez mrugnięcia okiem wykonał, co należało, a teraz nadszedł czas nagrody.

– Tak pochłonęło mnie gratulowanie sobie, że zapomniałem zupełnie o tobie i twoich towarzyszach, którym tyle zawdzięczamy – rzekł do Greturka. – Czy będziecie mogli bezpiecznie powrócić na Dussarre?

– Powrót do domu może przysporzyć nam trochę kłopotów, lecz w tym momencie obawiam się czegoś o wiele poważniejszego. – Greturk nadal bacznie obserwował otoczenie, jakby spodziewał się, że za każdym ledwo widocznym źdźbłem trawy może czaić się śmiertelny wróg. – Boję się, że Dyrektor Zunnunun napuści na nas Vadavaków. Oczywiście zrobiliśmy, co w naszej mocy, by utrudnić pościg, lecz Zunnunun dysponuje środkami znacznie przewyższającymi nasze.

– Któż to są ci Vadavakowie? – spytał Toller. – Czy to dzikie bestie, którym nie można się wymknąć?

– Nie. – Myśli Greturka tonęły w czymś bardzo zbliżonym do zakłopotania. – Są to Dussarrańczycy urodzeni z poważnymi uszkodzeniami części mózgu odpowiedzialnej za percepcję i komunikację. Nie są oni zdolni bezpośrednio komunikować się z innymi Dussarrańczykami. Upośledzenie to jest dla nas czymś takim, jak dla was głuchota.

– Lecz dlaczego powinniśmy się ich obawiać?

– Vadavakowie nie przeżywają refluksu. Mogą zabijać.

– To znaczy – rzekł Toller, zaczynając rozumieć powód zakłopotania Greturka – że są tacy jak ja.

– Dla normalnego Dussarrańczyka odebranie komuś życia jest najgorszym okropieństwem.

– Chyba jest to spowodowane bardziej lękiem przed refluksem niż zasadami etycznymi. – Toller dobrze wiedział, że może urazić obcego, który tak wiele zrobił dla więźniów, lecz nie

był w stanie zdusić w sobie tych słów. -Ostatecznie wy, szlachetni Dussarrańczycy, wcale sprawnie przygotowaliście unicestwienie całej ludności mojej ojczystej planety. Czy to nie obraża waszej delikatnej wrażliwości? Czy wolno zabijać, dopóki robi się to podczas kosmicznej przeprowadzki?

– Wielu z nas zaryzykowało życie, by uchronić was od śmierci– odparował Greturk. – Nie twierdzimy, że jesteśmy doskonali, ale...

– Wybacz mi niewdzięczność i szorstkie obyczaje – uciął Toller. – Posłuchaj, jeśli tak bardzo lękasz się, że ci Vadavakowie wypełną za chwilę z nicości, to czy nie możesz przestawić regulatora przenośnika tak, by zadziałał wcześniej? Czekanie przez cztery minuty rzeczywiście może być męczące.

– Wybraliśmy cztery minuty wzięwszy pod uwagę takie czynniki, jak wycofywanie się przez trudny teren. Teraz, kiedy maszyna została uruchomiona, nie można ani przyspieszyć, ani zwolnić jej wewnętrznych procesów. Nie można też wyłączyć urządzenia i przywrócić do stanu inercji.

Steenameert, który bacznie przysłuchiwał się rozmowie, podniósł rękę.

– Jeśli ta maszyna jest odporna na wszelkie zakłócenia, jeśli nie można jej wyłączyć, to czy nie jesteśmy już na wygranej pozycji? Czy nie jest już za późno, by wróg mógł nas pokonać?

– Gdybyśmy mieli wystarczająco dużo czasu, moglibyśmy uczynić przenośnik odpornym na wszelkie zakłócenia. – Powieki Greturka drgały przez chwilę. – A tak można go zneutralizować zwyczajnie przewracając na bok.

– Co?! – Steenameert rzucił Tollerowi zdumione spojrzenie. -1 to wystarczy, by ta maszyna przestała działać.

Greturk potrząsnął głową w zadziwiająco ludzki sposób.

– Wewnątrz przenośnika nic się nie zmienia, ale jeśli nie bę-

dzie stał poziomo, a oś oddziaływania nie będzie przechodzić przez lub w pobliżu środka planety, jego energia napędowa zostanie zmarnowana.

– Ja... – Toller urwał, gdyż niemal niewyczuwalny powiew chłodu wtargnął do jego umysłu, uczucie niepokoju tak słabe, tak przelotne, że mogło być wytworem jego wyobraźni. Uniósł głowę i przerywając dyskusję przyjrzał się otoczeniu. Zdawało się, że nic się nie zmieniło. Trawiasty płaskowyż ciągnął się aż po horyzont, którego regularną linię załamywały na północy niewielkie wzgórza. Niedaleko, w szarym poblasku świtu błyszczała łagodnie biała obudowa przonośnika. Grupa Kolcorronian i Dussarrańczyków wyglądała dokładnie tak jak przedtem, a jednak Toller odczuwał niejasne zaniepokojenie.

Bezwiednie zerknął w niebo i dokładnie na środku Landu dostrzegł stykającą się niemal z terminatorem oddzielającym ciemną półkulę planety, żółtą pulsującą gwiazdę. Zorientował się, że patrzy na Xa wiszącego tysiące mil w górze.

W tym samym momencie dobiegł go słaby telepatyczny głos – pełen napięcia, wymęczony i bezbronny – głos, który spływał z zenitu.

– Dlaczego mi to robisz, Ukochany Stwórco? Proszę, błagam, nie zabijaj mnie.

Czując się jak intruz, Toller powiedział cicho do Greturka:

– Xa jest... nieszczęśliwy.

– Dla nas wszystkich dobrze się złożyło, że wzrastająca świadomość Xa umożliwiła mu... – Greturk zadrzał nagle jakby w spazmie bólu i zwrócił się ku wschodowi.

Pozostali Dussarrańczycy uczynili podobnie. Toller podążył za ich wzrokiem i serce zabiło mu mocniej, gdy spostrzegł, że na uprzednio pustym płaskowyżu mrowi się około pięćdziesięciu odzianych w biel osób. Znajdowali się w odległości czterystu jar-

dów, a nad nimi unosiła się rozmazana elipsa zielonkawego światła.

– Vadavakowie! – Greturk postąpił krok do tyłu. – I to tak blisko.

Toller wlepił wzrok w Greturka.

– Czy są uzbrojeni?

– Uzbrojeni?

– Tak! Uzbrojeni! Czy mają przy sobie broń? Greturk zaczął się trząść, lecz jego telepatyczna odpowiedź była wyraźna i logiczna.

– Vadavakowie wyposażeni są w osłabiacze, przyrządy do korekcji społecznej specjalnie zaprojektowane przez Dyrektora Zunnununa. Są to czarne pałki z błyszczącymi czerwonymi zakończeniami. Najmniejszy kontakt z takim zakończeniem powoduje przenikliwy ból i paraliż na kilka minut.

– Słyszałem o bardziej przerażających rodzajach broni – parsknął Toller i ścisnął dłoń Yantary, a potem puścił ją i położył rękę na ramieniu Steenameerta w geście zachęty. – Co myślisz, Batenie? Damy nauczkę tym nachalnym karłom?

– Zetknięcie z jednym z osłabiaczy powoduje ból i paraliż – dodał Greturk. – Vadavakowie trzymają po jednym osłabiaczu w każdej ręce. A kontakt z dwoma jednocześnie powoduje ból i śmierć.

– O, to już poważniejsza sprawa – rzekł Toller trzeźwo, wpatrując się w rozmazaną plamę bieli, jak dotąd stanowiącą jedyną oznakę obecności nieprzyjaciela. – Jak szybko następuje śmierć?

– Po pięciu, może dziesięciu sekundach. To zależy od wielkości i siły osobnika.

– W dziesięć sekund można wiele zdziałać – odparł Toller, czując suchość w gardle, gdy spostrzegł, że Vadavakowie ruszyli

już w ich stronę. – Gdybym tylko...

– Twoja szabla jest w posiadaniu Dyrektora Zunnununa i nigdy już jej nie odzyskasz, ale jeden z naszych tak ją zholografował, że możliwe było wykonanie kopii. – Greturk skinął na któregoś z Dussarrańczyków, a ten podszedł dźwigając zrobiony z jednolitego materiału worek. – Mieliśmy nadzieję, że Vadavakowie nigdy nas nie dogonią i w takim przypadku zniszczylibyśmy je, nawet wam nie pokazując. Ale teraz nie mamy wyjścia.

Dussarrańczyk otworzył worek i Toller poczuł przyływ dzikiej radości na widok siedmiu szabel o wyraźnym, starokolcorroniańskim wzorze.

– Tylko ostrożnie – ostrzegł Greturk. – Nie dotykajcie ostrzy gołymi dłońmi. Mają one monomolekularne krawędzie, które nigdy się nie stępią i zagłębią się w ciele z łatwością, jakby wchodziły w świeży śnieg.

– Szable! – Okrągła twarz Jerene przybrała gniewny grymas. – Czego wy się spodziewacie po tej kolekcji antyków? Nie mogliście skopiować naszych pistoletów?

Geturk ponownie potrząsnął głową.

– Nie było czasu... nie mogliśmy wyraźnie dostrzec ich wewnętrznych mechanizmów. Wszystko, czego można było dokonać, dysponując tak ograniczonym czasem, to uzyskać pięć pomniejszych wersji szabli dla mniejszych i słabszych osobników żeńskich waszej rasy.

– To bardzo ładnie z waszej strony – wypaliła Jerene sarkastycznie. – Lecz może zaciekawia was, że żadna z tutaj obecnych kobiet nie..

– Nieprzyjaciel się zbliża! – krzyknął co tchu w piersi Toller. – Będziemy się sprzeczać, czy idziemy walczyć?!

Ruchem ręki wskazał na pobłyskujące w szarości białe plamki. Nacierający Vadavakowie rozrastali się w oczach, stawali

się coraz więksi jako grupa i każdy z osobna. Wyrastały im nogi, ręce, twarze, nieśli ze sobą zdolność do zadawania śmierci. Zza horyzontu wystrzelił promień wschodzącego słońca jak strumień oślepiającego ognia, rozlewając proroczą, melodramatyczną poświatę po naturalnej arenie, na której miały się ważyć losy trzech światów.

Toller wybrał jedną z szabel z worka i balansował nią, by upewnić się, czy machinacje obcych nie zepsuły jej wyważenia. Z doskonale sobie znaną bronią w dłoni od razu poczuł się różnie, ponownie zawitał w nim duch dziadka. Mimo to nie zniknął niepokój, jak tego chciał i oczekiwał. Siedmiu Kolcorronian, z których tylko jeden potrafił posługiwać się szablą, miało stawić czoło co najmniej pięćdziesięciu dobrze uzbrojonym obcym. Bez wątpienia jego legendarny imiennik zacierałby tylko ręce z radości – lecz bez względu na to, ile wizji nadchodzącej bitwy dzisiejszy Toller wycharował w wyobraźni, nie było żadnej, w której nikt z towarzyszy nie poniósłby śmierci. Niektórzy, jeśli nie wszyscy, musieli umrzeć i Toller nie widział w tym żadnej chwały. Było to poniżające, bezlitosne, deprymujące, obrzydliwe i przerażające.

Jeśli jednak nie uda się im obronić dussarrańskiej maszyny przez następne trzy do czterech minut, do momentu, gdy wykona ona swe doniosłe zadanie, to wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci na Overlandzie zostaną unicestwieni przez niewyobrażalny impuls energii. I właśnie to – bardziej niż wszystko inne – musiało być jedyną prawdą, która będzie kierować jego działaniem podczas nadchodzącej próby.

Omiótł wzrokiem grupę swoich wojowników, zastanawiając się, czy jego twarz jest tak samo blada. Trzymali szable w dłoniach i spoglądali na niego, a ich oczy zdawały się wyrażać ślepą wiarę w jego dowództwo. Ufność, z jaką składali w jego ręce swój los, była spuścizną tych czasów, kiedy chełpił się i przechwalał swoją nie-

ugiętością w boju i teraz zadrżał na myśl o odpowiedzialności, jaką wziął na swoje barki. Wszyscy wiedzieli, że staną oko w oko ze śmiercią, bali się i w tym momencie najcięższej próby pokładali w nim nadzieję. Prawdopodobnie był teraz dla nich podporą i na myśl, jak jest niegodny, ogarnął go żal i poczucie winy.

– Jeśli wyjdziemy na spotkanie nieprzyjacielowi, zdoła nas oskrzydlić i przewrócić maszynę. Usłyszał siebie, jak przemawia stanowczym i pewnym głosem. – Musimy stworzyć linię obrony na obwodzie linii bezpieczeństwa i przyrzec sobie uroczyście, że żaden z Vadavaków się przez nią nie przedrze. Wiele jest rzeczy, które chciałbym powiedzieć. – Oczy Toller a przelotnie spotkały się z oczami Yantary i musiał stłumić pragnienie, by wyciągnąć rękę i dotknąć jej twarzy. – Lecz nie ma na to czasu. Najpierw musimy wykonać zadanie.

Obrócił się na pięcie i pobiegł na ukos, by odgrodzić przenośnik od Vadavaków. W chwilę potem reszta Kolcorronian zajęła pozycje po obydwu jego bokach w odstępach, które, jak przeczuwali instynktownie, będą w stanie ochraniać szablami. Vadavakowie znajdowali się teraz zaledwie sto jardów od nich i biegli szybko, a odgłos ich stóp śmigających wśród trawy dochodził wyraźnie do linii obrony. Przed nimi tańczyły czerwone punkciki światła.

Toller mocniej ścisnął szablę, gdy dostrzegł, że wrogowie zamiast zwykłych strojów dussarrańskich mają białe hełmy i zbroje. Te ostatnie zrobione były z błyszczącego materiału nie krępującego ruchów, mimo że pokrywał tułów i kończyny. Sine twarze wyzierające z hełmów nadawały atakującemu wygląd armii trupów, niestrudzonych, bo już martwych.

Toller wznosił szablę do cięcia i czekał.

– Błagam cię, Ukochany Stwórco. – Słowa Xa spływały z bezkresu nieba. – Nie zabijaj mnie.

Jeden z Vadavaków wysforował się naprzód, mianując się pierwszym przeciwnikiem Tollera, i sunął z dwiema czarnymi pałkami wystawionymi do przodu jak żądła. Obcy musiał być przyzwyczajony do atakowania jedynie potulnych i bezbronnych, gdyż rzucił się na Tollera odkrywając głowę i tułów. Toller ciął go w wąską szyję, obcy zwałił się na ziemię w fontannie tryskającej krwi, a jego głowę łączył z resztą ciała tylko wąski pasek tkanki. Pałki upadły u stóp Tollera.

Toller przydepnął karmazynowe światełka na ich końcówkach, a potem z rozpędu wpadł na dwóch następnych Vadavaków. Najwyraźniej los, jaki spotkał ich kompana, nie nauczył ich niczego, gdyż trzymali się blisko siebie z osłabiaczami w wyciągniętych dłoniach. Odciał im ręce poniżej ramion dwoma ukośnymi cięciami, przecinając białą zbroję, jakby była zrobiona z papieru. Obcy opadli na kolana, rozwierając usta w niemym okrzyku agonii i wryli się kikutami ramion w ziemię.

Toller już o nich zapomniał, gdyż przestali być przeciwnikami. Powiódł wzrokiem po linii obrony. Vadavakowie rzucali się do walki z nie słabnącym uporem i zaciętością, jednak Toller z radością spostrzegł, że nie położono trupem żadnego Kolcorro-nianina. Brak doświadczenia w operowaniu szablą rekompensowała niezwykła ostrość kling, tak więc Vadavakowie padali jak muchy. Linia obrony zatraciła swą regularność, lecz wciąż pozostawała nienaruszona, a białą falę obcych intruzów znaczyły czerwone plamy.

„Czy to możliwe?” zastanawiał się Toller. „Czy mimo wszystko ujdziemy z życiem? Pozostało bardzo niewiele czasu, nim przerośnik wykona swe zadanie, a jeśli Vadavakowie będą na tyle głupi, by nie zmienić taktyki...”

Kątem oka dostrzegł migoczącą białą plamkę obcego, który przedarł się przez linię obrony i ruszył pędem do prostokątnego

przenośnika. Toller drgnął i popędził, by zagrozić mu drogę mniej więcej w połowie kręgu bezpieczeństwa. Ślizgając się na trawie obcy zatrzymał się i zwrócił do Toller a, a mlecze kulki jego oczu zabłyśły spod krawędzi hełmu. Jedną z pałek osłabiacza dzierzył tak, jak trzyma się miecz. Starał się dosięgnąć ręki Tollera zbrojnej w szablę.

Toller uporał się z nim ukośnym cięciem, pozbawiając osłabiacz świecącej końcówki. Obcy cisnął go na ziemię, przerzucił drugą pałkę do prawej ręki i, najwyraźniej bez cienia strachu, podjął pojedynek. Świadom, że znajduje się w zasięgu działania śmiertelnych promieni przenośnika, Toller zdecydował się zakończyć sprawę szybko i zasypał przeciwnika gradem nieprzerwanych ciosów. Właśnie miał zadać decydujące pchnięcie, gdy usłyszał jakiś dźwięk tuż za swoimi plecami. Okręcił się na pięcie w samą porę, by ujrzeć innego Vadavaka, który pędził z osłabiaczem wymierzonym w jego brzuch. Toller starał się wywinąć jarzącej się złowróźnie końcówce, lecz nie uniknął zetknięcia i poczuł nagły ból w piersi. Opadł na kolana próbując złapać oddech, a jego dwaj przeciwnicy przestali się spieszyć, najwyraźniej smakując tę chwilę triumfu, i przystąpili do niego z wzniesionymi w górę czarnymi pałkami.

Ostrzeżono Tollera, że powtórne zetknięcie z czerwonymi końcami znaczy śmierć. Było jasne, że Vadavakowie mają zamiar dopiąć celu, wymierzając Tollerowi wielokrotne pchnięcia. Lecz on ani myślał tak łatwo dać się zabić, nie teraz, gdy stawka była tak wielka. Pomimo pulsującego bólu uczynił desperacki wysiłek, by unieść szablę i zasłonić się przed opadającymi pałkami. Ożywił się czując, że ramię porusza się niemal ze zwykłą szybkością i wprawą.

Vadavakowie nagle zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, natarli na niego osłabiaczami, lecz szabla błyskawicznie zatoczyła

łuk. W jednej chwili czarne pałki rozsypały się po ziemi, a Toller zerwał się na nogi. Jeden z obcych umknął na bezpieczną odległość, drugiego jednak przyszpiliło ostrze szabli w momencie, gdy rzucał się do ucieczki. Toller wyciągnął szablę z drgającego spazmatycznie ciała i ruszył biegiem z powrotem, by dołączyć do towarzyszy. Przez kilka pierwszych kroków doskwierał mu ból w nogach, lecz zelżał szybko, z czego można było wnioskować, że dussarrańskie osłabiacze nie są skuteczną bronią przeciw roslému, zdrowemu człowiekowi.

Zdawało się, że to pomyślny omen, lecz kiedy Toller po raz wtóry ocenił toczące się zmagania, zauważył, że sytuacja zmieniła się na gorsze podczas jego krótkiego pojedynku. Któraś z kobiet leżała na ziemi otoczona przez Vadavaków, którzy dźgali ją żarzącymi się osłabiaczami. Bojąc się, że nieruchoma sylwetka to Yantara, Toller dopadł napastników z zachrypłym okrzykiem wściekłości. Wraz ze Steenameertem, w przeciągu niewyobrażalnie krótkiego czasu, czasu czerwonych mgieł i wrzących jaskrawych cząsteczek, zmienili co najmniej pięciu wrogów w krwawą mięsną masę.

Kobietą na ziemi okazała się kapral Tradlo. Osłabiacz wepchnięto jej głęboko w gardło, jasne włosy opadały w strąkach pozlepianych krwią. Było jasne, że nie żyje. Odwróciwszy wzrok od tego widoku Toller spostrzegł, że pozostałe kobiety podzieliły się w pary i toczą zacięty pojedynek wręcz. Po lewej stronie Jerene i Mistekka ścierały się z czterema Vadavakami i wyglądało na to, że sobie z nimi poradzą. Po prawej Yantara i Arvand tonęły niemal w grupie obcych, którzy nacierali na nie z każdej strony.

Zadziwiony beztroską, z jaką obcy zaniedbywali swoje flanki, Toller skinął na Steenameerta i obaj rzucili się na skłębioną masę białych sylwetek. I znów uczynili straszliwą rzeź zadając okropne, głębokie rany, które albo powalały wrogów na miejscu,

albo zmuszały ich do odwrotu, kończącego się śmiercią w kałuży krwi.

Na ich miejsce pojawiali się następni, lecz Toller zaczynał wyczuwać zmianę w ogólnej sytuacji. Vadavakowie, którzy nie mieli bojowego instynktu nawet w postaci szczątkowej, ponawiali ataki z nie malejącym ferworem mimo widocznego braku powodzenia, tak więc ich siły raptownie się wyczerpywały. Toller obrzucił przelotnym spojrzeniem pole walki i oszacował, że już mniej niż połowa Vadavaków utrzymuje się na nogach, a większość z nich nabiera ospałych i niezdecydowanych ruchów.

Jeszcze niecała minuta dzieliła ich od momentu, gdy przenośnik uwolni energię unicestwiającą planety. Od tej chwili wojownicy Dyrektora Zunnununa nie będą już prawdopodobnie mieli powodu, by kontynuować walkę, powinni wtedy wycofać się pospiesznie, zmniejszając liczbę swoich zabitych. Czując ponowną falę optymizmu, Toller zaryzykował spojrzenie w stronę Greturka i jego towarzyszy z nadzieją, że ujrzy sygnał, iż maszyna zacznie niedługo działać. Znieruchomiał zdziwiony, gdy spostrzegł, że jego sprzymierzeńcy zniknęli. Jedyнным śladem ich obecności był rozpraszający się odcień zieleni w porannym powietrzu.

W sekundę później Toller zapłacił za chwilę roztargnienia w otaczających go śmiertelnych zmaganiach. Czyjś osłabiacz dotknął jego lewego ramienia, zadając przeszywający ból, a w chwilę później doznanie to powtórzyło się w okolicach lewego biodra. Dwukrotnie uderzono go osłabiaczem, lecz tym razem, w jakiś cudowny sposób, efekt był mniej bolesny niż uprzednio. Toller zdołał utrzymać się na nogach, a jego prześladowca, widocznie spodziewający się łatwej zdobyczy, wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, kiedy Toller zadawał mu cios, by rozplatać szyję. Uderzenie było niezbyt dobrze wymierzone, do czego przyczynił się częściowy paraliż, i koniec szabli dosięgnął jedynie gardła

Vadavaka przecinając gładko tchawicę. Vadavak cofnął się gwałtownie, nadziewając się na szablę wysokiej, ciemnowłosej Mistekki.

– Te ogromne szpile są całkiem niezłe! – krzyknęła do Tollera, a w jej brązowych oczach pojawił się błysk. – Zaczynam rozumieć, dlaczego zawsze nosiłeś coś takiego u boku.

– Nie trać koncentracji! – Toller jeszcze nie skończył mówić, gdy usłyszał, jak Steenameert ryczy z bólu. Obrócił się i ujrzał, że czterech Vadavaków otoczyło jego przyjaciela i dźga osłabiaczami, z których przynajmniej jeden dosięgnął celu.

– Trzymaj się na nogach, Baten! – krzyknął, po czym rzucił się naprzód, pociągając za sobą Mistekkę i małą Jerene. Spadli na napastników jak drapieżne ptaki i znów w mgnieniu oka wywarli decydujący wpływ na stosunek sił. Steenameerta kilkakrotnie uderzono osłabiaczem i mimo że Arvand próbowała go podtrzymać, zwałił się na ziemię. Kiedy jednak Toller uważnie przyjrzał się polu bitwy, w jego serce spłynęła otucha, gdyż Kolcorronianie zaczęli liczebnie górować nad wrogami. Spośród początkowych zastępów przeciwnika tylko dwóch osobników trzymało się jeszcze na nogach, ale Jerene wraz z Mistekką poradziły sobie z nimi bez większych trudności.

Trzej inni Vadavakowie, napotkawszy pierwszy raz w życiu silnych i dobrze uzbrojonych przeciwników, wycofywali się w popłochu przez płaskowyż do miejsca, w którym się uprzednio zmaterializowali. Jediną oznaką życia, jaką Toller z ulgą spostrzegł wśród obcych, był ruch na biało-karmazynowym dywanie rannych. Co prawda tragicznym zrzędzeniem losu jedna Kolcorronianka poniosła śmierć, ale...

– Toller! Za tobą!

Ostrzeżenie Jerene nadeszło zbyt późno. Toller usłyszał nagły świst za plecami i od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Był zbyt

zadowolony z siebie, zbyt pewny, że drobnym Vadavakom brakuje wytrwałości cechującej prawdziwych wojowników. Doznał dziwnego, niesamowitego uczucia w lewej łydce. Nie odczuwał bólu, a jednak otrzymał właśnie najpoważniejszą w swoim życiu ranę. Zerknął w dół i zobaczył, że kolcorroniańska szabla, z pewnością należąca do Tradlo, przeszła mu łydkę do kości. Ciął w tył wprost w rannego Vadavaka, który leżał na ziemi, udając martwego, i czyhał na okazję, by uderzyć. Obcy jęknął i potoczył się wprost na spotkanie z szablą Jerene.

– Musimy wykończyć ich wszystkich! – krzyknęła. – Nie okazujcie cienia litości!

– Dopilnuj, żeby wszyscy trzymali się z dala od maszyny – przypomniał Toller zastanawiając się, dlaczego Vantara pozostaje w cieniu, kiedy jest przecież dowódcą Jerene. – W każdej chwili może detonować albo zrobić to, co ma zrobić.

Jerene skinęła głową i dała znak walczącym, by odsunęli się dalej od skrzynki, która jaśniała teraz jak świeży śnieg w promieniach wschodzącego słońca.

– A my rzucimy okiem na tę twoją nogę.

– Będę... – Toller spojrzał w dół i poczuł, że robi mu się słabo. W poprzek łydki rozciągało się coś na kształt czerwonych ust rozwartych w półśmiechu. Pluły one krwią, spływającą po kostce, a w głębi połyskiwała kość. Kiedy próbował poruszyć nogą, stopa uparcie pozostawała na ziemi.

– Trzeba to zszyć. Tu i teraz – stwierdziła Jerene twardym, pozbawionym emocji głosem. – Niech mi ktoś poda apteczkę.

Toller pozwolił, by ułożono go na ziemi, tuż obok Steena-meerta, który powoli zaczynał odzyskiwać przytomność. Czuł, że zbiera mu się na wymioty i z zadowoleniem przekazywał komuś innemu na pewien czas odpowiedzialność, nawet mimo bólu towarzyszącemu zszywaniu rany. Oparłszy brodę na rękach zacisnął

zęby i starał się zapomnieć o bólu i myśleć o przenośniku. Jak będzie wygadał decydujący moment? Czy usłyszą potężną eksplozję? Czy oślepią ich rozdzierające niebo błyskawice? I dlaczego to przeklęte pudło potrzebuje tak dużo czasu, by uwolnić swą energię?

– Z pewnością minęły już cztery minuty od momentu, gdy przybyliśmy w to miejsce – rzekł do tych, którzy zebrali się wokół, by przypatrywać się zabiegom, jakim poddawano jego nogę. – Co o tym myślicie? Czy widzicie, by coś się działo?

Steennameert, który leżał z twarzą zwróconą ku niebu, przestraszył Tollera odpowiadając mu na pytanie, jak gdyby nigdy nie stracił przytomności.

– Nie wiem, co dzieje się z naszą cudowną białą skrzynką, Tollerze, ale wydaje mi się, że coś dziwnego rozgrywa się tam w górze.

Ruchem ręki wskazał ku zenitowi, a pozostali spojrzeli w górę. Toller zadarł głowę i syknął z bólu, gdyż niechcący przeszkodził zabiegom chirurgicznym. W centrum nieba wisiał ogromny dysk Landu równo podzielony terminatorem, a na samym środku linii pulsowała żółta gwiazda -Xa. Zaszły jednak pewne zmiany od momentu, gdy Toller przyglądał się mu po raz pierwszy.

Xa rozżarzył się i przypominał teraz miniaturowe słońce, migotał zaś tak gwałtownie, że impulsy zlały się w niemal jednolity strumień światła. Tollerowi przemknęło przez myśl, że tak bardzo absorbował go przenośnik Greturka i wydarzenia z nim związane, że praktycznie zapomniał o nieskończeniu ważniejszym przenośniku, który rozrósł się w strefie nieważkości. Zbiorowa uwaga skupiona na odległym Xa zdawała się rozwierać telepatyczne wrota.

– Nie mogę uwierzyć, że mi to robisz, Ukochany Stwórco! – Z błyszczącego nieba spłynęły nabrzmiące od udręki słowa. – Po

tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, przyspieszasz czas mojej śmierci. Błagam cię, Ukochany Stwórco, nie pozbawiaj mnie tych kilku ostatnich minut w twoim bezcennym towarzystwie.

– Co się tu dzieje?! – ryknął Toller podniósłszy się do pozycji siedzącej i wyrywając igłę i nić z rąk Jerene. – Greturk obiecał nam, że to jego przeklęte magiczne pudło zadziała o wiele wcześniej niż Xa, o wiele wcześniej, niż Dussarra zostanie przerzucona do innej galaktyki! A z tego, w jakim kierunku posuwają się sprawy... – Zamilkł, a na skronie wystąpił mu pot, gdy zrozumiał, że on, wszyscy, których znał, i ojczysta planeta mogą za chwilę ulec natychmiastowej zagładzie.

Steenameert uniósł się na łokciu.

– Może urządzenie Greturka jest wadliwe. Mówił nam przecież, że budowano je w wielkim pośpiechu. Dussarrańczycy także popełniają błędy i być może mechanizm opóźniający, o którym nam opowiadał, nie jest... – Steenameert zamarł, a jego oczy rozszerzyły się, gdy trzęsącym się palcem wskazał na coś za ramieniem Tollera.

Toller pobiegł wzrokiem za jego spojrzeniem i przeklął siarczyście, gdyż ujrzał coś, co zatrwożyło go nawet w tym momencie decydujących i przełomowych wydarzeń. Obok skrzynki przenośnika ukazała się połyskująca postać jakiegoś Vadavaka, który widocznie musiał uchować się pośród chaosu panującego pod koniec bitwy. Przeszkolenie zawodowe uczyniło go silniejszym od przeciętnego Dussarrańczyka. Na oczach skamieniałych z przerażenia Kolcorronian ukląkł, podsunął dłonie pod krawędź przenośnika, a następnie powoli, lecz pewnie wyprostował się.

Urządzenie zachwiało się w rytm jego ruchów i opadło na bok. W chwilę później, jakby skutek uderzenia, coś wewnątrz skrzynki zaczęło emitować mechaniczny pisk.

Toller spróbował stanąć na nogi, lecz lewa łydka odmówiła

niesienia ciężaru ciała i zwałił się boleśnie na ziemię.

– To jest ostatnie ostrzeżenie! – krzyknął, wijąc się wewnętrznie z bezsilności. – Trzeba odwrócić maszynę! Inaczej wszystko przepadło.

Spojrzał na trzy kobiety pragnąc, by podjęły się one zadania, którego on nie mógł wykonać. Mistekka i Arvand wpatrywały się w niego przykute do miejsca jakimś poprzednio nieznanym strachem. Yantara upadła na kolana, zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła szlochać.

– Spodziewam się za to awansu! – krzyknęła Jerene, porywając się z ziemi. Ujęła w dłoń szablę i ruszyła pędem w stronę przenośnika. Siła drżeniąca w jej nogach, siła wytrawnej sprinterki pozwoliła jej sunąć przez trawę z szybkością, której Toller nie mógłby chyba dorównać, nawet gdyby jego noga była w pełni sprawna.

Samotny Vadavak, znacznie bardziej odważny i zatwardziały niż jego pokonani kamraci, zdecydował się nie wycofywać. Puścił się biegiem na spotkanie Jerene i kiedy dzieliło ich już tylko kilka kroków, zanurkował ku jej stopom. Częściowo unieszkodliwiła go, wymierzając koszący cios szablą, ale obcemu udało się ucześcić goleni Jerene i powalić ją na ziemię. Nastąpił moment, kiedy nie można było dostrzec, co się dzieje, moment kiedy Toller oniemiał z niepokoju. A po chwili Jerene znów pędziła dalej.

Gdy dotarła do celu, pisk z białego sześcianu zdawał się nabierać intensywności. Jerene pochwyciła najbliższą górną krawędź pudła i próbowała pchnąć ją w przód, lecz przenośnik oparł się jej wysiłkom. Podbiegła od drugiej strony i na chwilę zniknęła z pola widzenia, gdy pochyliła się, by efektywniej uchwycić masywne urządzenie. I naraz, z szarpiącą nerwy powolnością, przenośnik opadł do normalnej pozycji.

Jerene w mgnieniu oka wyłoniła się zza niego i puściła się

sprintem z odrzuconą w tył głową ku sparaliżowanym strachem towarzyszom. Przebyła może trzecią część odległości do linii bezpieczeństwa, gdy przenośnik raptownie zamilkł. Przy braku jego oszalałego pisku dały się słyszeć z bezgłośną, straszliwą wyrazistością, słowa bijące ze szczytu nieboskłonu.

– NIE ZABIJAJ MNIE, UKOCHANY STWÓRCO! NIE!...

Toller, którego twarz przemieniła się w nieludzką maskę strachu, ujrzał, jak błyszcząca skrzynia za biegnącą Jerene poczęła zmieniać wygląd. Lśniła i wyrzucała z wnętrza blade, rozdymające się obrazy samej siebie, które rozchodziły się promieniście zagarniając całą widoczną czasoprzestrzeń.

Jerene biegła przez migotliwą matrycę tego, co było, i tego, co mogło być, i Tollerowi wydawało się, że woła jego imię. Rozpaczliwym wysiłkiem podniósł się z ziemi i spróbował ruszyć w jej stronę.

Nad głową Jerene sklepienie niebieskie poczęło wić się i skręcać konwulsyjnie. Koncentryczne pierścienie oślepiającej światłości pulsowały biorąc początek w Xa i zderzały się w nieznośnym dysonansie z poświatą emanującą z białej skrzyni...

„Zbyt dużo dzieje się naraz” pomyślał Toller zdjęty obłądnym przerażeniem.

„Wszystko dzieje się naraz”.

Rozdział 19

Całą scenerię ogarnęła raptownie głęboka, aksamitna i nieskończona ciemność – noc, jakiej Toller nigdy nie doświadczył. Wyglądało to tak, jak gdyby nad planetą ktoś rozpostarł nieprzezroczystą płachtę. Czerń nad ich głowami potęgował jeszcze przenośnik, który po pokazie przestrzennych czarów lśnił teraz jak ogromny blok fluorescencyjnego lodu, rozsiewając bladą jasność po pograżonym w ciszy polu bitwy.

Mrugając powiekami, Toller starał się przyzwycząić do tych dziwnych, nowych warunków, gdy nagle Jerene znalazła się przy nim i pozwoliła, by zatrzymał ją w swych ramionach. Przywarła do niego na chwilę drżąc i z trudem łapiąc powietrze, po czym wyprostowała się i odstaąpiła na krok. Przez moment zdawało mu się, że zaszaluje oficjalnie, by naprawić przekroczenie reguł dyscypliny. Yantara stała tuż obok. Przysunęła się i delikatnie ujęła jego ramię.

Toller prawie nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, gdy

spoglądał w przerażającą pustkę niebios. Z początku sądził, że ciemne sklepienie pozbawione jest jakichkolwiek cech. Jednak w miarę, jak oczy zaczynały oswajać się z nowym oświetleniem, dostrzegał zimne, odległe punkciki, które można było wziąć za gwiazdy. Ledwo widoczne i rzadko rozrzucone w porównaniu z tym, do czego przywykł w ciągu całego swego dotychczasowego życia, a siła ich światła była tak Ucha, że minęło trochę czasu, nim dotarła do Tollera rzecz ze wszystkich najdziwniejsza i najtraficzniejsza.

Bliźniaczy świat Landu zniknął ze swego miejsca w zenicie.

Zamiast niego na niebie nie było nic ponad garstkę lodowatych punkcików świetlnych ułożonych w nieznane konfiguracje.

Przewyciężając paraliż Steenameert podniósł się na nogi tuż za plecami Tollera i odezwał głosem pogrążonego w zadumie dziecka:

– To wszystko było bezcelowe, Tollerze. Zostaliśmy wygnaniami. To miejsce nie jest naszym domem.

Toller pokiwał głową, nie próbując nawet odpowiedzieć, gdyż jego umysł i dusza wciąż oddawały się kontemplacji czarnej pustki rozciągającej się przed ich oczyma. „Rzeczywiście jesteśmy na wygnaniu” mówił do siebie w duchu. „Tak właśnie będzie wyglądał wszechświat, gdy się zestarzeje”.

– Panuje taka ciemność – szepnęła Yantara przytulając się mocniej do Tollera. – Wcale mi się nie podoba i jest mi zimno.

– W takim razie – odparł Toller, zdecydowanym ruchem uwalniając ramię z jej uścisku – proponuję, byś zaczęła zbierać drewno na ognisko. Do świtu może być jeszcze daleko, jeśli on w ogóle kiedyś nastąpi.

– Oczywiście, że nastąpi! – Rozgniewana odtrąceniem Yantara od razu przeszła do ofensywy. – Niemożliwe, by tak się nie stało. Dlaczego opowiadasz takie głupstwa?

Z żalem Toller odkrył, że nie ma ona najmniejszego pojęcia, nie przyświeca jej żaden błysk zrozumienia dla serii przełomowych wydarzeń. Jego wizja, ukształtowana w telepatycznych rozmowach z Divivdivim i Greturkiem, była mglista i urywkowa, lecz czuł w kościach, że Overland nie został unicestwiony, tylko wyrzucony w niepojęcie odległą część wszechświata.

I wszechświat, o którym myślał, nie był już tym ograniczonym i zdefiniowanym bytem, nasuwającym się na myśl, kiedy uczeni kolcorroniańscy używali tego słowa. Stanowił teraz skłębioną, nierozwiązywalną i szalenie zwiewną koncepcję filozoficzną, którą Diviwidiv nazywał continuum czasoprzestrzeni. Toller poznał to pojęcie podczas telepatycznych lekcji, lecz mimo wysiłków rozumienie go zacierało się mu w pamięci jak marzenie senne.

Teraz zniknęło już niemal w całości, a jedynym śladem jego obecności był wpływ, jaki wywarło na jego sposób myślenia. Nie będąc w stanie udowodnić tego w formie słownej, skłaniał się wierzyć, że niewyobrażalne siły uwolnione przez Xa podczas agonii przeniosły Overland tak w przestrzeni, jak i w czasie, być może w przyszłość jakiegoś równoległego istniejącego kosmosu.

Z trudem mógł teraz przypomnieć sobie, dlaczego pałał taką miłością do Yantary. Patrząc na jej piękną, lecz bezmyślną i wyniosłą twarz, wyczuwał niepokonaną przepaść rozwierającą się między nimi. Zamknęła swój umysł, a w rezultacie nie była w stanie dzielić z Tollerem drążącego go niepokoju.

Kiedyś, podczas długich godzin lotu na Dussarę, spytał Divivdiviego, skąd wie, że przenośnik nie ulokuje planety gdzieś w głębinach międzygwiazdnej przestrzeni, zbyt daleko od słońca, by można było wprowadzić w jej położenie drobne poprawki. Najprawdopodobniej nie znając zadowalającej odpowiedzi, Diviwidiv wymigał się od tego pytania, rzucając kilka uwag na temat

„twierdzenia o prawdopodobieństwie całkowitym” i „zawiłych samopowstających cechach konstrukcji Xa”, które w ostatecznym rozrachunku miały poradzić sobie ze „strefami biologicznej żywotności i dynamiką orbitalną”.

Tak więc Toller musiał zadać sobie pytanie, czy za horyzontem kryje się słońce. Albo za kilka godzin nastąpi wschód, albo Overland będzie się oziębiał, a wszyscy jego mieszkańcy przepadną w nie kończących się ciemnościach. W końcu zrozumiał, że odpowiedź otrzymać można tylko w jeden sposób – czekając. Czekanie w ciemnościach nie miało zaś żadnego sensu.

– Dlaczego nikt nie zbiera chrustu?! – zawołał odwracając się od Yantary. – Znajdźmy jakieś przyjemne miejsce z daleka od trupów tych dziwołogów i rozpalmy ogień, by się ogrzać przez noc.

Pokrzepieni na duchu tym swojskim zadaniem, Steenameert, Mistekka i Arvand popędzili w stronę kępy krzaków cierpnika, którego obłe kształty majaczyły w świetle gwiazd. Yantara posłała Tollerowi przeciągłe spojrzenie. Jak się domyślił, miało ono wyrażać pogardę. Po czym obróciła się i wolno podążyła za resztą, pozostawiając go w towarzystwie Jerene.

– Trzeba założyć jeszcze kilka szwów na twojej nodze, ale teraz jest zbyt ciemno. – Jerene zerknęła na przenośnik, który zdążył się przemienić w plamę szarości. – Opatrzę teraz ranę, a skończę o świcie.

– Dziękuję – odparł Toller, czując nagle, że nie jest w stanie postawić kroku bez czyjejś pomocy. Rana, choć poważna, wydawała się nic nie znaczącym draśnięciem w porównaniu z rozmiarami jego ciała, i zdziwił się, gdy poczuł, że jest mu zimno, że jest chory i słaby. Stał cierpliwie, podczas gdy Jerene opatrywała go.

– Wychowanie na farmie przydaje się w takich wypadkach – powiedziała, kończąc opatrunek wzorowym węzłem.

– Jeszcze raz dziękuję – odpowiedział Toller z udanym

oburzeniem, wdzięczny, że może oderwać się od dręczącego go niepokoju o słońce. – Jutro z rana zaopatrzysz mnie w nowe podkowy, a tymczasem czy mogłabyś pomóc mi dołączyć do reszty przy ognisku?

Jerene wstała, zarzuciła jego rękę wokół swojej szyi i pomogła dojść do źródła pomarańczowego światła, które właśnie zaczynało migotać w ciemnościach. Chodzenie wśród wysokiej trawy okazało się znacznie trudniejsze, niż przypuszczał, toteż ulżyło mu, gdy Jerene przystanęła, by odpocząć.

– Teraz należy mi się podwójny awans – powiedziała odychając ciężko. – Ważysz prawie tyle, co mój ulubieniec, szarorożec.

– Zajmę się sprawą twojego awansu, gdy tylko... – Toller urwał wahając się, czy składać obietnice na przyszłość, która może wcale nie nadejdzie. – Postąpiłaś bardzo odważnie, kiedy pobiegłaś do tej maszyny. Krew mi się ścięła ze strachu, że nie zdążysz na czas.

– Po co się tak niepokoiłeś? – mruknęła Jerene. – Przecież zrobiłam to, czego się podjęłam.

– Może dlatego, że... – Toller uśmiechnął się uświadamiając sobie, że Jerene bawi się z nim w pradawną grę i gdy tak stali w ciemnościach, nagle ta gra stała się dla niego ważniejsza niż cały niepokój o przyszłość planety. Przyciągnął ją do siebie i pocałował z gorącą namiętnością.

– Księżna dobrze widzi, co robimy – rzekła Jerene prowokującym tonem, kiedy skończyli się całować, a jej oddech musnął ciepło jego usta. – Księżna nie będzie zadowolona.

– Jaka księżna? – spytał Toller i wraz z Jerene zaczęli się śmiać, przywierając do siebie w ciemnej nocy.

Toller nie spodziewał się, że zaśnie. Rana w nodze zaczęła pulsować jak pracowita maszyna i nie wyobrażał sobie, by mógł

zrzucić z siebie ciężar świadomości i przestać zastanawiać się, czy jego świat nie spoczywa zagubiony w bezgwiazdnej, pustej przestrzeni. Jednak z ogniska płynęło przyjemne ciepło i czuł się bardzo dobrze, gdy tak leżał z Jerene u boku, z jej ramieniem na swojej piersi, wyczerpany i senny.

Wzdragając się otworzył oczy i zaczął rozmyślać, gdzie też się znajduje. Ognisko zmieniło się w obłożony bielą żar, lecz dawało wystarczająco dużo światła, by mógł dostrzec uśpione sylwetki maleńkiej grupy wojowników. Nagle powróciło palące pytanie. Gwałtownie uniósł głowę, tak że Jerene westchnęła przez sen, i przebiegł wzrokiem krawędzie świata.

Na linii horyzontu jaśniała słaba, lecz niewątpliwa perłowa poświata.

Wzrok Tollera zamglił się z wdzięczności, gdy w pełni zrozumiał cudowne znaczenie tej wątlej poświaty, po czym ponownie pogрузił się we śnie.

Rozdział 20

Królowa Daseene miała atak serca. Niemal z całą pewnością okaże się śmiertelny.

Gdy wieści o nadchodzącej tragedii rozeszły się z Prądu do innych miast i mniejszych społeczności Overlandu, prości ludzie, których pogrążyły w smutku ostatnie wydarzenia, popadli w jeszcze większe przygnębienie i apatię. Ci o bardziej religijnej i przesądnej naturze utrzymywali, że chorobę Królowej zapowiedziało pasmo znaków, tak radykalnie zmieniających wygląd nieba. Wszyscy rozumieli, że trzy dni wcześniej o świcie wydarzyło się coś niezwykłego. Ranne ptaszki, którym zdarzyło się być poza domem w decydującym momencie, opisywały wszystko bardzo obrazowo. Mówiono, że początkowo w zenicie, w samym centrum ogromnego dysku Landu pojawiło się silne źródło żółtego światła, podobne do miniaturowego słońca. Zaledwie oczy zdołały przywyknąć do tego kosmicznego intruza, z różnych miejsc eksplodowało mnóstwo jasnych pocisków, wywołując pulsujące piekło na porannym niebie.

A. potem – i był to ostateczny, niewiarygodny akt w tym kosmicznym dramacie – niebo umarło.

Właśnie tego słowa: „umarło”, używano wielokrotnie. Wypływało ono spontanicznie na usta niedoświadczonych obserwatorów, którzy spędzili życie pod niebem zalanym światłem, upstrzonym astronomicznymi klejnotami do wyboru do koloru, bez liku.

Kiedy Land, wraz z Wielkim Kołem i miriadami pomniejszych srebrzystych spirali przestał istnieć, zdawało się, że niebo umarło. Nie było już tysięcy gwiazd, z których najjaśniejsze tworzyły gwiazdozbiór Drzewa; nieregularnych wstęg zamglonej światłości wijących się jak delikatne warkocze pomiędzy galaktykami; komet, których żarzące się, stożkowate pióropusze przecinały wszechświat; mknących meteorów ożywiających nocne niebo.

Wszystko to zniknęło w mgnieniu oka i teraz niebo wydawało się martwe, tym bardziej że zimne, obce i nieskończenie odległe punkciki świetlne zamiast rozjaśniać je, podkreślały jedynie panujące ciemności.

Toller Maraquine stał wsparty na kulach i obserwował zachód słońca z wychodzącego na południe balkonu rodzinnego domu. W zasięgu ręki, na szerokiej balustradzie, czekał gorący trunek, lecz on zapomniał o nim na pewien czas patrząc, jak niebo przybiera coraz ciemniejsze i smutniejsze barwy. Opanował drżenie, mimo że obcość tonącego w czerni sklepienia niebieskiego stawała się coraz bardziej odczuwalna. Poruszył go nie tylko brak bliźniaczego świata. Spędził dość dużo czasu poza Overlandem, gdzie większość mieszkańców nawet nie była sobie w stanie wyobrazić ogromnej tarczy jakiejś planety zawieszanej nad głową, toteż szybko przyzwyczaił się do nowych warunków.

Obecny stan wyobcowania, co sam przed sobą musiał przyznać, brał się z ponurej pustki nocnego nieba. Dokładając wszelkich starań, by podejść do tego pragmatycznie, na zimno i

rozsądnie, próbował zbagatelizować całą sprawę. „Jakie to ma znaczenie” pytał się w duchu „czy na nieistotnym i obojętnym nocnym niebie świecą miriady gwiazd, czy tylko porozrzucana ich garstka? Czy zmieni to wielkość zbiorów zboża, choćby o jedno ziarno?”

Problem polegał jednak na tym, że uspokajająca przecząca odpowiedź wcale go nie uspokajała. Nie miał pojęcia, jaki los spotkał Land i Dussarrę. Z tego, co wiedział, planety te już nie istniały. Zrozumiał jednak z przenikliwą jasnością umysłu, że Overland został, jak to określił Steenameert, wygnany w obce regiony continuum czasoprzestrzeni. Miejsce to otaczała swoista, przygnębiająca atmosfera. Overland został wyrzucony w rozkładający się wszechświat, stary i zimny... stary i zimny... I na myśl nasuwało się pytanie o największym znaczeniu: czy ludzkie życie, indywidualne i zbiorowe, będzie wyglądać tak, jak dotąd?

Fizycznie nie było przeszkód, by Kolcorronianie żyli tak, jak ich przodkowie od zarania dziejów. Lecz czy możliwe jest, by dojmujące poczucie osamotnienia, fakt, że mieszka się na najdalej wysuniętym posterunku w czarnych odmętach nieskończoności, nie zmieniły charakteru rasy?

Land i Overland, dwa bliźniacze światy położone tak blisko, że łączył je pomost powietrzny, mogły powstać w umyśle jakiegoś kosmicznego budowniczego, by zachęcić mieszkańców do kosmicznych podróży. I kiedy postawili już ten pierwszy, najważniejszy krok, zaczął uśmiechać się do nich wszechświat bogaty we wszelkie astronomiczne świecidelka, przepelnięny takimi siłami życiowymi, że po prostu nie można się było odwrócić doń plecami. Środowisko przestrzenne predestynowało naród Tollera do patrzenia na zewnątrz, do wiary, że jego przyszłość leży we wnikięciu w ten przyjazny i żyzny wszechświat. A jak będą się czuli teraz? Czy kiedykolwiek narodzi się bohater z taką fantazją i od-

wagę, takim autorytetem, by spojrzeć na odległe, lodowate gwiazdy nowego, zimnego nieba Overlandu i przyrzec, że uczyni je swoimi?

Niechętny dalszym abstrakcyjnym domniemaniom, Toller odwrócił się tyłem do czerwonożłotego zachodzącego słońca i upił łyk grzanej brandy. Trunek był nie tylko gorący, ale też doprawiony miodem, by skuteczniej chronić przed chłodnym powietrzem zmięzchu. Niespodziewanie poczuł, że rozlewające się po całym ciele ciepło niesie ukojenie, gdy tak patrzył na ojca i Bartana Drumme'a, którzy kręcili się wokół teleskopu ustawionego na balkonie. W jego oczach ci dwaj starsi mężczyźni stali się nagle granitowymi podporami, wykazując hart ducha i zdrowy rozsądek na ruchomych piaskach wszechświata, i jego podziw dla nich wzrósł ponad zwykłą miarę.

Dyskutowali o dziwnej, naukowej anomalii, osobliwym uszkodzeniu w materiale nowej rzeczywistości, które jak dotąd, zauważyło stosunkowo niewielu ludzi.

– To zakrawa na ironię – mówił Cassyll Maraquine. -Nie będzie w tym żadnej przesady, jeśli powiem, że we wszystkich państwowych fabrykach większość stanowią wykwalifikowani inżynierowie i technicy, podlegający bezpośrednio mnie. Czas im płynie na wpatrywaniu się w najdokładniejsze przyrządy miernicze, jakie kiedykolwiek zbudowaliśmy, lecz żaden z nich nic nie zauważył.

– Nie bądź niesprawiedliwy – mruknął Bar tan. – W sposobie, w jaki koło łączy się z kołem, nie nastąpiła żadna zmiana, a większość twoich...

Cassyll potrząsnął siwiejącą głową.

– Tylko żadnych usprawiedliwień, drogi przyjacielu! Dopiero jakiś ubogi pracownik cardapińskiego browaru musiał przeдрzeć się przez te wszystkie przeklęte bariery, jakie stawiają biu-

rokraci. Przeniosłem tego człowieka z niskiego stanowiska na urząd jednego z moich osobistych doradców, gdzie...

– Powiedz mi, ojcie – przerwał mu Toller zaciekawiony. – Po co ten cały rwetes wokół pierścieni, kół i okręgów?

Co takiego dziwnego i intrygującego ma w sobie zwykły okrąg?

– Okrąg miał zawsze pewne niezmiennie cechy, tak jak i każda inna figura geometryczna, i nagle cechy te uległy pewnym zmianom – odparł Cassyll poważnym tonem. – Dotychczas, jak ci zresztą wiadomo, obwód okręgu był dokładnie równy jego potrójnej średnicy. Teraz jednak, co można łatwo sprawdzić, stosunek obwodu do średnicy jest nieco większy niż trzy.

– Lecz... – Toller próbował przyswoić sobie tę myśl, ale jego umysł uchylił się od tego. – Co to znaczy?

– To znaczy, że jesteśmy bardzo daleko od domu – rzekł Cassyll z grymasem, który oznaczał, że powiedział coś istotnego.

– No dobrze, ale czy to w jakiś sposób wpłynie na nasze życie?

Cassyll zachnął się i zdjął pokrywę z okularu teleskopu.

– Tak właśnie mówi człowiek, który nigdy nie musiał zarabiać na chleb w handlu czy przemyśle! Ponowne zaprojektowanie i uruchomienie pewnego rodzaju urządzeń będzie kosztowało państwo zawrotne sumy. A do tego koszty utrzymania urzędników, księgowych...

– Urzędników?

– Pomyśl tylko, Tollerze. Mamy dwanaście palców, zatem naturalną podstawą wszystkich rachunków jest liczba dwanaście. To, oraz fakt, że obwód okręgu równał się dokładnie potrójnej jego średnicy, czyniło większość obliczeń dziecinnie prostymi. Od tej chwili jednak wszystko w tej kwestii się zmieni. I nie mam tu na myśli spraw tak podstawowych jak ta, że bednarz będzie musiał

nauczyć się robić większe obręcze na beczki. Weź na przykład...

– Powiedz – wtrącił szybko Toller, starając się uprzedzić jedno z dygresyjnych przemówień ojca. – Jaki jest nowy stosunek? Powinienem choć to wiedzieć.

Cassyll rzucił Bartanowi znaczące spojrzenie.

– Wokół tej sprawy toczyły się zażarte dyskusje. Byłem zbyt zajęty, zważywszy przygnębiające wydarzenia w pałacu, by osobiście dokonać pomiarów. Niektórzy z mojego personelu twierdzą, że nowy stosunek wynosi trzy i siedem dziesiątych, co oczywiście jest bzdurą.

– Dlaczego? – spytał Bartan z niejakim zacietrzewieniem.

– Ponieważ, mój drogi przyjacielu, w świecie cyfr musi istnieć naturalna harmonia. Trzy i siedem dziesiątych do niczego nie pasuje. Nie ma wątpliwości, że gdy przeprowadzi się pomiary z należytą dokładnością, okaże się, że nowy stosunek podlega...

Toller odgrodził się w myślach od tego, co zapowiadało kolejną ciągnącą się w nieskończoność dyskusję, z jakich ojciec i Bartan Drumme czerpali niewysłowioną satysfakcję. Żałował, że Jerene nie stoi u jego boku, ale musiała wyjechać do rodziców, do miasteczka Divarl, i nie oczekiwał, by wróciła przed jutrem. Zmęczony stanem przy balustradzie skierował się do kanapy, ułożył na niej i odstawił kule na bok. Teraz, kiedy proces gojenia był już zaawansowany, nogę miał sztywną, a gdy poddawało się ją zbyt dużym naciskom, zadawała okropne tortury. Ciągłe wynajdywanie sposobów, by zapobiec przeszywającym ją bólom, osłabiało go i Wyczerpywało, Toller był zatem zadowolony, że może się położyć.

– Synu, może powinieneś pójść do pokoju i zażyć trochę snu – zaproponował Cassyll ciepło. – Rana była poważniejsza, niż sądzisz.

– Jeszcze nie teraz. Wolałbym zostać tu jeszcze chwilę.

-Toller uśmiechnął się do ojca. – Zdaje się, że pamiętam, jak wiele razy rozmawialiśmy w ten sposób dawno temu, gdy byłem dzieckiem. Czy masz zamiar zapakować mnie do łóżka niezależnie od tego czy ja chcę, czy nie?

– Jesteś już zbyt dużym chłopczykiem, by cię tak traktować. A poza tym jestem zajęty i nie chcę, byś ciągle zawracał mi głowę prośbami o szklanę wody.

– I rurki z miodem – zażartował Bartan Drumme z drugiego końca balkonu. – Nie zapomnij o rurkach z miodem.

– Rurki z miodem! – Toller podniósł się na łokciu. – Czy to jest to, co ja...

– Tak, choć może się to wydawać dziwnym pozywieniem dla kogoś, kogo zaczęto nazywać Zabójcą Boga – rzekł Cassyll. – Nie wiedziałeś o tym, prawda? Można tylko zgadywać, jakiego rodzaju historie rozsiewa twój przyjaciel, Steenameert. Powiedziano mi jednak, że każda tawerna aż huczy od opowieści, jak to poleciałeś do krainy za niebiosami i zabiłeś tysiące bogów czy demonów... lub bliżej nieznaną mieszkankę tych obydwu gatunków, by uratować Overland przed pożarciem przez ogromnego kryształowego smoka.

Cassyll urwał i posmutniał nagle.

– Teraz, kiedy rozważyłem całą sprawę, dochodzę do wniosku, że przeciętny, zamroczony piwem chłop rozumie w takim samym stopniu jak ja, a może i lepiej, co tu się wydarzyło. Tollerze, wszystko wyjaśniono ci, kiedy umysł rozmawiał z umysłem bez odwołania się do mowy. Czy nie przypominasz sobie, choćby urywkowo, co oznacza pojęcie czasoprzestrzeni? Z chęcią dowiedziałbym się, dlaczego te dwa słowa, które przecież nie mają żadnego logicznego związku, zostały połączone w tak osobliwy sposób.

– Nie umiem ci pomóc – odparł Toller wzdychając. -Kiedy Diviwidiv przemawiał wewnątrz mojej głowy, w pełni rozumia-

łem, co ma na myśli, lecz te wiadomości były jakby dymem pisane. Wszystko się rozwiało. Sięgam po znaczenie, a znajduję jedynie pustkę. Nie zupełną pustkę, ale taką, w której odbijają się echa jakichś znaczeń, jakby ogromne drzwi zawarły się na zawsze, jakbym był zbyt powolny, spóźniony. Przykro mi ojczy, sam chciałbym, by było inaczej.

– Nie ma sprawy. Odbędziemy tę podróż bez niczyjej pomocy. – Cassyll przyniósł gruby koc i okrył nim Tollera. – Noce są tutaj chłodniejsze.

Toller skinął głową i ułożył się wygodnie, poddając się luksusowi uczucia, że ktoś się nim opiekuje i nie ma żadnych pilnych spraw do załatwienia. Noga pulsowała ciepłem. Medycy przewidywali, że odtąd będzie musiał chodzić

O lasce, lecz dawało mu to tylko jeszcze większe prawo, by wygrzewać się w przytulnym cieple jak dziecko, bezpiecznie pod kocem, który lepiej niż najgrubsza zbroja chronił przed zewnętrznym światem, mogącym go skrzywdzić.

Podczas, gdy jego umysł zasnuwał się z wolna mgiełką snu, Toller próbował określić swoją pozycję w nieznanym wszechświecie. Tyle zaprzepaszczono. Królowa Daseene umierała niezdolna, by stanąć oko w oko lub choć oswoić się z nową rzeczywistością. Jej marzenia o panowaniu na dwóch planetach rozsypały się pył. Marzenie to było przyjemne, łatwo stało się także marzeniem Tollera. Jednak nie będzie już długich na milę kolumn statków podniebnych wypełnionych bagażem handlowym i kulturowym, wytyczających szlaki pomiędzy Landem i Overlandem. Zamiast tego będzie... co...

Toller stwierdził, że nie jest w stanie poradzić sobie z zawiłymi i nieuchwytnymi zagadkami przyszłości. Zaczai osuwać się w głąb nieświadomości i znów z niej powracać, a za każdym razem, gdy otwierał oczy, niebo było ciemniejsze, a gwiazdy lic-

niejsze i jaśniejsze, niż oczekiwał. Balkon także tonął w ciemności, gdyż ojciec i Bartan Drumme używali teleskopu, zajęci sporządzaniem i porównywaniem notatek.

Toller przysłuchiwał się szmerowi ich słów. Drzemał

I dryfował, na wpół świadom urywanych odgłosów rozmowy, i stopniowo zmieniał mu się nastrój. Zrozumiał teraz, że pozwolił, prawdopodobnie na skutek szoku bitewnego i niesamowitego wyczerpania, by nowe niebo onieśmieliło go, przygnębiło i zniechęciło. Pytał samego siebie, czy Kolcorron wyda kiedykolwiek wojownika, który rzuciłby wyzwanie tej nieruchomej, czarnej pustce i w momencie, gdy zadawał to pytanie, pesymizm zaślepił go do tego stopnia, że nie zauważył, iż właśnie znajduje się w towarzystwie takich bohaterów.

Cassyll i Bartan osiągnęli właśnie dojrzały wiek, a ich wkład w stary porządek rzeczy był o wiele większy, niż jego, udział zaś w nie zbadanej przyszłości będzie odpowiednio mniejszy. Lecz czy znizyli się do rozczulania nad sobą? Nie! Ujęli szable, szable intelektu, i właśnie w tym momencie cicho i bez fanfar zajęci byli niczym innym, tylko budowaniem podstaw nowej astronomii.

W pół drogi między jawą i snem Toller uśmiechnął się.

Jego ojciec i Bartan rozmawiali ściszonymi głosami, by nie przeszkadzać Tollerowi w odpoczynku, lecz szept przenika do quasi-rzeczywistości śpiącego umysłu o wiele lepiej niż krzyki... jak dotąd zaobserwowano pięć planet w lokalnym systemie, Bartanie... licząc ten podwójny świat jako jeden, dałoby to... Jeśli odnaleźliśmy pięć w tak krótkim czasie, to czy nie myślisz, że mogą istnieć także jakieś inne?... „Powinienem wstać w tej chwili i wziąć udział w tym, co się dzieje...”

...To prawie niemożliwe – kremowa planeta opasana ogromnym pierścieniem... a może na dzisiaj wystarczy. Sprawdź swoje wstępne obliczenia, Cassyllu... nachylenie coś około dwu-

dziestu stopni, co oznacza, że Overland będzie miał pory roku... „Jerene będzie ze mną już jutro rano i z jej pomocą będę w stanie przystąpić do pracy”... ludzie, a w szczególności farmerzy, muszą się przygotować, by radzić sobie ze zmianami, jakie pociągną za sobą pory roku... pory i powody... pory i powody... Mam dziwne obawy co do tej planety z pierścieniem, Bartanie. Jest taka wyjątkowa, taka majestatyczna. Z pewnością odegra główną rolę w naszych przyszłych sprawach

Toller zapadł w głęboki, zdrowy sen.

Kiedy się ocknął, balkon był cichy i opustoszały, znak, że trwała głęboka noc. Zauważył, że przykryto go jeszcze kilkoma kocami, które chroniły przed rosnącym chłodem. Niebo wyglądało dokładnie tak, jak wtedy, gdy ujrzał je po raz pierwszy. W górze migotały nieznane gwiazdozbiory, a perłowy blask na wschodzie wydobywał z mroku mniejsze i bledsze gwiazdy.

Tym razem jednak uwagę Tollera zwróciła jaskrawa, podwójna planeta wschodząca ponad poświatą przedświt. Pod wpływem impulsu odrzucił koc i stanął na nogach klnąc cicho, gdy rana w łydce wstrzyknęła w ciało znaczną dawkę bólu. Wziął kule i ruszył po wykafelkowanej podłodze w stronę najbliższego teleskopu. Kontuzja utrudniała nastawienie i wycelowanie przyrządu, mimo to w kilka sekund później spoglądał już w okular.

Jego oczom ukazała się zawieszona w atłasowej czerni błyszcząca planeta w towarzystwie wielkiego księżyca. Miała niebieskawy kolor, co prawdopodobnie oznaczało obfitość wód.

Ze wzrokiem wciąż utkwionym w tym świetlistym zjawisku Toller poczuł, jak po kręgosłupie rozchodzi mu się lodowaty chłód.

– Może masz rację, ojczy, co do tamtej planety z pierścieniem – wyszeptał. – Ale coś mi się wydaje...

